

ZŁA KREW

G R Z E G O R Z

GORIAT



UTK

Grzegorz Gortat

Zła Krew

Nikt nie umie dokładnie wyjaśnić, co się w nas dzieje, gdy nagle odemknąć drzwi, za którymi chowają się strachy dzieciństwa.

W.G. Sebald, Austerlitz

Prolog

PODCZAS gdy wciąż mówił, wiedziony ciekawością wstałem z krzesła i podszedłem do okna. Musiałem wspiąć się na palce. Chciałem się przekonać, co widział, gdy całymi dniami wystawał w oknie; kiedy obserwował, jak ganiamy po podwórku albo tratujemy kwiaty w ogródku pana Bednarskiego. Nie było co oglądać: po lewej stronie rząd niskich, rachitycznych komórek, po prawej tył naszej dwupiętrowej kamienicy z parterową dobudówką, gdzie urządzono pralnię. Na wprost widok na podwójny drewniany wychodek. Żaden cymes, jak sam by po wiedział. Wiodła tam wydeptana ścieżka; do czasu aż któregoś dnia w poprzek niej stanął wartburg towarzysza Polickiego i od tej pory trzeba było nadkładać drogi. Aha, były jeszcze cztery karłowate drzewka bzu, ale zasługiwały na uwagę przez dwa, trzy tygodnie w maju, kiedy obsypywały się kwieciami. Zapach dochodził aż do „mansardy”. Wiele podwórek przy Ogrodowej miało taką bzową oazę. Nazwa zobowiązuje. Tyle że dwa tygodnie perfumerii to trochę mało jak na całe dwanaście miesięcy życia.

Spodobało mi się to, co chwilę wcześniej powiedział o Toł stoju i Rillem. Zająłem miejsce na krześle. Słuchałem.

– W Łodzi, jak w mało którym mieście na świecie, słyszało się i polski, i rosyjski, i niemiecki. Czy komuś to się nie podobało? Skądże. Czy ja kręciłem nosem na niemiecki? Ani mi to było w głowie. Niemiecki to cywilizowany język, można w nim wyrazić najsubtelniejsze myśli. Dawniej – w Łodzi, Berlinie, Poczdamie czy Pradze – przychodził Niemiec do Żyda i mówił: „Panie Zimbelmann, z pana jest mądry człowiek, niech mi pan ze szczerego serca doradzi: mam zrobić tak czy tak?”. Albo przychodził i mówił: „Panie Dickermann, pan jest taki zdolny człowiek, niech mi pan uszyje ślubny garnitur”. Albo przychodził i prosił: „Panie Geldmann, pan jest taki bogaty człowiek, niech mi pan pożyczy tyle a tyle na niski procent”. Albo przychodził i mówił: „Panie Lanzmann, pan jest taki utalentowany człowiek, niech mi pan namaluje landszaft do salonu”. Tak było kiedyś. Niemiec przychodził do Żyda, nie z krzykiem: „Żydzie, daj!” albo: „Żydzie, zrób!”, tylko po ludzku rozmawiał: „Panie Geldmann, panie Lanzmann, panie Apfelmann, panie Dickermann, panie Zimbelmann, panie Juselmann, panie Adelman, pan jesteś akurat taki człowiek, jakiego mi potrzeba”. I co? Ni z tego, ni z owego nastąpiła zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. Niemal z dnia na dzień. To było tak, jakby ten Niemiec i ten Żyd po przebudzeniu znaleźli się w innym świecie. Tylko że Niemiec nic na tym nie stracił, a dla Żyda nastąpiły ciężkie czasy. Bo ktoś zadekretował, że z dniem tym a tym Geldmann, Apfelmann, Lanzmann czy Dickermann przestał być

człowiekiem. To wielkie słówko „mann” z dnia na dzień przestało mieć znaczenie. Ale w oczy wciąż kłuło. Zastanawiałem się kiedyś, czy gdyby potrafili zabrać Żydowi także nazwisko – gdyby do złupionych żydowskich domów, sklepów, warsztatów, fabryk mogli jeszcze dorzucić nazwiska – to może by darowali Żydowi życie? Może by darowali życie przynajmniej niektórym Żydom? Ale nie, życie to pospolity towar, łatwo się nim handluje, zawsze wychodzi superata – za to nazwisko, o, nazwisko jest w cenie! Przecież identyczne nazwiska nosili tak zwani stuprocentowi Niemcy! Więc Hitler i jego kompani musieli rozstrzygnąć, który Guttman jest dobry, a który zły. Który zasługuje na życiową przestrzeń, a którego trzeba się pozbyć. O krew idzie, orzekli. Złej krwi nie można mieszać z dobrą. Jak człowiek coś takiego usłyszy, to z początku gotów pomyśleć: no, to wcale nie takie głupie. Dolej kubek zepsutego wina do stągwi dobrego, a całą stągiew zakwasisz. Ale wino to nie krew. No i ile trzeba by tej złej krwi, żeby zepsuła dobrą? Czy wystarczy kropla z palca? A może kubek? Albo dwa? Tego się nie da zmierzyć. Ale jak się zrobiło jeden krok, dlaczego nie zrobić następnego? Żeby mieć pewność, stuprocentową pewność, musimy wytoczyć całą złą krew, postanowili, niech nic nie zostanie. Ja ta kiego sposobu myślenia nie rozumiem, ja nawet nie podejmuję się go wytłumaczyć, ja ci tylko słowo w słowo powtarzam. Nie potrafię wskazać w całej tej ideologii jednego punktu, wobec którego rozum by się nie buntował. A czy w takiej sprawie, pytam, potrzebny byłby aż wybitny rozum? Skazać syna za winy ojca, bo niby w ich żyłach płynie ta sama krew – mądrze to tak? A co dopiero odnieść ten punkt widzenia do całego narodu? Więc gdybyś mnie spytał, dlaczego stało się tak, jak się stało, to ja ci nie odpowiem, bo nie wiem. Wiem tylko, że trzeba wielkiej nienawiści, wielkiej nienawiści albo wielkiego strachu, żeby wpaść na taki szatański pomysł. Skąd się bierze taka wielka nienawiść, skąd taka wielka nienawiść i strach – no, tego to ja już nie wiem.

Pytania, dodaje, zataczają koła, wracają bez odpowiedzi.

W jego historii, w mojej historii, próbuję znaleźć wspólny początek. Chociaż najlepiej zrobię, zaczynając od siebie.

1.

PRZEZ całą drogę strach mnie nie opuszczał. Wysiedliśmy z tramwaju i prawie biegiem wpadliśmy do bramy. Bałem się za nas oboje. Przemknęliśmy schodami na

drugie piętro, stanęliśmy przed zamkniętymi na klucz drzwiami, za którymi zaczynał się t a m t e n korytarz. Nacisnęła dzwonek. Czekaliśmy. Dzwoniła w umówiony sposób. Za przeszkłonymi drzwiami za migotał cień i rozległ się chrobot klucza w zamku.

Podążyliśmy oboje za milczącą gospodynią wąskim korytarzem, przesiąkniętym wyziewami obiadów i słodkawą wonią gazu. Pilnowałem się, by w półmroku nie trącić blaszanych wanienek, butów i pudeł zagrających przejście. Dopiero w mieszkaniu nastąpiło po witaniu.

– Urosłeś! – orzekła pani Łopieńska.

– Niedługo kończy pięć lat.

– Jak oni mogli tak z panią postąpić?! – Łopieńska spogląda ku ścianie, która oddzielała jej małą klitkę od niewiele większego mieszkania rodziców ojca, gdzie przyszedłem na świat. Tam mieściło się „siedlisko zła”.

– Pan Bóg ich osądzi.

– Co dziecko im zawiniło? – Łopieńska brała ze mnie miarę krawieckim centymetrem, znakowała materiał mydłem i wpinała szpilki. Poddawałem się tym zabiegom bez fochów, bo z chaosu zaznaczonych krzyżyków, kresek, szpilek i fastryg wyłaniało się nowe ubranko.

Ściana między mieszkaniami była cienka, więc mama zniżyła głos:

– Czasem różne myśli mnie nachodzą. Może to kara bo ska?

– A za co Bóg miałby panią pokarać? – Łopieńska przytuliła mnie z całą mocą niespełnionego macierzyństwa.

Wzrok Zofii Bodler zdawał się mówić: „Lepiej niech dzieciak o takich sprawach nie dowiaduje się przed czasem”.

Myliła się. Zdążyłem poznać historię jej panięńskiej miłości i feralnej przysięgi dziadka. „Po moim trupie!” – zawołał dziadek (Stanisław odziedziczył wszystkie cechy Karlickich, z oślim uporem na czele), gdy młodzi przyszli prosić o błogosławieństwo. Rozpiął swój mundur leśniczego, wyjął z szafy służbową fuzję, przyklęknął, lufę oparł o pierś i z palcem na spuście obwieścił, że póki żyje, zgody na małżeństwo nie da. Poprzysięgła sobie, że na złość ojcu poślubi pierwszego lepszego. Ilekroć to powtarzała, dawała do zrozumienia, że winą za nieudane życie obarcza właśnie dziadka Stanisława.

Według mnie bezpośrednią sprawczynią nieszczęścia była pani Kozłowska. Gdyby nie umarła, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Kozłowscy mieli lokum w przedwojennej kamienicy przy Żeromskiego. Drzwi w drzwi

z nimi mieszkała starsza siostra mamy, która po wystąpieniu w czterdziestym szóstym z korpusu pielęgniarek podjęła pracę w dawnych zakładach Poznańskiego. Ciotka Ziuta wkrótce wyszła za mąż i doczekała się córki; Kozłowski, bezdzietni, całe uczucie przelali na ciotkę i małą Basię. Stefan, mąż ciotki, wytrwale pogrązał się w alkoholizmie, ciotka pracowała za dwoje, a Kozłowski odgrywali rolę przyszywanych dziadków. Częstymi gośćmi u Kozłowskich byli Bodlerowie – Natalia, Michał oraz ich dorosły syn. Tadeusz – wysoki, postawny, o czarnych, kręconych włosach – skończył właśnie służbę w Marynarce. Kozłowska przed ciotką Ziutą wynosiła Tadeusza pod niebiosa. „Jak to jest – zagadnęła ją pewnego razu ciotka – Bodlerowie mają dwóch dorosłych synów, a pani wciąż tylko Tadzio i Tadzio, o młodszym ani słowa?”. Kozłowska pokiwała znacząco głową. „Bo i mówić nie ma o czym, pani Ziuto. Z tego ich Kazika to jest taki, nie przymierzając, proletariusz”.

Kozłowska wkrótce zmarła i Kazik – wraz z Natalką, Michałem i Tadeuszem – zjawił się na pogrzebie. Tak poznał przyszłą żonę. Zofia Karlicka, zwabiona mitem fabrycznej Łodzi, w ślad za starszymi siostrami przeniosła się z podłódzkiej leśniczówki do miasta. Od dnia stypy Kazik chodził za nią jak cień. Nie dała się długo prosić. Spełniła się zapowiedź zemsty, której patronował dziadek Stanisław i jego służbowa fuzja.

Na przyjęciu weselnym pan młody upił się i wylądował pod stołem. „To ze szczęścia” – zapewniał dziadek Michał pannę młodą. Od dnia ślubu powodów do radości ojcu nie brakowało, bo teraz upijał się regularnie. „Gdybym wiedziała wcześniej!” – żaliła się Zofia Bodler. „Wyszumi się – pocieszały ją starsze siostry, od lat zameżne. – Który chłop nie lubi wypić?”. Dziadkowie, patrząc na rosnący brzuch synowej, zapewniali: „Kazik się zmieni. Ptasiego mleka wam nie zabraknie”.

Obie rodziny – cztery dorosłe osoby – gnieździły się w klitce przy Limanowskiego. Bodlerowie przenieśli się tam z chłopcami podczas wojny, gdy Niemcy w odwecie za odmowę podpisania listy folksdojczów wyrzucili ich z dwupokojowego mieszkania przy Kilińskiego. Dwa małżeńskie łóżka stały obok siebie, na noc oddzielane przepierzeniem. Zofia Bodler postanowiła rodzić w domu. Winę za taką decyzję, która cudem nie zakończyła się tragicznie, ponosił personel medyczny szpitala w podłódzkim Łasku. Na przełomie pięćdziesiątego szóstego i pięćdziesiątego siódmego o sprawie było głośno w całej Polsce. W szpitalu łaskim jednego dnia rodziły panna i mężatka. Z winy lekarzy niemowlęta zamieniono. Panna pierwsza opuściła szpital, w przydrożnych krzakach noworodka uśmierciła, by bez hańbiącego balastu powrócić do rodzinnej wsi. Gdy druga z położnic odkryła pomyłkę, wszczęto poszukiwania. Wieść o horrorze rozniosła

się po Polsce. Zofia Bodler, z typowym dla Karlickich uporem, postanowiła: „Do szpitala nie pójde! Choćbym miała rodzić tu, na korytarzu, dziecka konowałam nie oddam!”.

Traciła przytomność, akuszerka okładała ją po twarzy, podczas gdy ja, utknąwszy w połowie drogi, byłem bliski uduszenia i wahałem się, który świat ostatecznie wybrać. Ponoć dopiero modlitwa dokonała cudu. Jeżeli o mnie chodzi, od historii o cudzie wolałem opowieść o sputniku. Mniej więcej sześć miesięcy po moich narodzinach dziadek Michał, po którym przejąłem imię, miał odezwać się przy kolacji: „Bardzo dobrze, że Rosjanie wystrzelili tego sputnika”. „Tak, to wielka sprawa” – podchwycił ojciec. „A odkąd ty komunistami się zachwycasz?” – Natalka huknęła na męża. „Bo to widzisz, Zosieńko – ciągnął Michał, zwracając się tym razem wyraźnie do synowej – dawniej tylko król rodził się pod własną gwiazdą. A dzięki ruskim każdy swoją gwiazdę może mieć. Lepszy rydz niż nic”.

Pierwszy sputnik dokończył żywota na początku 1958 roku. Małżeństwo Zofii Bodler utrzymało się niewiele dłużej.

– Nadal mieszka z rodzicami – informuje Łopieńska, kończąc fastrygować lewy rękaw marynareczki. – Która by go chciała?

– Mnie co do tego!

– Prawie dzień w dzień pijany wraca. Nie mają z nim łatwego życia. Słyszę przez ścianę, jak Natalka pomstuje. Michał dawno machnął ręką. Serce mu nawala.

– Jak sobie wychowali, tak mają.

– Może. Ale Tadeusz zupełnie inny. Jakby nie ta sama krew. I z czego to się bierze?

– Codziennie do Boga się modlę, żeby Michał w ojca się nie wdał.

– Co też pani! – Łopieńska bierze mnie za rękę, zapala żyrandol pośrodku sufitu i prowadzi do wysokiego lustra w rogu pokoiku. – Za tydzień odbiór. Na Wigilię będzie jak znalazł.

Czeka nas przeprawa przez korytarz. Łopieńska wychodzi pierwsza, daje znak. Za progiem zbieram się na odwagę i zer kam na sąsiednie drzwi. Mama strofuje mnie szarpnięciem. Żegnamy się spojrzeniem z Łopieńską i odrapaną klatką schodową docieramy na parter. Przed bramą zapieram się. Z zadartą głową próbuję w świetle latarni odczytać napis.

– Tramwaj nam ucieknie! – pogania Zofia Bodler.

– Limanowskiego jeden jeden dziewięć – zaczynam sylabizować.

– Sto dziewiętnaście – poprawia mnie.

Nadjeżdża tramwaj. Biegiem puszczamy się do przystanku. Masa żelastwa, która w

ciemności sunie ze zgrzytem prosto na nas, napawa mnie lękiem. Z opowiadań Zofii Bodler wbił mi się w pamięć obraz: uciekając przed kolejną pijacką awanturą, w mroźną zimową noc wybiega z mieszkania dziadków ze mną na rękach, jedzie pierwszym lepszym tramwajem na krańcówkę i puszcza się na przestrzał po krzyżujących się torach. „Gdyby nie dziecko, tobym ze sobą skończyła” – lubiła zwierzać się sąsiadkom. Nie wiedziałem, czy jest mi wdzięczna, czy – na odwrót – mnie obarcza winą za przymus trwania przy życiu.

Jedziemy ciemnymi ulicami Łodzi. Wreszcie po prawej stronie wyłania się biała bryła pałacu Poznańskiego. Wsiadamy i skręciwszy w prawo, zapuszczamy się w głąb Ogrodowej. Zostawiamy za sobą fabrykę i ciągnące się szeregiem przyfabryczne trzypiętrowe kamienice z cegły, solidne pamiątki po żydowskim fabrykancie Izraelu Poznańskim, hojnym fundatorze ołtarzy do położonego w sąsiedztwie chrześcijańskiego kościoła. Za torami kolejowymi, za szlabanem zaniedbane pojedyncze domy, które przedwojenny kapitalizm ledwo musnął, wznoszą się na wysokość niskich dwóch pięter, z rzadka palą się latarnie. Staram się nie patrzeć przed siebie – nigdy nie wiadomo, co się wynurzy od strony pobliskiego cmentarza. Gdybym był dorosły, nie znalazłbym strachu. A Zofii Bodler ubyłby jeden kłopot – przestałaby się zamartwiać, co ze mnie wyrośnie.

Nie wiedziałem wtedy jeszcze o istnieniu Franciszka K. ani bydlaka Smierdiakowa. Od spotkania z Kafką, Dostojewskim i kłatwą złej Karamazowowej krwi dzieliło mnie pięć długich lat, ale pytanie o rolę fatum (kłania się profesor Bajgelman) i wpływ przypadku przychodzi samo z siebie. Ciekawe, myślałem więc w takich chwilach, co by było, gdyby dziadek Stanisław pociągnął wtedy za spust?

2.

POCZĄTEK codziennej marszruty do przedszkola wyznaczały niskie budynki mieszkalne przy Ogrodowej, ubodzy krewni fa mułów Poznańskiego; następnie mijaliśmy sklepik pani Świąteczkiej, przez starszych mieszkańców zwany „kolonialnym”. Nie mał naprzeciw sklepu, obok jatki rzeźniczej, mieścił się męski zakład fryzjerski obsługujący mężczyzn od lat dwóch do stu dwóch, przed którym w pogodny lipcowy wieczór sześćdziesiątego drugiego roku odbyła się słynna na całą dzielnicę bójka na noże; jeszcze po tygodniu klienci zakładu fryzjerskiego pokazywali sobie rdzawe ślady krwi na kocich łbach. Za torami kolei przemysłowej, które łączyły dawne zakłady

Poznańskiego z halami magazynowymi, stał zbudowany przed wojną gmach szkoły. Wreszcie pozostawało nam przejść obok wyrastających naprzeciw fabryki, jednako ponurych, masywnych kamienic z poczerńiałej cegły. Odgradzony od ulicy żeliwnym parkanem na podmurówce, przykościelny teren mieścił zabytkowy kościół z drewna, solidniej niż kościół prezentującą się murowaną plebanię i niewielki park z placem zabaw; drewniane ażurowe altanki sąsiadowały z parterowymi zabudowaniami przedszkola.

Zaczął się grudzień, na nierównym chodniku zalegał brudny śnieg. Musiałem włożyć darowane futerko z misia; wstydziłem się, że noszę ubranie po dziewczynie.

Mijając kościół, Zofia Bodler zrobiła znak krzyża. Przeżegnałem się najlepiej jak umiałem, by sprawić jej przyjemność. Pchnęła mnie w stronę pustego placu zabaw.

– Jest siostra Janina. Biegnij!

U siostry Janiny zwykle mycie rąk zamieniało się w ceremoniał. Namydlała je starannie, szorowała każdy palec osobno; na koniec długo spłukiwała dłonie pod bieżącą wodą. Próbowałem naśladować jej ruchy.

– Przed każdym posiłkiem myjemy ręce – przypomniała teraz, podwijając długie rękawy habitu.

– Mamusia mówi, że ważniejsza jest czystość duszy. Moja nie jest jeszcze czysta.

– Dlaczego?

– Będzie czysta, kiedy zacznę przyjmować Pana Jezusa.

– Tak ci na tym zależy?

– To najlepsza obrona przed grzechem. Mamusia boi się, że jak dorosnę, wdam się w ojca.

Energicznie zakręciła kran i poprowadziła mnie do jadalni. Przełożona, siostra Salomea, zmówiła z nami modlitwę. Po śniadaniu zebraliśmy się w świetlicy. Rotmistrz Roch (nigdy nie poznałem jego nazwiska) – ogrodnik i dozorca w jednej osobie – kończył wносить duże kartonowe pudła.

Siostra Janina z pomocą Renaty, dorosłej wnuczki rotmistrza, wyjmowała z pudeł jasełkowe stroje, wygładzała je i układała na długim prostokątnym stole. Przywołały dwóch starszaków, ubrały ich w królewskie płaszcze i korony. Na koniec wręczyły im zgrabne pakunki: mirrę i kadzidło.

Trzymając trzecią koronę, siostra Janina rozejrzała się po sali.

– Michał – powiedziała wyraźnie.

Zanim się podniosłem, rozległ się wrzask. Wydzierał się Mateusz z grupy

starszaków:

– To ja miałem być królem!

– Mateusz! – Siostra Janina próbowała go przekrzyczeć. – Role przydziela siostra przełożona.

– Tam jest wszystko zapisane! Niech siostra przeczyta! – Pokazywał zeszyt na stole.

– Skąd wiesz?

– Wiem i już!

– Ty miałeś zagrać inną postać.

– Siostra kłamie! Miałem być królem!

Mateusz wybiegł, a po obiedzie przyjechał jego ojciec. Zza zamkniętych drzwi gabinetu siostry przełożonej dochodził jego krzykliwy głos. Z nosami przy szybie patrzyliśmy, jak obaj wy chodzą, wsiadają do samochodu zaparkowanego przy placu za baw i odjeżdżają.

*

Czekaliśmy w ciemnym przedsionku kościoła. Rotmistrz Roch na byle szmer pokazywał krzyż nad kropielnicą i przykładał palec do ust.

Sztuczna broda łaskotała mnie w nos. A jeśli kichnę i od padnie? Wolną ręką sprawdzałem, czy broda trzyma się na gumce.

– Już czas – powiedział rotmistrz niewyraźnie; usta po lewej stronie miał zniekształcone od kuli. – Sza! On patrzy z góry.

Stąpaliśmy za nim po posadzce jak po lodowej tafli, uważając, by nie przydepnąć długich płaszczy. Przed ołtarzem przy klękliśmy. Wyszliśmy bocznymi drzwiami, prosto pod niebo rojne od gwiazd. Popatrzyliśmy po sobie zmieszani.

– Gwiazda Betlejemska – zawyrokował Roch, wędrując palcem po niebie.

Mateusz czekał tuż za progiem świetlicy, na tle papierowej dekoracji udającej wnętrze pałacu w Tyberiadzie. „Was jest trzech, król Herod jeden!” – natrząsał się z nas przez ostatni tydzień. Puszył się teraz w purpurowym płaszczu i koronie, ponoć wypożyczonych z prawdziwego teatru. Recytował swoją kwestię tak zapalczywie, że słyhać go było pewnie aż na koś cielnym dziedzińcu. „Niech się stanie twoja wola” – odpowiedzieliśmy w trójkę zgodnym chórem, choć chciało nam się śmiać. Wszystkim wiadomo, że Heroda ostatecznie wystrychniemy na dudka.

Przynaglani przez rotmistrza, z darami kierujemy się na środek świetlicy. Za Marię przebrała się młodsza siostra Renaty, Józefa gra bratanek księdza Antolaka, wikariusza

parafii, której nomen omen patronuje święty Józef. „Przynosimy Ci mirrę, złoto i kadzidło” – powtarzam z Melchiorem i Baltazarem, kładąc złoto z papier mâché przed plastikowym Dzieciątkiem. „Trochę mi Cię żal – nachodzi mnie myśl. – Rok w rok dostawać to samo?”.

Ksiądz Antolak wymknął się z sali. Siostra Janina zagrała na fortepianie Bóg się rodzi.

– A prezenty?! – wrzasnął Herod.

Pogroziła mu palcem.

– Najpierw kolędy.

Wikariusz wrócił przebrany za Świętego Mikołaja, dźwigając worek z prezentami: w każdej z przezroczystych toreb po tyle samo cukierków, pomarańczy, czekoladek i orzechów. Mateusz dostał dodatkowo paczkę od ojca. Wdrapał się na podest opuszczony przez Świętą Rodzinę, otworzył paczkę i zaczął się obstawiać ojcowskimi zabawkami.

W myślach dziękowałem siostrze Janinie, że właśnie jego wybrała do roli Heroda. Od połowy grudnia codziennie czytywała nam historie biblijne i nie było dla nikogo tajemnicą, jaki koniec czeka króla Judei.

3.

OGRODOWA między pałacem Poznańskiego a cmentarzem była wyłożona kocimi łbami. Latem po ulewie nic dzieciom nie sprawiało większej frajdy niż puszczenie papierowych stateczków; płynęły rynsztokami, które na krótko zamieniały się w rwące potoki, i każdy z domorosłych żeglarzy wierzył, że prędzej czy później znajdą swój port przeznaczenia. W upalne dni spływające ścieki wydzielają fetor. Końskie odchody pachniały inaczej. Wozacy kierujący furami z węglem wybierali Ogrodową z dwóch powodów: skracali sobie drogę ze składu przy Towarowej, a przy pompie na wprost naszego domu urządzali krótki postój. Napęlniali blaszane wiadra wodą, konie niespiesznie gasiły pragnienie. Potem podsypywali im obroku, wypalali papierosa i odjeżdżali. Po każdym postoju zostawała kałuża końskiego moczu i parujące kulki łąjna, do których zlatywały wróble. Zbiegaliśmy się, żeby oglądać konie wozaków. „Pociągowe” – mówiła Danka Kartaszów. Według mnie nazwa nie w pełni oddawała im sprawiedliwość. Podkreślała siłę, nic nie mówiła o wełnistej grzywie i oczach.

Mirek Graczyk, młodszy ode mnie o rok, mieszkał na pierwszym piętrze, tuż pod naszą „mansardą”. Pewnego razu po prawił Dankę:

– Jakie tam pociągowe. Perszerony, tak się nazywają. Widziałem w książce.

„Perszeron” brzmiało dostojniej. Nie miałem powodu przy puszczać, że Mirek mija się z prawdą. Wujek Mirka prowadził obwoźną bibliotekę, po przejściu na emeryturę sprzedał barakowóz; na książki nie było nabywców, więc je zwyczajnie porozdawał i pokaźna część księgozbioru trafiła do rodziców Mirka.

– Perszeron? – Danką się zaśmiała. – Nie ma takich ko ni! Zmyślasz.

– Nie zmyślam. Mam w domu książkę o koniach.

Danka nie dawała za wygraną.

– Moja mama pracuje w księgarni. Mogę mieć każdą książkę.

– A o tym, skąd się biorą dzieci, też masz?

– Ze zdjęciami. Chcecie zobaczyć?

Popatrzyłem na Mirka, on na mnie. O tym, skąd się biorą dzieci, krążyły po podwórku przeróżne opowieści. Czy warto było jednak nawet dla t a k i e j książki rezygnować z oglądania Kordyckiego i jego bułanej Śliwy? Wozak zapalił właśnie papie rosa, zadał kobyle obroku i wiechciami słomy czyścił spocone, parujące na mrozie boki Śliwy.

Słowo się rzekło. Mirek powiedział zaczepnie do Danki:

– To pokaż!

– Nie teraz. Mama trzyma ją na najwyższej półce biblio teczki. Jak będzie okazja, to was przyprowadzę.

Okazja nadarzyła się niebawem. Przed Bożym Narodzeniem Kartaszowie kupili telewizor. Pierwszy odbiornik telewizyjny w całym domu. Wieczorami drzwi ich mieszkania prawie się nie zamykały. Dwa dni przed Nowym Rokiem Kartasz pojechał do brata na wieś. Wrócił nazajutrz, dźwigając dwie torby podróżne z wyrobami wędliniarskimi. W sylwestra Kartaszowie ustawili na środku pokoju rozsuwany stół, pożyczili krzesła od Bednarczyków z naprzeciwka i sprosili sąsiadów.

Na stole piętrzyły się wianuszki kielbas i kaszanek, pachniał wiejski chleb i kiszzone ogórki. Między dwiema pękatymi karafkami (wódka czysta i kolorowa, do wyboru) uwijał się drobny pan domu, Marian Kartasz.

W porze dziennika telewizyjnego zajrzeli Policcy z pierwszego piętra.

– Ja za wódkę dziękuję! – Irena Policka pokręciła ondulowaną głową.

Kartasz nappełnił kieliszek i podsunął Polickiemu.

– Panie Zygmuncie, oby nam się w tym nowym roku...

Policka nakryła kieliszek męża upierścienioną dłonią.

– Ale tylko ten jeden! – Otuliła kościste ramiona szalem z czarnego moheru. –

Osoba na jego stanowisku...

– Za pomyślność! – Policki, zastępca kierownika dzielnicowej centrali „Społem” i członek partii robotniczej, wypił wódkę. Na obwisłych policzkach wykwitły rumieńce. – A tego towarzysza, proszę towarzyszy, to ja znam. – Pokazywał ekran telewizora. – Takich ludzi dzisiaj nam trzeba.

– Towarzyszu Kartasz – podchwyciła złośliwie pani Gra czyk, mrugając do ojca Danki – jeszcze po jednym.

– Tereniu! – Mąż próbował ją powstrzymać. Graczykowa nie dała się uciszyć:

– Nie ma to jak wiejski samogon. Panie Policki, nie wypije pan za rozwój prywatnej inicjatywy?

– Na nas chyba pora. – Policki wycofał się do drzwi, po drodze dopinając guziki marynarki.

– Mały ten telewizor. – Policka zacisnęła wargi. – Jak kupować, to coś porządnego.

Ledwo Policcy znaleźli się za drzwiami, odezwała się moja mama:

– Pani Tereniu, nie wolno tak...

– A co on mi może!

– Jednak trzeba uważać. Takie czasy.

– Takie czasy – zawtórował mamie Bednarczyk.

– Ona zawsze taka! – Graczyk patrzył na żonę z wyrzutem.

– Gęby mi nie zamkną. Robota w fabryce to taki cymes? Jak mnie wyrzucą, to mogę choćby zamiatać ulice.

Siedzieliśmy w trójkę na dywanie przed ekranem telewizora: Danka, Mirek i ja.

Patrzyłem na Zofię Bodler. Obracała obrączkę na palcu lewej ręki – jak zawsze, kiedy zaczynała się denerwować.

– Ja bym się bała – przyznała cicho.

– A czego tu żałować? – Graczykowa uśmiechnęła się. – Że najlepsze lata marnuje pani w farbiarni? Że zdrowie sobie pani rujnuje?

Mama przekrzywiła głowę, jakby nadstawiała drugi policzek.

– Dobrze pani mówić. – Wzdycha, a ja chciałbym zapaść się pod ziemię. Wiele bym dał, by choć raz wykazała się stanowczością. – Jakby co, to na was dwoje mąż zapracuje. A ja czym dziecko nakarmię?

– Będzie dobrze, pani Zofio – przerwał jej Kartasz. – Słyszała pani, co mówił ten w dzienniku? Wszystko zmierza ku lepszemu.

– To na pewno on? – Bednarczykowa skrzywiła się. – Ja ktoś inaczej wygląda niż w gazecie.

– Też pani opowiada!

– Bo ten ekran rzeczywiście jakby ciut przymały. Jak oni tam się wszyscy mieszczą? Bednarczyk cierpliwie wyjaśniał:

– Kobieto, to wszystko działa na zasadzie fal. Są fale akustyczne i fale wizualne.

Jedna maszyna zbiera fale i wysyła, druga je odbiera i przetwarza. A w radiu, w jednej niedużej skrzynce, też się pochowały gadające ludziki?

– Zwariować można! – Bednarczykowa machnęła ręką. – Jak Bóg stwarzał świat, to żadne akustyki nie były Mu w gło wie. Gdyby były potrzebne, to pierwszy by pomyślał.

W telewizji rozpoczął się program rozrywkowy. Smętna wychudła damulka śpiewała o miłości i jesieni.

– Trochę racji to pani ma – mówił Kartasz do Bednarczykowej – chociaż nie do końca. Postęp. To słowo wiele tłumaczy.

– Ona by chciała, żeby do końca świata jeździć wozami drabiniastymi – podchwycił Bednarczyk. – Ludzkość pragnie czegoś więcej.

– Mnie radio wystarcza. Tylko żeby tej muzyki dla dzikich nie puszczali.

– Też stary jestem, ale patrzę w przyszłość. Młodzi mają swoje prawa.

– A telewizor – włączyła się pani Graczyk – to dla dzieci ka pierwszorzędna pomoc.

Kartaszowa wniosła półmisek z parującą kiełbasą. Pani Graczyk wstała, żeby zrobić miejsce na stole. Bednarczyk jej się przyglądał.

– Coś się pani Terenia zaokrągliła! Ha, rumieni się! Czyli mam rację. Kiedy rozwiązanie?

– W maju.

– A to wiadomość! – Kartasz biegnie do kuchni i wraca z butelką wina. – Węgierskie. Trzeba to uczcić.

– Ja tylko kropelkę – poprosiła pani Graczyk.

– Chłopiec czy dziewczynka? – zainteresował się Bednar czyk.

– Co Bóg da.

– Pewnie – podchwyciła Zofia Bodler – wszystko z Jego wyroków.

– Na moje oko, dziewczynka – zawyrokował Bednar czyk.

Danka trąciła Mirka.

– Słyszałeś? Będziesz miał siostrę.

Chłopak dostał wypieków na twarzy.

– No to co?

– To znaczy, że oni to robili. Robili to, rozumiesz?

W tym momencie nadeszli Sarnecky z Halinką. Sarnecka ma cięty język. Chodzi skwaszona, jakby w jej żyłach zamiast krwi płynęła żółć. Sarnecky wychowują wnuczkę, bo rodzona mama Halinki wyszła ponownie za męża i nie chciała sobie wiązać rąk. Halinka jest w moim wieku, ale trzyma się na uboczu. Podobno jest bardzo ładna. „Piękna jak Żydóweczka” – wy rwało się nieopatrznie Kartaszowi, kiedy Sarnecka – działo się to wkrótce po sprowadzeniu dziewczynki od matki – wy stroiła wnuczkę w białą sukienkę do sypania kwiatków w Boże Ciało. Kartasz do wieczora nie wychylił nosa z domu. Sarnecka długo pamiętała mu tę „Żydóweczkę”. Pewnego dnia przydybała go na ulicy: „Ja to się panu dziwię. Gnieździć się z rodziną w takiej ruderze, bez gazu i bieżącej wody?”. „Skąd wziąć pieniądze? Na wsi nawet takich wygod nie mieliśmy”. „Co mi pan za bujdy opowiada? Pańska rodzina miała przed wojną czteropiętrową kamienicę na Bałutach. Pański dziadek prowadził skład towarów bławatnych. Chajm Mordasewicz, bogate, chytne żydzisko! Nie ma co zaprzeczać. Przeszłości i nosa pan się nie wyprzesz”.

Wszyscy byliśmy w strachu, czy stara ulęgalka nie wytnie nam w sylwestra jakiegoś numeru. Tymczasem Sarnecki wyciąga z kieszeni butelkę.

– Domowa. Samo zdrowie.

Danka trąciła mnie łokciem.

– Chodźcie, pokażę wam.

– Co?

– Tę książkę, co kiedyś mówiłam.

– Teraz? Wszyscy patrzą.

– Gapią się w telewizor. Chyba że się boicie?

– Ja się nie boję – wypalił Mirek.

– Ani ja.

Poszliśmy do kuchni, Danka otworzyła dużą trzydrzwiową szafę i weszła pierwsza. Kiedy wsunęliśmy się za nią i zamknęła drzwi, zrobiło się ciemno. Siedzieliśmy w kucki, prawie dotykając się głowami.

– Gdzie ta książka? – spytał Mirek.

– Trzymaj. Schowałam rano, jak nikt nie widział.

Usłyszałem, jak Mirek pyta:

– Ale jak mamy coś zobaczyć? Zapal chociaż latarkę.

– Zapomniałam!

– Aleś ty głupia! – Odetchnąłem z ulgą, że tak to się skończyło.

– Tak to jest zadawać się z dziewczynami! – syknął Mi rek z ciemnego kąta.

– Phi! Pokażę wam coś lepszego.

Raptem drzwi szafy otworzyły się i w prześwicie ukazała się głowa ojca Danki.

Mrużąc oczy, szerzej otworzył drzwi.

– Są tutaj – zawołał w głąb pokoju. – Bawią się w chowanego. – Zdjął z wieszaka zimowy płaszcz. – Ubierzcie się cie pło – zapowiedział naszej trójce. – Zaraz północ. Wyjdziemy przed dom zapalić zimne ognie.

Jezdnię i chodniki pokrył świeży śnieg. Palily się prawie wszystkie latarnie. Nigdzie żywej duszy. Od strony pałacu Poznańskiego dobiegały dźwięki muzyki. Na niebie rozbłysły fajerwerki. Dołączyli do nas Bednarczyk z Sarneckim.

– No to mamy rok sześćdziesiąty trzeci – obwieścił Kar tasz uroczyście. – Do siego!

Bednarczyk i Sarnecki podstawili kieliszki. Kartasz rozlał i wypili, odchylając energicznie głowy.

– Dawniej ludzie całą gromadą wychodzili na ulicę. Teraz każdy zaszywa się w mieszkaniu – pożalił się Bednarczyk.

– Dobrobyt, sąsiedzie – przemówił łagodnie Sarnecki. – Bawią się przy telewizorze albo radiu.

– Czyli wychodzi na to, że teraz jest lepiej – orzekł Kar tasz. – Mamy dobrobyt.

– Chyba tak – przystał Sarnecki.

Zapaliliśmy zimne ognie. Ogrodowa nigdy jeszcze nie wyglądała równie kolorowo.

– Spadająca gwiazda! – zawołała Danki. Spojrzeliśmy w niebo. Nie zobaczyłem żadnej spadającej gwiazdy.

– Trzeba szybko pomyśleć życzenie – przypomniał Sarnecki. – Inaczej ktoś z nas kolejnego roku nie doczeka.

– Może to nie gwiazda? – sarknął Bednarczyk. – Tyle teraz na niebie sputników. A jeśli to ruski sputnik?

– Boże uchowaj! – Sarnecki miał przerażoną minę. – Chyba nie chce pan wykraść upadku Związku Radzieckiego? Przecież z tego byłaby nowa wojna!

– Byłaby wojna jak nic – przytaknął ojciec Danki.

Wszyscy trzej popatrzyli na nas dziwnie. Potem Kartasz bez pytania nappełnił

kieliszki. Wypili i wróciliśmy do domu.

*

Wojna nie wybuchła, za to w marcu umarł pan Bednarczyk. Od połowy lutego nie wstawał z łóżka. Miał raka i od dawna chorował. „Myślał, że jak zimę przetrwa, to jeszcze pożyje” – powtarzała Bednarczykowa, jakby takie gadanie mogło coś zmienić. Zima minęła, przyszła wiosna, a Bednarczyk w ostatnią sobotę marca wyzionął ducha.

Staliśmy na podwórku: Mirek, Danka i ja. Nawet nam po dwórko przy Ogrodowej 40 wydawało się ciasne. Z lewej i prawej strony zamykały je ściany sąsiednich domów. Równoległe do tyłu budynku biegła niska betonowa przybudówka mieszcząca mikroskopijne piwnice, do piwnic przylegał parkan, za parkanem zaczynała się porośnięta dzikim zielskiem ziemia niczyja. Cztery bzy, górujące nad podwójnym drewnianym wychodkiem, który na wiosnę odświeżano ciemnożółtą farbą, przylegały do ogródka Bednarczyka. Stary ogroził niskim płotkiem wąski pas podwórka, ciągnący się pod oknami zakładu ślusarskiego aż do pralni. Hodował irysy, bratki i inne kwiaty, których nazw nie sililiśmy się zapamiętać.

– To już nie będzie nas przeganiał z ogródka? – spytałem, patrząc na kikuty roślin, spomiędzy których tu i ówdzie wyłaniały się z ziemi świeże pędy.

– A co myślałeś? – Danka zrobiła przemądrzałą minę. – Jak się umiera, to na amen.

– Zakopią go w ziemi, na pewno nie wstanie – dorzucił Mirek.

Pomyślałem chwilę.

– Chciałbym go zobaczyć.

Weszliśmy do ciemnej sieni i zakradliśmy się pod drzwi Bednarczyków. Mirek zajrzał przez dziurkę od klucza.

– Nic nie widać.

Czułem na sobie wzrok obojga i zrozumiałem, że się nie wywinę. Nacisnąłem klamkę – drzwi ustąpiły. Bednarczykowa siedziała w kuchni, plecami do wejścia. Smarowała nogi cuchnącą mazią i śpiewała Kiedy ranne wstają zorze. Na piecu stał garnek z podskakującą pokrywką. Na palcach przeszedłem do pokoju. Pan Bednarczyk leżał w trumnie opartej na czterech krzesłach. Zasłony w oknach były zaciągnięte, półmrok rozświetlały cztery gromnice. Bednarczyk miał na sobie czarny garnitur i czarne półbuty wyglansowane do połysku. Wyglądał sztywnie. Policzki mu się różowiły, jakby dopiero co wstał sprzed nagrzanego pieca. Kiedy wyciągnąłem rękę, żeby go dotknąć, owiał mnie chłód. Wycofałem się do kuchni. Bednarczykowa wciąż wcierała maść w poczerwiałe kostki stóp. Wymknąłem się na korytarz. Mirek z Danką przykucnęli pod

drzwiami mieszkania Danki. Poszli za mną na podwórkę. Świeciło wiosenne słońce.

– Cały zimny – oznajmiłem.

– Czyli naprawdę nie żyje – skwitował Mirek.

– Wdowa może urządzać prawdziwy pogrzeb. U mnie w rodzinie nikt jeszcze nie zmarł – pożałowała się Danka.

– U mnie też nie – zawtórował jej Mirek.

Grzałem się w jeszcze świeżych promieniach sławy.

– A ja nie mam ojca! – odezwałem się tonem przechwałki.

– Głupiś! – Danka stuknęła się w czoło. – Nie mieszka z wami, bo się rozwiódł z twoją mamą. A to nie to samo.

– Właśnie – przytaknął Mirek – rozwiedli się. Bo twój tata to pijak.

– Nieprawda!

– Pijak i złodziej!

Rzuciłem się na niego. Tarzaliśmy się po wilgotnej marcowej ziemi, aż przyszła mama Mirka, zaalarmowana przez Dankę. Przybiegła Sarnecka i podniosła krzyk. Na podwórkę wypadł ślusarz Mycielski, za nim jego pomocnik Arek Struzik. Wreszcie hałas ściągnął Zofię Bodler.

– Bandyta! – wrzeszczała Sarnecka. – Na młodszego się rzucać!

Mama Mirka próbowała ją uspokoić.

– Nic się nie stało. To przecież dzieci.

Pięść Sarneckiej trzęsła się nad moją głową.

– Zła krew prędzej czy później wypłynie! – grzmiała.

Mama złapała mnie za rękę i prawie wciągnęła po schodach do mieszkania. Zaraz za progiem przystąpiła do wymierzania kary. Tym razem jednak wszystko odbyło się inaczej, bez rytualnego wstępu z Panem Trokiem sporządzonym ze świńskiej skóry. Nie spytała: „Poznajesz?”. Na co powinienem odpowiedzieć: „Poznaję”. „Co to jest?”. „Trok”. „Zasłużyłeś?”. „Zasłużyłem”. Biła gołą ręką, gdzie popadnie. Krzyczała i płakała razem ze mną. Kiedy przestała, opadła na podłogę; siedziała z głową między kolanami, kiwając się i zanosząc płaczem. Wyglądała jak wielka niezdarna foka, którą niedawno widziałem w ogrodzie zoologicznym. Teraz musiałem podejść i ją uspokoić, inaczej zapłacze się na śmierć. Bo czy wiele jej brakuje? Na pewno wpędzimy ją do grobu, ja i codzienne zgryzoty: strach, że straci pracę; za obiecany talon na płaszcz każą jej wybierać między partią a Panem Bogiem; zbyt szybko wyrosnę z zimowych butów. Strach, że urodziła dziecko z zakalcem.

4.

GAŁĘZIE drzew w przykościelnym parku już w pierwszych dniach kwietnia pokryły się pąkami. W rozpiętej kurtce bujałem się na huśtawce, patrzyłem, jak rotmistrz Roch, rozebrany do flanelowej koszuli, spulchnia ziemię pod kwiatowe rabaty. Czekałem, aż mama skończy rozmowę z siostrą Janiną. Wróciła spłakana, bez słowa wzięła mnie za rękę. Przed kościołem skręciliśmy w stronę domu. Musiałem biec, żeby dotrzymać jej kroku. W wolnej ręce dźwigałem torbę z prezentami. Po obie dzie siostra przełożona każdego wychowanka obdarowała dużą torbą ze słodyczami i przyborami rysunkowymi. Najbardziej ucieszyła mnie zabawka: miniaturowe plastikowe sanie ciągnięte przez siedem psów eskimoskich. Moja pierwsza w życiu zabawka! W oczach Zofii Bodler podarunek absolutnie nie praktyczny. Coś, w co nie można się ubrać, a po kilku latach przerobić na rzecz równie praktyczną.

Radość z prezentu mąciło pochlipywanie matki. A jeśli to ona ma rację? Radość, zwykła powtarzać, sama w sobie nie jest niczym nagannym. Pismo Święte nie odmawia nam chwil radości na ziemi, choć to mizerna namiastka tego, czym tam, po tamtej stronie, będziemy obdarzeni w nadmiarze i na wieczność. Wzdychała, jak człowiek obarczony straszną tajemnicą, zbierała siły. Bo jak wypowiedzieć przestrożę, od której zależy moje zbawienie? Jak zaszcześcić we mnie wiarę, że wszelka radość jest podejrzana? Skrada się jak złodziej, mawiała, pokazuje tylko jasną stronę twarzy, tę ciemną, prawdziwą, skrywa w cieniu. Za każdą chwilę szczęścia przychodzi nam zapłacić. Łzami, chorobą, wreszcie bolesnym skurczem sumienia, z którego wyleczyć nas mogą tylko spowiedź i pokuta.

Torba mi ciążyła, jakby ktoś nawrzucał kamieni. Za szła banem, na wysokości sklepu pani Święcickiej, zrównaliśmy się z mamą Mirka. Toczyła się kaczkowato, dźwigając przed sobą ośmiomiesięczny brzuch. Zwolniliśmy. Kobiety rozmawiały, ścisząc głosy, z trudem wylapywałem pojedyncze słowa. Mama Mirka tupnęła nogą.

– A to dranie! To już za dzieci się biorą?

– Ciszej!

– Zamykają przykościelne przedszkola, to tylko patrzeć, jak zakony rozwiążą.

Kościół też będą likwidować? Komunistyczna zaraza!

– Nie przy dziecku!

Pani Graczyk nie dała się uciszyć. Krzyczała na całą ulicę, jakby napęczniały brzuch był pancierzem, o który nawet Cyrankiewicz nabije sobie guza. Zanim doszliśmy do domu, pół Ogrodowej zdążyło usłyszeć, co mama Mirka myśli o likwidowaniu przykościelnych przedszkoli, uwięzieniu prymasa, horrendalnych cenach i gnieźdzeniu się w norze bez gazu i bieżącej wody.

*

Pierwszego maja Zofia Bodler, fizyczna pracownica farbiarni w zakładach dziewiarskopończosznicznych, ubrała mnie jak do kościoła, sama włożyła beżowy kostium – i poszliśmy na pochód pierwszomajowy. „Miałam inne wyjście?” – żaliła się po powrocie pani Graczyk.

Nie rozumiałem powodu jej skwaszonej miny. Prawda, że aktywowi robotniczemu zbyt często kazano czekać na trasie pochodu. Stałem na ciągnionej przez skuter platformie, nad głową miałem napis: „Młode kadry młodej Polsce”, machałem białoczerwoną chorągiewką; gapie pokazywali mnie sobie i bili brawo. Przed nami szli Murzyni. Dudnieniem w bębny i piszczalkami podrywali do tańca. Przed trybuną honorową Afrykańczycy przystanęli. Staliśmy blisko siebie: Murzyni i aktyw robotniczy. Oficjele na trybunie uśmiechali się do gości z Afryki. Robotników mieli pod dostatkiem na co dzień, Murzyni trafiali im się rzadko. Nad Piotrkowską górowały transparenty, portrety i goździki, niebo zaczerwieniło się od baloników. Obwoźne punkty „Społem” serwowały kielbaski na gorąco, bez stania w kolejce można było nabyć elastyczne pończochy w różnych kolorach i rozmiarach.

W drugim tygodniu maja Graczykom urodziła się córka. „Marzenka? Też mi imię!” – wyśmiewałem się z Mirka. Maj i dla nas zaczął się pomyślnie. Dzięki poparciu rady zakładowej podanie Zofii Bodler o miejsce w państwowym przedszkolu za opiniowano przychylnie.

*

W połowie lipca przy Ogrodowej 40 zatrzymała się furgonetka. Ojciec Mirka z pomocą kolegi wniósł po schodach wielkie pudło z telewizorem. Był większy niż odbiornik Kartaszów, w politurowanej obudowie człowiek mógł się przejrzeć jak w lustrze. Program oglądało się przy zgaszonym świetle. Na wakacje do dziadków wyjeżdżałem z płaczem. Nie mogłem odżałować, że tyle dni spędzę bez telewizji.

Po wakacjach starszacom doszła nauka pisania i czytania. Uczyliśmy się na pamięć rymowanych strofek o pokoju, malowaliśmy białe gołębie, a z papier mâché lepiliśmy żołnierzy.

Aż zabito prezydenta Kennedy'ego i naraz wszyscy zaczęli mówić o wojnie.

Z okazji rocznicy rewolucji październikowej Policki otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi; z zastępcy awansował na kierownika dzielnicowej centrali „Społem”. Dawał do zrozumienia, że śmierć amerykańskiego prezydenta i dla niego jest ciosem.

– Co teraz będzie, panie Zygmuncie? – zagadnął go Kartasz. Był dwudziesty trzeci listopada, dzień po zamachu w Dallas.

– Czarne chmury się zbierają. Sytuacja ogólnoswiatowa jest bardzo niepewna. Była szansa na trwały pokój, nasi towa rzysze dokładali starań, ale teraz... U nich jeden Kennedy mógł coś zrobić.

Mama Mirka śmiała się za jego plecami. W sześćdziesiątym pierwszym na wiecu poparcia dla Kuby Policki mówił o „imperialistycznych świniach w Zatoce” i odsądzał Kennedy'ego od czci i wiary.

– Jaki pryncypialny – szydziła teraz, powtarzając ulubiony zwrot Polickiego. – Tylko mu się pryncypia zmieniają.

Pryncypiów nie ustalał Policki, Kartasz czy Graczykowie. Kennedy'ego pośmiertnie wychwalał polski aktyw partyjny, oddawał mu cześć bratni naród radziecki. „Postać prezydenta Kennedy'ego zapisze się na kartach historii jako wybitne go męża stanu i obywatela, który swą energię i niepospolite zdolności poświęcił sprawie rozwoju swej ojczyzny i pokojowe go współzycia międzynarodowego” – ogłosił premier Cyrankiewicz. Powtórzył tylko to, co zgoła dobitniej wyraził Nikita Chruszczow: „Śmierć J.F. Kennedy'ego jest ciężkim ciosem dla wszystkich ludzi, którym droga jest sprawa pokoju i współpracy radzieckoamerykańskiej. Nikczemne zamordowanie prezydenta USA w okresie, gdy w wyniku wysiłków miłujących pokój narodów zarysowały się oznaki złagodzenia napięcia między narodowego i otworzyła się perspektywa poprawy stosunków między ZSRR i USA, wywołuje oburzenie ludzi radzieckich na sprawców tej nikczemnej zbrodni”.

Naturalnie, oburzeniem wrzał też towarzysz Policki.

– Oglądał pan dziennik? – zaczepił Kartasza na ulicy. – Słuchał pan korespondencji redaktora Barcza?

– Jakiej korespondencji?

– Z Dallas. Czarne sumienia, drogi panie. Czarne dusze, skomentował dzisiaj na wiecu jeden z towarzyszy. Wieść o za mordowaniu Kennedy'ego zdążyła obieć cały świat, a w loka lach w Dallas nadal przygrywały orkiestry. Amerykanie bawili się w najlepsze! A u nas? Przerywamy występ Paula Anki w Sali Kongresowej! – Potrząsnął

egzemplarzem „Trybuny Ludu”. – I to jest ta prawdziwa przepaść, która dzieli Zachód i nas. Mają inne serca. To cywilizacja nienastawiona na człowieka.

Od dnia zabójstwa prezydenta modliłem się z mamą za spokój jego duszy. Wieczorem włączała radio na wiadomości, potem kazała mi klękać obok siebie i, zapatrzona w obraz Świętej Rodziny, odmawiała cząstkę różańca. Dwudziestego piątego listopada zabraliśmy składane krzesła i zeszliśmy do rodziców Mirka. Na transmisję uroczystości żałobnych przysłała do Graczyków prawie cała kamienica. W oczekiwaniu na program nikt nie potrafił usiedzieć spokojnie. Skoro zabili Kennedy’ego, to należało spodziewać się najgorszego.

– Taki młody! – zachnęła się pani Bednarczyk.

– I porządny – chlipnęła Zofia Bodler. – Katolik.

– Ja tam nie uwierzę, że Oswald mógł to w pojedynkę zrobić – zawyrokował gospodarz.

Pani Terenia, z Marzenką na rękę, przytaknęła mężowi:

– Komuś musiało na tym zależeć. Tylko komu?

– Jak to „komu”? – Policki rozłożył „Trybunę Ludu” i zaczął czytać: – „Cały świat jednomyślnie wskazywał na źródła, korzenie i siedlisko tej zbrodni. Na środowiska rasistów i ekstremistów, pół i pełnej krwi faszystów, na heroldów krucjaty antykomunistycznej, antymurzyńskiej, antypostępowej. Logika reakcyjnego myślenia i działania sprawiała, że ci, którzy rzucali bomby na szkoły murzyńskie, byli zarazem najgorętszymi bojownikami przeciw «czerwonej zarazie», że ci, którzy sprzeciwiali się reformom wewnętrznym, domagali się równocześnie interwencji na Kubie i polityki siły przeciw obozowi socjalistycznemu...”

– Panie Policki – wpadł mu w słowo Graczyk – może po jednym?

Policki z przyzwyczajenia zerknął na drzwi, jakby zapomniał, że małżonka wyjechała do Łowicza, aby kurować chorą matkę.

– A, polej pan! Stypa to stypa.

Graczyk rozlał wódkę do kieliszków. Rozpoczęła się transmisja i wszyscy ucichli. Sprzed Kapitolu ruszył kondukt żałobny. Sześć białych koni ciągnęło lawetę ze spowitą flagą trumną. Na trasie konduktu pogrzebowego zgromadziły się tłumy. Wszyscy płakali. Patrzyliśmy w milczeniu, jak rasiści i ekstremiści, pół i pełnej krwi faszyci, heroldowie krucjaty antykomunistycznej, antymurzyńskiej i antypostępowej ze łzami chowają swojego prezydenta.

*

Zofia Bodler nadal nie ustawała w modłach za duszę Kennedy'ego. Kiedy wieczorami klękaliśmy przed Świętą Rodziną, miałem wrażenie, że ze ściany spogląda na nas sam Kennedy w aureoli. Modliłem się, jak potrafiłem. W przedszkolu z innymi bawiłem się w wojnę. Zabrakło Kennedy'ego, więc konflikt zbrojny wybuchnie lada dzień. Krążyliśmy po świetlicy z rozpostartymi ramionami, udawaliśmy bombowce. Na leżało dolecieć z bombami nad cel i tam je zrzucić. Wokół powtarzano, że po zamachu na Kennedy'ego świat nigdy już nie będzie taki sam. Te słowa musiały kryć jakąś tajemnicę, skoro po Kennedy'ym płakał proboszcz od świętego Józefa, płakali to warzysz Policki, pani Bednarczyk i sam Cyrankiewicz.

Traf chciał, że zaraz potem wydarzyła się ta historia z Kordyckim. Nie pokazywał się na Ogrodowej z tydzień. Inni woza cy jak dawniej urządzali postój przy pompie, żeby napoić konie i dać im chwilę odsapnąć. Wreszcie któregoś dnia pokazał się też Kordycki. Wytarł boki konia wiechem słomy, nakrył mu grzbiet derką i dał pić. Zakurzył papierosa. Węgiel zawsze zdąży dowieźć. Koń ważniejszy.

– A gdzie Śliwa, panie Kordycki? – zagadnął go ojciec Mirka.

– Ano, padło jej się.

– Pewnie stara już była?

– Pewno to ze starości. – Kordyckiemu zaszkliły się oczy. – A taka miła była. Pysk jak jedwab.

Jeszcze wiele miesięcy później pół Ogrodowej opowiadało, jak Kordycki płakał za Śliwą. „Była miła jak Kordyckiego kobyła” – powtarzano wcale nie dla śmiechu. Dzień w dzień przez dwanaście lat ciągnąć fury z węglem to nie przelewki.

5.

W WAKACJE, po których miałem pójść do szkoły, pierwszy raz usłyszałem obco brzmiące słowo: alimenty. Morozowska, imienniczka mamy, mieszkała z nastoletnim synem na tym sa mym piętrze co my, po drugiej stronie korytarza.

– Jak to: ani grosza? – zachnęła się. – To jak ma pani starczyć? Dzieciaka oporzędzić, do szkoły obkupić?

Mama ujęła się pod boki.

– Przedtem nie brałam od niego pieniędzy, to i teraz się obejdzie.

– Taka pani honorowa? A dzieciaka sama sobie pani zrobiła? Niech płaci. Mój Janek

– zaczęła liczyć – zaczął właśnie czternasty rok. Co ja bym poczęła z jedną gołą pensją? Do łóżka potrafią zaciągnąć! A potem fru! O, nie! – powiedziałam mojemu, jak Janek skończył roczek. Niedoczekanie twoje! Po sądach chodziłam, ale dopięłam swego. Komornik pilnuje mu każdej złotówki. Nie chcesz płacić? To podaję do sądu i wsadzą cię za niepłacenie alimentów! I co? Pieniążki przychodzą regularnie. Dwa tygodnie pije, drugie dwa pracuje. Żadna łaska, pani Bodlerowa. Ich psi obowiązek.

Mama Mirka była tego samego zdania.

– Honorom garnka pani nie zapełni. Jak Michał pójdzie do szkoły, dopiero zaczną się wydatki: książki, przybory szkolne, nowe ubranie. Zacznie rosnać, to nie nadąży pani z kupowaniem. Nie chce pani chyba, żeby dzieciak odstawał od innych?

– Dobrze pani wie, że nie tylko o mój honor chodzi.

– To do kogo pójdzie pani po pieniądze? Zakład pracy po może?

– A jakże! Mamy fundusze, mówią, ale zapisz się do partii, będzie podstawa, żeby przyznać. – Mama ściszyła głos. – Może bym się i zapisała, ale co? Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek? Ja tak nie potrafię.

– Pani dobrze wie, co ja o tym pani Kaziku myślę. Ale ojciec to ojciec. Niech i on się poczuwa do obowiązku.

– Jakby pani nie wiedziała, czego się najbardziej boję. Siedem lat go uchroniłam.

– Ma prawo widywać się z dzieckiem? Ma! Za drzwi go pani nie wyrzuci, bo wróci z milicją. – I dopowiedziała ciszej: – Owoc zakazany pociąga najbardziej. Dzieciak dorośnie i zacznie wypytywać. Lepiej niech sam się przekona.

Podśluchałem jeszcze to i owo. „Jeśli dobrze pani syna wychowała, to sam dokona właściwego wyboru” – przekonywała Graczykowa. Przywołała przykład Tadeusza, starszego brata ojca. Ta sama krew, dowodziła, a kto by poznał, że rodzeni bracia? Jak ogień i woda. Przecież dziadkowie też porządni. Czar na owca trafia się w najlepszej rodzinie. Gdzie jest napisane, że syn musi wdać się w ojca?

Słowo pisane nie było dla Zofii Bodler najwyższym autorytetem. Książki czytała od przypadku do przypadku. Na własność miała cztery: Pana Tadeusza, Nowele Orzeszkowej, Całun turyński i Pismo Święte. Domową biblioteczkę zapełniały kryształ, wazoniki, porcelanowe figurki egzotycznych zwierząt i serwis do herbaty. „Bez książek można się obejść – mawiała. – Zła książka niejednego sprowadziła na manowce. Tracić czas na czytanie dyrdymałów, to jakby Pana Boga okradać”.

Postawiona przed sytuacją, z której nie potrafiła znaleźć wyjścia, po radę udała się do kościoła. Domyśliłem się, z jaką odpowiedzią wraca, bo miała ten sam cierpiętniczy

wyraz twarzy, z jakim w niedzielę zasiadała do wodzianki.

*

Była sobota, upalny lipiec dobiegał końca. Po powrocie z pracy Zofia Bodler rzuciła się w wir domowych porządków. Wypuściła mieszkanie do połysku, potem zajęła się mną. Za nim zegar pokazał piętnastą, siedziałem na wysokim krześle, wbity w wyjściowe ubranko.

– Opowiedz o tacie – poprosiłem.

– Niby co?

– Historię o Maciusiu.

– Zawracanie głowy! – Machnęła ręką z udanym rozdrażnieniem. – Tyle razy to słyszałeś.

– Opowiedz! – nalegałem.

Zdjęła fartuch, podeszła do lustra toaletki i czesząc włosy, zaczęła opowiadać. Dziadek Michał na drugie urodziny kupił mi kanarka. Maciuś zamieszkał w klatce na parapecie okna. Lubił popisywać się trelami. Im głośniej krzyczałem, tym więcej energii Maciuś wkładał w śpiew. Dziadkowie śmiali się, że kanarek ma we mnie konkurenta. Wieczorem klatkę przykrywano serwetką. Buntowałem się. „Dlaczego zamykacie Maciusia?”. Ojciec odpowiadał: „Musi iść spać”. Pewnego dnia klatka z kanarkiem zniknęła. Przepadła też większość zastawy stołowej i komplet bielizny pościelowej – prezent ślubny rodziców. Ojciec sprzedał wszystko na wódkę. Dziadek Michał odgrażał się, że tym razem zrobi z synem porządek. Kiedy ojciec po tygodniu wrócił, dziadek zwymyślał go od najgorszych. Babcia Natalka biła, czym popadnie. Ojciec, rzecz jasna, obiecał poprawę. Tadeusz załatwił mu dobrze płatną pracę. „I co z tego?”. Nieodmiennie tymi słowami kończyła się opowieść. „Popracował trzy tygodnie i więcej się w fabryce nie pokazał. Wyniósł z domu mój pierścionek, sprzedał pamiątkowy sygnet dziadka. Złej krwi nie odmienisz”.

Pięć po trzeciej przyszedł. Kiedy widziałem go ostatni raz, miałem niespełna trzy lata. Na ulicy bym ojca nie poznał. Nosił szerokie spodnie i marynarkę poszerzaną w ramionach. Kiedy ją zdjął, od razu zeszczułał. Miał rzadkie, proste włosy i twarz o ostrych rysach. Mówił szybko, chwilami niewyraźnie. Mama unikała jego wzroku. Usiadł na krześle przy oknie i posadził mnie sobie na kolanach. Opowiadał, jak w wojsku paradował na białym koniu. Szczwana bestia, wykonywała każde polecenie jeźdźca. Wystarczyło ścisnąć bok lewym kolaniem, a koń momentalnie skręcał w lewo. Przy dźwiękach orkiestry dętej maszerował równo jak kapelmistrz. Tor przeszkód pokonywał

w półtorej minuty. Nie było rowu, którego by nie przeskoczył. Na pokazie musztry paradnej Kazimierz Bodler i Ruslan zajęli pierwsze miejsce. Sam generał przypinał ojcu medal i gratulował zwycięstwa.

– Rozmawiałeś z generałem?

– Generałowie to straszni słuźbiści, ale żołnierza z krwi i kości potrafią docenić.

Mama traktuje ojca jak przedmiot. Gdyby mogła, wystawiłaby go za drzwi. Ojciec kłamie jak najęty. Nigdy nie służył w kawalerii. Pani Łopieńska, sąsiadka dziadków, wie o nim nie mał wszystko. Wzięli go do piechoty, po czterech miesiącach zwolnili z powodu platfusa. W życiu nie siedział na koniu. Nie dostał medalu i żaden generał z nim nie rozmawiał. „Lekko duch i fantasta – zżymała się Łopieńska w rozmowie z mamą. – Charakteru za grosz. Takiemu zaufać, to jak wypłynąć dziurawą łódką na środek jeziora”.

Za historię z kanarkiem, kłamstwa o białym koniu i generale powinienem ojca znieawidzić. O zmarnowanym życiu Zofii Bodler nie wspomnę. Ale kiedy wychodzimy z domu i w słoneczne sobotnie popołudnie maszerujemy Ogrodową – ojciec w poszerzanej w ramionach marynarce trzyma mnie za rękę, w drugiej dźwiga moją walizeczkę – jest mi lekko na duszy. Rysiek Majchrowski, łobuz spod Ogrodowej trzydzieści sześć, schował się za parkan. Jest starszy o cztery lata i przechwala się bratem kryminalistą. Nawet przy dorosłych potrafi cisnąć we mnie kamieniem.

– Widziałeś Biały kanion? – spytał ojciec. Właśnie minęliśmy kościół i dochodziliśmy do kina.

Pokręciłem przecząco głową.

Kolejka przed kinem „Popularne” ciągnęła się daleko na uli cę. Ojciec chwycił mnie mocniej za rękę. Przeciskamy się przez kolejkowiczów i wchodzimy do środka. Każe mi poczekać pod ścianą, sam przepycha się między barierkami do kasy. Ludzie syczą, ale nikt ojca nie zatrzymuje. Podchodzi do nastolatka przy kasie, wciska mu banknot i szepce do ucha. Cztery minuty później siedzę z ojcem w sali kinowej. Drewniane krzesła skrzypią. Ojciec śmierdzi nikotyną; zdjął marynarkę, spod krótkich rękawów koszuli wyglądają chude ramiona.

Trzy godziny seansu minęły jak z bicza trząśł. Szliśmy parkiem Śledzia, kiedy się odezwał:

– Ten wyższy to ma cios, nie?

– A który był wyższy?

– Ten, który wygrał. Gregory Peck. Tamten drugi nazywa się Charlton Heston. Też

kawał chłopa.

– Ale w czasie bitki to obaj ruszali się jak muchy w smole. Właściwie żaden nie wygrał?

Ojciec popatrzył na mnie z wysoka.

– W westernach to się nie zdarza.

Szliśmy boczną alejką obok stolików szachowych, przy których mężczyźni grali w karty i popijali wódkę z musztardówek. Wyszliśmy z parku, skręciliśmy w lewo i ulicami bez drzew kierowaliśmy się w stronę Limanowskiego.

Pociągnąłem ojca za rękaw marynarki.

– To w tym filmie który właściwie wygrał?

– Zawsze jest dobry i zły bohater. Wygrywa ten dobry. Zręczniejszy, silniejszy. I zabójczo przystojny.

– Coś jak Zorro?

– No, tak.

– To każdy by wolał grać dobrego?

– Aktor musi umieć udawać. Inaczej nikt mu nie uwierzy. Jak w życiu. Ale już w cyrku jest inaczej. Tam trudniej oszukać. Był kiedyś taki siłacz, Eugen Sandow. Nie wyglądał na siłacza. Ale kiedy się rozebrał, to same mięśnie. Na arenie podnosił wyśmienite ciężary. Ogromne stalowe kule, sztangi, nawet żywych ludzi. Miał popisowy numer: rwanie łańcucha. Asystentka oplatała go łańcuchem, Sandow się napinał i łańcuch pękał. Po każdym występie łańcuch trafiał do kowala do naprawy. Kowal nie mógł się nadziwić. Nie wiedział, że to cyrkowy rekwizyt. W końcu użył takiego materiału na spoiwo, że na łańcuchu można by wołu powiesić. Sandow natężył się, napinał mięśnie – łańcuch nie puszcza. Pięć minut się męczył, ale łańcuch przerwał. Taki był z niego artysta.

– Widziałeś go w cyrku?

– Czytałem o nim.

– Może to jakaś sztuczka, jak w filmie?

– Taki człowiek to fenomen. Trafia się raz na sto lat. Jedne go to nawet sam znałem. Mieszkał trzy kamienice dalej, nazywał się Gienek Rapaciuk. Miał tak twardy biceps, że miażdżył nim orzechy włoskie. – Ojciec zatrzymał się. Postawił walizeczkę na ziemi i wyciągnął rękę, żeby mi zademonstrować. – Kładł sobie orzech tu, w zgięciu ramienia, napinał biceps – i trach! Po orzechu. – Ruszyliśmy dalej. – Byłem wtedy jeszcze szczawik, ale wpadłem mu w oko. „Ty, Kazik, masz doskonałe warunki fizyczne –

mówił. – Daleko zajdziesz?”. Jak podrosłem, właściwie to już był koniec wojny, też mnie nauczył numeru z orzechem.

– Pokażesz mi?

– Oczywiście... Przy jakiejś okazji.

Całą drogę pokonaliśmy pieszo. Kamienicę dziadków po znałem po wiekowym bezlistnym drzewie za półokrągłą me talową barierką. Skręciliśmy w bramę i schodami weszliśmy na drugie piętro. Ojciec nacisnął guzik dzwonka. Serce waliło mi jak młotem.

Babcia Natalka stanęła przede mną, niska i drobna, po marszczoną twarz okalały miękkie włosy piaskowej barwy. Dziadek Michał nosił spodnie na szelkach i przypominał sierżanta Garcię. Nie widzieli mnie cztery lata i z miejsca zaczęli się licytować, które bardziej za mną tęskniło. Zajmowali klitkę niewiele większą od naszej. Duża trzydrzwiowa szafa dzieliła pomieszczenie na mikroskopijną kuchnię i wąski pokój.

– Teraz i tak jest lepiej – chwalił dziadek. – Doprowadzi li gaz i zimną wodę.

– Ale za potrzebą dalej trzeba ganiać na podwórze – przy gadała Natalka.

– Dla rozruszania kości.

– Na stare lata chciałoby się pożyć po ludzku.

– Co mamusia chce – włączył się ojciec – wojna była.

– Komunizm gorszy od wojny!

Dziadek pokręcił głową.

– Natalcia, co dziecko z tego zrozumie...

Przez ten tydzień nasłuchiłem się różnych opowieści. Dziadek Michał walczył z bolszewikami. Miał siedemnaście lat, kiedy w dwudziestym roku zgłosił się na ochotnika. Naczelnik Piłsudski zajmował w domu drugie miejsce, zaraz po Panu Bogu. Pan Bóg wciąż miał się nie najgorzej, za to Piłsudski umarł w trzydziestym piątym roku i dziadkom pozostały po nim tylko książki. Jedna zawierała zdjęcia z pogrzebu Marszałka. Za trumną szła Kasztanka Piłsudskiego, a ludzie tłumnie zgromadzeni na trasie konduktu mieli łzy w oczach – zupełnie jak Amerykanie na pogrzebie Kennedy’ego. Były też zdjęcia z pierwszej wojny światowej. Konie ciągnęły armaty, a potem z tych samych armat strzelano do innych koni. Żołnierze leżeli w okopach jak na pikniku. Kiedy ruszali do ataku, wielu ginęło. Niektórzy pośmiertnie dostawali medale. Czasem żołnierzowi poszczęściło się podwójnie: z urwaną kończyną odesyłano go do domu i jeszcze dostawał medal za odwagę. Kiedy trafiał do nie woli, czekał go pluton egzekucyjny. Cywile mieli gorzej, mogli zginąć od kul własnych żołnierzy. Najbardziej zapadła mi w pa mięć szubienica, wypisz wymaluj jak drewniany kozioł, na którym dziadek Stanisław

wędził szynki i bekony w przydomowej drewni. Naliczyłem pięciu wisielców, każdy miał na piersiach tabliczkę z tekstem po niemiecku. Podpis pod zdjęciem objaśniał, że Niemcy uznali ich za szpiegów. Najstarszy był w wieku dziadka Michała, najmłodszy wyglądał na dwanaście lat. „Woj na!” – westchnął dziadek spod fotografii na ścianie, na której miał siedemnaście lat i szykował się do pierwszej w życiu bitwy z bolszewikami.

*

Niewiele lat potem wybuchła wojna z Hitlerem. Oberlejtant Werner regularnie przychodził do dziadków w odwiedzin. Zajmowali wtedy duże dwupokojowe mieszkanie przy Kilińskiego. Oberlejtant zostawiał wojskową czapkę na wieszaku w holu, skrzypiąc wyglansowanymi oficerkami, przechodził do salonu, gdzie nieproszony siadał na krześle. „Herr Bodler – zaczynał obcesowo, popijając z wrodzoną elegancją kawę, którą przynosił w puszcze przy każdej wizycie – jak pan może, z takim nazwiskiem, gnieździć się tu, pośród Polaków! Znałem w Berlinie dwóch Bodlerów. Jeden tuż przed wojną awansował na generała majora, drugi pełnił funkcję komisarza w komisji kontroli cen w rządzie Rzeszy”. Dziadek wymawiał się, szepcząc Wernerowi na ucho, że on sam gotów byłby pomysł rozważyć, ale rządy w domu sprawuje małżonka, bez jej zgody on nawet piwa się nie napije, cóż dopiero mówić o podpisaniu listy folksdojczów. Oberlejtant Werner początkowo przyjmował tłumaczenie za dobrą monetę. „Frau Natalia – zwracał się do babci kaleką polszczyzną – wy mieć taka dwa piękna syna, a wy nic o nie nie dbać. Jaka przyszłość je czekać w tym polski Scheisse? One dobra niemiecka krew. Berlin, Nürnberg, Leipzig – każda niemiecka miasto przyjąć z otwartymi rękami takie chłopaka”. Babcia parzyła mu niemiecką kawę, częstowała domowym ciastem – i na uprzejmościach się kończyło. Kiedy Hitler ze Stalinem wzięli się za łby, oberlejtanta Wenera wysłano na front wschodni. Wcześniej dopilnował, by dziadek trafił na roboty do Niemiec. Dziadek wyjechał we wrześniu czterdziestego pierwszego roku, a w listopadzie władze niemieckie zarekwirowały mieszkanie przy Kilińskiego. W kopalniach Wirtembergii Michał przepracował do końca wojny. Kiedy wrócił, zamieszkał z rodziną w klitce przy Limanowkiego. „Żał tamtego mieszkania – wspominał. – Co poradzisz! Żeby tylko mieszkania ludzie tracili na wojnie!”.

W Wirtembergii dziadek harował od świtu do nocy. Nie wiedział, co przyniesie kolejny dzień. Trzaśnie stempel i po człowieku. Albo nie spodoba się któremuś z niemieckich strażników. W takich warunkach więzień potrafił cieszyć się byle drobiazgiem. Dostał dodatkową porcję chleba, to już był powód do radości. Więcej zjadł, to nabierał sił, a silniejsi, wiadomo, mieli szansę dłużej żyć. List od rodziny był

świętem. Pod koniec czterdziestego pierwszego Natalka postanowiła wysłać dziadkowi rodzinne zdjęcie. Kazała poszyć chłopcom nowe ubrania i w niedzielę po mszy poszli w trójkę do zakładu foto graficznego. Dziadek owinął zdjęcie w celofan i nigdy się z nim nie rozstawał, zabierał je nawet na dół do kopalni. Na zdjęciu Natalka siedzi na krześle, zwrócona półbokiem do obiektywu. Ma na sobie ciemną garsonkę i bluzeczkę ze stójką wiązaną na kokardkę. Lewą rękę oparła na kolanie, w drugiej trzyma Pismo Święte. Po jej lewej stał Tadeusz. Skończył już piętnaście lat i nosi tabaczkową jednorzędową marynarkę do pumpów. Ojciec ma prawie trzynaście lat. Stoi po prawej stronie krzesła, z lewą ręką na oparciu. Babcia ubrała go w chłopięcą marynarkę, białą bluzkę z wykładanym kołnierzem i spodenki przed kolana. Na odwrocie widnieje dedykacja sporządzona ręką babci: „Na pamiątkę Kochanemu Mężowi wraz z dziećmi zasylam naszą podobiznę. Kochająca Cię żona i dzieci. N.T.K. Bodler”.

*

Tadeusz dwa lata wcześniej otrzymał nakaz pracy. Musi stawiać się codziennie o piątej rano w niemieckiej piekarni przy Adolf Hitler Strasse, czyli dawnej Piotrkowskiej. Pod okiem niemieckiego piekarza wraz z tuzinem innych przymusowych pracowników wypieka pieczywo dla niemieckich żołnierzy i władz okupacyjnych. Ojciec za dwa tygodnie skończy trzy naście lat. Tuż po urodzinach otrzyma skierowanie do niemieckiej fabryki; zacznie od podawania narzędzi, z czasem będzie dźwigał bele materiału, z których powstaną robocze drelichy, kombinezony, plandeki na wojskowe ciężarówki i mundury polowe. Na komunikację miejską nie ma co liczyć, więc żeby zdążyć na piątą rano, musi wychodzić z domu godzinę wcześniej; część ulicy wchodziła w skład żydowskiego getta, oddzielonego od reszty miasta zasiekami, trzeba było sporo nadkładać drogi. „O wojnie nie sposób zapomnieć”, mówi babcia. Zaraz dodaje, że z nimi wojna obeszła się w miarę łaskawie. Dziadek Michał wrócił z Niemiec cały i zdrowy. Obaj synowie przeżyli. Przeżyli przyrodni brat babci Natalki i obie siostry dziadka. Młodszy brat dziadka, Arnold, zmarł śmiercią cywila jeszcze przed wojną. Miesiąc przed żeniactwem wdał się na wiejskiej zabawie w bijatykę z miejscowym oprychem. Sprawił bandzirowi manto, tamten ranił go nożem w rękę. „Zwykle skaleczenie” – uznał Arnold. Zbagatelizował ranę. Wdał się tężec i lekarze orzekli, że ręki nie da się uratować. Arnold nie czekał, aż mu rękę utną. Zwrócił narzeczonej słowo, poszedł do lasu i powie sił się na drzewie. Taki był honorowy. O Tadeuszu mówiono, że on najbardziej wdał się w Arnolda. W pięćdziesiątym drugim roku wzięli Tadeusza do wojska. Trafił do Marynarki Wojennej. Jego portret z dnia przysięgi wisi u dziadków na

honorowym miejscu. W mundurze marynarskim było mu do twarzy. Bosman wypatrzył, że Tadeusz nosi na szyi krzyżyk. Kazał zdjąć. Tadeusz nie posłuchał. Trafił na dwa tygodnie do aresztu. Potem umarł Stalin i nastały inne porządki. Na okręcie zjawiał się nowy bosman. Kiedy Tadeusz wspomina lata spędzone w wojsku, mówi, że to były piękne chwile. Wystarczy spojrzeć na jego zdjęcie w mundurze marynarza, by zrozumieć, co ma na myśli. Urodą bił na głowę Charltona Hestona. Był młody, dopiero wkraczał w dorosłe życie. Ze starcia z bosmanem i Staliniem wyszedł z honorem. Stryj Arnold, ten, co nie dał sobie ręki uciąć, byłby z niego dumny.

Ojciec wychodził do pracy, kiedy jeszcze spałem. Wracał późnym popołudniem. Większość czasu spędzałem z dziadkami. Każdego dnia z niepokojem oczekiwali powrotu ojca. Na chrobot klucza w zamku zamierali. Dziadek Michał próbował odwrócić moją uwagę, Natalka w tym czasie dyskretnie ojca obwąchiwała. Trzeźwy! Dopiero wtedy zaczynała trąkotać jak najęta.

Ja tymczasem nie traciłem nadziei, że coś się wydarzy: ojciec nie wróci na noc albo pijanego przyprowadzi milicja. Musi wydarzyć się coś, co mi pozwoli spojrzeć mamie w oczy.

W sobotę wieczorem siedzieliśmy we czwórkę przy stole. Natalka posprzątała po kolacji. Wyjąłem pudełko ze zdjęcia mi i kolejny raz naciągnąłem dziadka na opowieści „o dawnych czasach”. Znowu Arnold w parku na Zdrowiu klękał na kocu przed narzeczoną i grał na mandolinie. Władka i Janka, młodsze siostry dziadka, na ich pierwszej wycieczce rowerowej w osiemnaste urodziny Władki. I wreszcie dziadek Michał: w pumpach, czapka na bakier, pozuje do zdjęcia z miną piętnastoletniego bohatera. Na następnej fotografii ubrany w mundur, z karabinem. Kolba oparta o ziemię, prawą ręką obejmuje lufę, tak by wyeksponować sygnet.

– Co to za pierścionek? – pytam.

– To nie pierścionek! Sygnet za odwagę. W całym pułku tylko dwa przyznano! Zebrano cały oddział i na uroczystym apelu odczytano rozkaz podpisany przez Piłduskiego. Przyjechał sam brygadier, żeby nam je wręczyć w imieniu Marszałka. Pamiątka na całe życie.

– To dlaczego go nie nosisz?

Nie czułem triumfu. Miałem nadzieję, że się mylę. Dziadek wstanie i ze szkatułki ze szpargałami wygrzebie sygnet.

– Gdzieś przepadł. – Dźwignął się od stołu. – Wojenna zawierucha – mruknął, chowając się w kuchni.

– A! – Babcia machnęła ręką. – Tyle cennych rzeczy nam poginęło.
– Pewnie zawieruszył się przy przeprowadzce z Kilińskie go – podchwycił ojciec. – Jak tatusia zabrali do Niemiec, a nas wyrzucili z mieszkania.
Natalka zacisnęła usta.
– Kto by dzisiaj prawdy dochodził. Przepadł to przepadł. – Pozbierała fotografie do pudełka i schowała w szafie.

6.

SZKOŁA znajdowała się w głębokim zakolu, z dala od uli cy. Graniczyła z ceglanymi domami mieszkalnymi, które Izrael Poznański kazał wznieść dla robotników swojej fabryki i ich rodzin; ze szkołą sąsiedował betonowy mur, za murem rozciągały się tereny przyfabryczne, poprzecinane torami kolejowymi i siecią magazynów przemysłowych. Bywało, że idąc Ogrodową od Cmentarnej, w najmniej oczekiwanym momencie natrafiało się na opuszczony szlaban; mijały minuty, a pociąg nie nadjeżdżał. Od przejścia zakładów pod patronat Juliana Marchlewskiego składy towarowe nie trzymały się żadnego rozkładu jaz dy. Jedyne wyjście to uzbroić się w cierpliwość i czekać. Śmiałkowie przeciskali się pod szlabanem i biegiem puszczali przez tory, ryzykując, że rozpędzona lokomotywa, wychynąwszy bez ostrzeżenia z czeluści szeroko otwartej metalowej bramy, prze tnie im drogę.

W sąsiedztwie szkoły mieścił się stadion robotniczego klubu sportowego „Bawełna”, z bieżnią lekkoatletyczną, boiskiem piłkarskim i ringiem, na którym odbywały się mecze bokserskie. W ustalonych porach z obiektu korzystali uczniowie. Latem w soboty i niedziele rozgrywali mecze prawdziwi piłkarze. Na upartego mogłem oglądać zawody bez kupowania biletu i wychodzenia z domu. Potrzebny był tylko wysoki taboret. Ustawiałem stołek na korytarzu, tuż przy drzwiach mieszkania, i wdrapywałem się na blat; na wysokości oczu miałem prostokątne okienko w spadzistym dachu, z widokiem na stadion. Jedyne chyba korzyść z mieszkania na strychu. Piłkarze biegali w strugach deszczu, a ja pod osłoną dachu wyobrażałem sobie, że siedzę na trybunie honorowej.

Zanim skończyłem siedem lat, budynek szkoły oglądałem tylko z daleka. Ciemnoszary, masywny gmach budził respekt i lęk. Forteca, tak go w myślach nazywałem. Miał trzy piętra, wysoki parter i poddasze zwieńczone solidnym dachem z ku tej blachy. W podobnej forticy, podpowiadała mi wyobraźnia, więziono hrabiego

Monte Christo. Atmosferę grozy potęgowały opowieści Danki Kartasz, która od roku chodziła do szkoły. Po powrocie z lekcji sadzała młodsze dzieci na ławce i przybrawszy pozę nauczycielki, dzieliła się rewelacjami:

– Na samej górze, na poddaszu, jest koza dla niegrzecznych uczniów.

– Koza? – zdziwił się Mirek.

– Szkolne więzienie dla tych, co rozrabiają na lekcjach. Jak ktoś się nie nauczy, też go tam wsadzają. Do pilnowania jest specjalny woźny. Raz zapomniał o jednym chłopcu. Jak po trzech dniach otworzyli drzwi, ledwo go odratowali.

Wszyscy patrzyli teraz na mnie. Po Dance ja byłem najstarszy.

– Nie wierzę. – Zaśmiałem się dla dodania sobie animuszu.

– Sam się przekonasz. – Ściszyła głos. – W czasie wojny Niemcy urządzili w szkole areszt dla Polaków. Jeszcze teraz w piwnicach można się natknąć na czaszki i piszczele. Niemcy ich tam rozstrzelowali!

Mama Danki знаła większość nauczycieli z Ogrodowej. Przychodzili do księgarni po książki spod lady. Poprosiłem, by wypytała starszych nauczycieli, jak naprawdę było. Szkoła, dowiedziałem się, powstała w 1925 roku z funduszy władz oświatowych, do wybuchu wojny mieściło się w niej państwo we gimnazjum. Niemcy zajęli budynek na centrum kwatermistrzowskie wojsk garnizonowych. Nikt nie słyszał, by urządzili tam więzienie. Z mniejszym już lękiem poszedłem po wakacjach do szkoły.

Pierwszoklasiści z rodzicami zebrali się przed wejściem. W środku, za zamkniętymi drzwiami, trwały ostatnie przygotowania. Drzwi były drewniane, solidne, obwarowane filarową arkadą o grubych podporach zwieńczonych wysokim zwornikiem, w którym antemiony przeplatały się z fantazyjnymi ornamentami wyobrażającymi bliźniacze, stojące dęba fale. Wszystkie te obco brzmiące słowa wypowiedział na głos siwy mężczyzna, trącając laską to omawiany element, to wnuczka, którego przyprowadził.

– Zobacz, Piotrusiu, kapitele – powiedział, ostukując laską grzbiety bliźniaczych fal na zworniku. Obmacał wgłębienia i wypukłości podpór, zatrzymując się dłużej przy owalnych, wklęsłych reliefach. – Solidna, łódzka robota – dokończył. – Inna sprawa, że te puste miejsca aż się proszą, by przywrócić im zaginione maskary. Mówię ci o tym, Piotrusiu, tak detalicznie, bo w szkole będziesz się o wszystkich tych rzeczach uczył. Niech nic cię nie rozprasza. Pilność i skupienie, od dzisiaj dwa najważniejsze dla ciebie słowa. Mnie wystarczyło raz usłyszeć wykład profesora, by zapamiętać najdrobniejsze szczegóły. Chłonałem wiedzę jak gąbka wodę. Oczywiście, to działo się przed wojną.

Przestałem go słuchać. Moją uwagę przykuł stojący tuż przede mną, odwrócony

plecami pierwszoklasista. Na kołnierzyku białej koszuli jak kleks na kartce czernił się ruchliwy żuk. Miałem owada na wyciągnięcie ręki. Mocne żuchwy poruszały się, jakby badały żerowisko. Obrócił się niczym nakręcona zabawka, po namyśle ruszył niespiesznie w dół. Czarny pancerz błyszczał wyzywająco w słońcu. Patrzyłem, jak paraduje po białej koszuli, nie pozostawiając widocznego śladu.

Czarny doszedł do połowy pleców, zawrócił, od nowa pod jął wspinaczkę. Nie odrywałem od niego wzroku. Powinienem był coś zrobić. Ostrzec chłopca albo samemu patykiem strącić Czarnego na ziemię. Ostatecznie mogłem powiedzieć o wszystkim Zofii Bodler, niechby ona coś zaradziła. Zamiast tego stałem i tylko się gapiłem. Zupełnie jakby pod czarnym pancerzem skupiały się siły, które odbierały mi wolę działania.

7.

W WYSOKIM pomieszczeniu na pierwszym piętrze stoi dwadzieścia pomalowanych na czarno ławek, każda z otworem na kałamarz i rowkami na pióra. Przenosimy rzędy liter z tablicy do zeszytów. Skrzypią stalówki. Panna Szlechter, krążąc między ławkami, stuka bucikami na wysokich obcasach. Nachyla się nad każdym, żeby pochwalić lub poprowadzić rękę z piórem. Poprawia zbyt wklęsłe brzuszki, wyrównuje krzywizny i dorysowuje brakujące ogonki. Spod jej pióra litery wychodzą kształtne i bliźniaczo podobne do przykładów z elementarza. Panna Szlechter jest wysoka, szczupła, przypomina amerykańskie aktorki, którym przy uśmiechu robią się dołki w policzkach. Kasztanowe lśniące włosy spina w wysoki kok. W klasie ośla ławka zawsze stoi pusta. Panna Szlechter nigdy jeszcze nie zrobiła użytku z długiej linijki, którą polonistka Zarembowa przed odejściem na emeryturę wręczyła jej w obecności innych nauczycieli. „Nie ciągnąć ich za uszy, panno Katarzyno, bo można naderwać. Ale linijką trzepnąć po łapie, to im tylko wyjdzie na dobre”.

Panna Szlechter nie stosowała kar cielesnych. Dla nas, trzydziestu czterech pierwszoklasistów, najdotkliwszą karą było, kiedy przy napadzie suchego kaszlu sięgała po chusteczkę. W takich chwilach wybiegała z klasy. Pewnego dnia nie wróciła do końca lekcji. „To nie wasza wina – uspokajała dyrektor Korbusowa, która przysłała na zastępstwo. – Wasza pani ma słabe płuca”.

Pod oknem stało solidne biurko z ciemnego lakierowanego drewna, wyposażone w

dwie szuflady: w prawej panna Szelechter trzymała pudełko z kredą, czyste zeszyty i przybory do pisania, w lewej przechowywała książki. Kiedy wysuwała lewą szufladę, zamieraliśmy w oczekiwaniu. Wyjmowała książkę, na tablicę nanosiła tytuł i nazwisko autora, wreszcie zaczynała czytać. Przerzywała w najciekawszym miejscu, zamykała tom i odkładała do szuflady. „Chcecie wiedzieć, co było dalej? To sami przeczytajcie”.

Podsuwała nam przyprawy z rozmaitych kuchni: Baśnie z tysiąca i jednej nocy, Kubuś Puchatek, Król Maciuś Pierwszy, Feniks i dywan, Mity greckie, Piotruś Pan. Rozbudzała apetyt. Mogliśmy poprzestać na czytanych w klasie fragmentach – albo pójść krok dalej. W szkolnej bibliotece nie zrobiło się tłoczno. Na poddasze, gdzie umieszczono zbiory, zapuszczali się regularnie tylko nieliczni wyznawcy nowego kultu. Pan Ludwiczak każdego taksował wzrokiem już od progu. Bibliotekarz rzadko się mylił. Potrafił rozpoznać, w kim tli się słomiany ogień. W pstrokatej wełnianej kamizelce, którą na dowód wierności starokawalerskim nawykom nosił bez względu na porę roku, człapał za nami między półki, chciał mieć pewność, że nie po przestawiamy książek. Stałym bywalcom pozwalał myszkować między regałami. Jednak nawet ich obowiązywała nieprzekraczalna granica. Nie do pomyslenia było, by trzecioklasista – o nas, pierwszakach, nie wspominając – miał dostęp do półek z literaturą „poważniejszą”. „Za wysokie progi. Co taki pędrak zrozumie z Hugo czy Twaina?”.

Zakazany owoc kusił, ale grubość „poważnych” książek odstraszała. Na razie Ludwiczak nie musiał się obawiać, że prze kroczyć wyznaczony nam rewir. Z hardą miną wspinałem się na poddasze, w duchu odgrażając się, że tym razem żadna siła mnie nie powstrzyma. Za progiem biblioteki pokorniałem. Do domu wracałem z kolejnym tomem baśni Andersena albo braci Grimm.

Zofia Bodler, widząc mnie z książką, pytała:

– Co tam masz?

– Książki.

– To ci potrzebne do szkoły?

– Potrzebne – odpowiadałem.

Była w rozterce. Czytanie, wierzyła święcie, do niczego dobrego nie prowadzi.

– Nauczycielka wam poleciła? – upewniała się jeszcze.

Józek, najmłodszy brat mamy, zwykł pochłaniać książki tu zinami – i na dobre mu to nie wyszło. Gania za przyjemnościami. Buja w obłokach. Do roboty ma dwie lewe ręce. Nie gardzi łatwym zarobkiem. Jak nadarzy się okazja, to potrafi ukraść. Kilka razy otarł się o więzienie.

Wreszcie przykład ojca. Przykład bardziej drażliwy, bo, wiadomo, niedaleko pada jabłko od jabłoni. „W klasie nie miał sobie równych – opowiadał Tadeusz o młodszym bracie. – Na polskim nawet nauczyciela potrafił zagiąć. A jaka pamięć! Książkę przeczytał w jeden wieczór i każdy detal pamiętał. Sam wymyślał historie na poczekaniu! Tylko siadać i spisywać”.

Tak, myślałem sobie, jeśli spojrzeć na to jej oczami, Zofia Bodler z tego mojego czytania nie mogła być zadowolona.

*

Moje odwiedziny na Limanowskiego odbywały się teraz regularnie. Ojciec zabierał mnie co drugą niedzielę. Babcia Natalka czekała z obiadem; byłem najważniejszym obiektem niedzielnego rytuału. Ojciec zjadał swoją porcję w milczeniu, prawie ukradkiem. Natalka krzątała się między kuchnią a stołem, usta jej się nie zamykały. Dziadek Michał po obiedzie po puszczał szelki, wypowiadał wszystkiego może dwa słowa i za sypiał na siedząco. Natalka dawała ojcu przynaglające znaki. Przerywał milczenie i wypytywał mnie o szkołę. „Dobrze się uczysz?”. „Dobrze”. „Co lubisz najbardziej?”. „Czytać. I rysować”. „A co rysujesz najchętniej?”. „Konie”. Ojciec wyjmował książki o Piłsudskim, otwierał na dowolnej stronie i dawał mi do czytania. Babcia kładła przede mną gładki zeszyt. Rysowałem Kasztanę, indiańskie mustangi i czarnego rumaka Zorro. Gwóźdź programu zostawiałem na koniec – mój popisowy numer, rysowanie konia od ogona. Nawet ojciec się śmiał. Dziadek się rozbudzał. Natalka na wyścigi z ojcem zaczynali mnie wychwalać. Dziadek nie mógł się nadziwić. „Jak żywe” – cmokał, przeglądając zapelniony bohomazami zeszyt. Zegar na kredensie wybijał piątą. Zjadałem podwieczorek i pora była się żegnać. Dziadek przytulał mnie po męsku, babcia wciskała mi kopertę. Na kopertę czekała Zofia Bodler. Odkładała ją na kredens z obojętną miną, kiedy nie patrzyłem, zaglądała do środka. Czasem słyszałem, jak niezadowolona wzdycha. Widocznie jej zdaniem o n i znowu zbyt nisko mnie wycenili.

8.

NA CENZURKACH panna Szlechter prawie wszystkim dała najwyższe noty. W klasie pod koniec uroczystości chwycił ją atak kaszlu. Ktoś pomógł jej usiąść, przyniesiono szklankę wo dy. Przed czasem wypuszczono nas do domu. „Pewnie to te

pyłki w powietrzu” – podsunęła dyrektor Korbusowa.

Dwa miesiące wakacji miałem spędzić u rodziców mamy. Dziadkowie zajmowali jeden z dwóch bliźniaczych budynków wieluńskiego klubu sportowego przy stadionie piłkarskim, na obrzeżach miasta. Jeden budynek mieścił szatnie zawodników i pomieszczenia gospodarcze, drugi od biedy uchodził za leśniczówkę. Babcia Józefa tęskniła za domem w lesie, do jakie go przywykła. Przenosiny do Wielunia oznaczały pożegnanie z dotychczasowym życiem. Ale leśniczy Karlicki uznał, że nie ma wyboru. Po osiągnięciu wieku emerytalnego, zagrożony żywotem emerytowanego mieszczaucha, wolał pół etatu w nadleśnictwie wieluńskim.

Wieluńska „leśniczówka” otworzyła mi oczy i uszy na świat nowych wrażeń i egzotycznych słów. Flinta. Dziadek nazywał ją również fuzją albo dubeltówką. Zabierał flintę przy każdym wyjściu do lasu. Tłumaczył cierpliwie, do czego służą proch, śrut i sponka. I dlaczego, skoro w wieluńskich lasach nie ucho wały się wilki, nie ładuje już flinty loftkami. Poznawałem nowe słowa: poroże, rapeć, odyniec, buchtowisko, basior, wadera, samopał. Ale i słowa dobrze znane potrafiły zaskakiwać. Zając nie miał nóg, tylko skoki, szable to kły dzika, a oczy sarny połyskujące w ciemności to świece. Z pojedynkiem trzeba ostrożnie, pouczał dziadek, bo taki dzik, który odłączył się od stada, może być niebezpieczny. Jeleń dźwiga na głowie wieniec, a wieniec, czyli poroże, składa się z konarów i gałęzi. Cień – tak nazywa się wypchanego królika albo kaczkę – wykłada się dla przywabienia rysia, lisa czy wilka. Myśliwy zasadza się wtedy na ambonie. Ambona? Specjalna kryjówka na drzewie, odpowiednio zamaskowana, na tyle duża, by można przesiedzieć wiele godzin.

Dziadek wyprawiał się do lasu bladym świtem. Wracał na obiad, sprawdzał, czy starczy mu do wieczora machorki, i już było mu dosyć próżnowania w domu. Zarzucał flintę na ramię, zapinał mundur i wsiadał na rower. Jeżeli wyraziłem życzenie, zabierał mnie ze sobą. Korciło mnie, by choć raz towarzyszyć mu na porannym obchodzie, ale na to budziłem się zbyt późno.

Babcia, nucąc Kiedy ranne wstają zorze, szykowała śniadanie. Z napięciem wyczekiwałem ostatniej zwrotki, żeby usłyszeć: Wielu snem śmierci upadli, co się wczoraj spać pokładli. My się jeszcze obudzili, byśmy Cię, Boże, chwalili. Jeśli wierzyć Panu Bogu, tłumaczyłem sobie, ci, którzy Go chwala, mogą się spodziewać długiego życia; taki pakt z Bogiem, myślałem, jest niczym list żelazny. Babcia Józefa pilnowała, by pakt regularnie odnawiać i żyrować codzienną modlitwą. Z czarnej, wysłużonej ksiąteczki do nabożeństwa odmawiała litanie, nowenny i akty strzeliste. Lubiłem

śłuchać. Słowa działały na wyobraźnię. Wypowiadane jednym tchem „módl się za nami” i „wybaw nas, Panie” umacniały człowieka w przekonaniu, że skoro zrobił wszystko, co należało, uniknie losu tych, co snem śmierci upadli.

Potem doglądała kur, pielęła w ogródku, wreszcie zabierała się do gotowania obiadu. Ja też nie próżnowałem. Ze skórzaną łapką, którą dziadek sporządził specjalnie dla mnie, wychodziłem na zalany słońcem taras, łączący leśniczówkę z budynkiem klubu piłkarskiego. Z kuchni niosła się pieśń o Bernadecie, której pokazała się Matka Boska, a ja na tarasie z zapalem tłukłem łapką muchy. Pożyteczne zajęcie. Muchy przenoszą zarazki i paskudzą szyby. Roboty miałem pod dostatkiem, ale cierpliwości starczało mi na kwadrans. Odkładałem łapkę i wymiatałem owadzie zwłoki do ogródka. W południe skrzyiała furtka. Dziadek zostawiał rower na tarasie, otrzepawszy buciory wchodził do domu. Babcia czekała z obiadem. Dziadek zjadał – i już nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wyjmował z kieszonki spodni cebulę na łańcuszku i sprawdzał godzinę. Upewniał się, że w kieszeni munduru ma fajkę i zapas machorki. Najbardziej lubiłem moment, gdy wkładał czapkę. Dubeltówka przydawała mu powagi, ale dzięki czapce z zielonym otokiem i srebrnym orłem wydawał się kimś ważnym.

Spoglądał na mnie.

– Chcesz, to chodź – rzucał zdawkowo i już był za progiem.

Babcia wychodziła za nami.

– Normalnie wrócisz?

– No.

Czasem miała jakieś specjalne zlecenie:

– Nazbierałbyś grzybków.

– Na kolację?

– Do suszenia. Tylko nie jakieś betki.

– Przecież wiem – kwitował lakonicznie.

Milczkowatość dziadka odpowiadała mi. Choć w tym jednym byliśmy do siebie podobni. Zwalniała mnie z obowiązku prowadzenia rozmowy, która, prędzej czy później, podejrzewałem, musiałaby mnie przywieść do pytania o początek mojej historii; podobna dociekliwość o rolę strzelby dziadka i przyczynę jego uporu sprzed lat byłaby usprawiedliwiona, bądź co bądź to za ich przyczyną wszystko się zaczęło. Dziadek milczał, za to w lesie język mu się rozwiązywał. Prowadził mnie do leśnej szkółki, gdzie hodowano bażanty. O piętnastej, punktualnie co do minuty, leśną ciszę przerywał niepokojący dźwięk. Brzmiało to tak, jakby coś dostało czkawki. Zaraz odzywały się dwa

bliźniacze echa. „Osły – wyjaśnił dziadek pierwsze go dnia. – Zawsze o tej porze dostają jeść”. Miałem o nich zgoła błędne wyobrażenie, aż któregoś popołudnia ujrzałem, jak ciągną wózki z torfową ziemią, i w jednej chwili stanęła mi przed oczami Śliwa wozaka Kordyckiego. Wychudłe, z zapadłymi bokami, zdawały się zmagać z ciężarem ponad siły. Były w niczym niepodobne do smoczyska przed łódzkim ogrodem zoologicznym, na którym, wbrew moim protestom, ojciec posadził mnie w mroźny grudniowy dzień do pamiątkowego zdjęcia przed laty, jakby nie widział, że bestia tylko czeka, by na moment odwrócił wzrok.

*

– Dzisiaj zostaniesz w domu – oznajmił dziadek w czwartkowe popołudnie. Wystarczyło zobaczyć jego minę, by pojąć, że dyskusja nie wchodzi z grę. Obrażony zaszyłem się w kącie i tam przesiedziałem do wieczora. Słyszałem trzaskanie garnkami w kuchni. Spodziewaliśmy się gości – w pięćdziesiątą rocznicę ślubu dziadków zapowiadał się wielki zjazd rodzinny. Po kolacji zapędzono mnie do łóżka. Nie zmrużyłem oka. Wreszcie usłyszałem skrzypienie furtki zapowiadające powrót dziadka. Na palcach podkradłem się pod drzwi i nasłuchiwałem odgłosów z kuchni. Przez dziurkę od klucza zobaczyłem jego stopy w walonkach, przy walonkach leżały trzy martwe zające. Wróciłem pod kołdrę. Kiedy się obudziłem, dziadka po niosło już do lasu. Spod garnków na piecu dobywała się para. Pachniało mięsem i przyprawami.

– Głodny jesteś?

Mruknąłem coś niewyraźnie.

– Musisz poczekać, aż się z grubszą uporam z robotą. Ale pasztet to chyba lubisz, co?

*

Pasztetu, oczywiście, nie tknąłem. Wszyscy się dziwili. Najbardziej ciotka Janka. Wychowuje troje własnych dzieci, trudno ją oszukać. Skłamałem, że coś mi zaszkodziło.

Ale zanim przedpołudniowy pekaes przywiózł z Łodzi gości, przeżyłem okres niepewności. A jeśli coś ich zatrzyma? W sobotę od rana snułem się z kąta w kąt. Co rusz przerywałem babci odmawianie różańca.

– Przyjadą? Pewna jesteś?

– Jakżeby nie.

– A jeśli coś im wypadnie?

– No to nie przyjadą. – Zanim wróciła do różańca, wy powiadała swoje prywatne credo: – Przyjadą, to dobrze, nie przyjadą, to drugie dobrze.

Jednak przyjechali. Wiara Józefy została nagrodzona. Ale kiedy całą szóstką stanęli przed furtką: Janka, rozwiedziona z mężem alkoholikiem, trójka dzieci na karku; Zofia Bodler, rozwódka; Ziuta (jej jednej się poszczęściło, bo denaturat wpędził Stefana do grobu, więc w dość młodym wieku została wdową); Józek, najmłodszy z synów, w cztery lata spłodził trzy dziewczynki, od roku rozwodnik; Henryk – porzucił śmiertelnie chorą żonę i trójkę małych dzieci; wreszcie Tadeusz, dwójka chłopców, obecnie w trakcie rozprawy rozwodowej – kiedy zatem ich zobaczyłem, nie mogłem nie pomyśleć, że albo Pan Bóg czasem się myli, albo modlitwy nie zawsze odnoszą skutek.

Wieczorem zasiedliśmy do stołu. Głos dziadka przebijał się przez gwar rozmów. Wypił trzy kieliszki i zebrało mu się na wspominki. Widzę, że wszyscy zeszywnieli.

– A tę historię z Rumieńską pamiętacie? Jak mieszkaliśmy w Burzeninie, tuż przed końcem wojny?

– Dałbyś, ojciec, spokój! – Babcia robi marsową minę.

– Przecież nie zmyślam.

– Głupoty opowiadać!

– Pamiętam jak dziś. Jeden po drugim, psiakrew. Jak zwierzęta...

– Może mojej tatuś spróbuje? – Tadeusz chce ratować sytuację. – Cytrynówka, sam mieszałem.

– No to polej. – Upił. – Niezła, tylko się jeszcze nie prze gryzła. No więc był kwiecień, ale ciepło jak dzisiaj. Jechały same we dwie konnym wozem, na skróty przez las. Rumieńska z córką. A tu wyłażą zza drzew, stają im na drodze Rosjanie. Cały oddział. Złazić z wozu, krzyczy ten ich komandir...

– Tatuś, już to tyle razy słyszeliśmy – protestuje Janka.

– Chcecie konia, to bierzcie, ona do nich. Bodaj tam! Ru sek, ten najważniejszy, z miejsca zabiera się do córki. Zostaw, prosi Rumieńska, czternastu lat jeszcze nie ma, to już, mówi, weź raczej mnie. Durna, śmieje się rusek, zastaraś. I tak jak ich było dziewięciu, po kolei, jeden po drugim. Jak zwierzęta, psia krew. A na koniec dobili. I matce też kulkę w łeb.

Goście wyjechali w niedzielę, zaraz po obiedzie. W domu opustoszało. Przestałem tłuc łapką muchy. Nie mogłem znaleźć sobie zajęcia. Do południa większość czasu spędzałem nastadionie. Z wyjątkiem sobót i niedziel murawę, bieżnię i trybuny miałem wyłącznie dla siebie. Zapelniałem trybunę widzami. Biegiem okrążałem stadion, przyspieszywszy na ostatnich metrach, pierwszy wpadałem na metę, a ojciec patrzył na mnie z każdego z dwóch tysięcy miejsc. Zrywał się na równe nogi i bił mi brawo.

9.

PO WAKACJACH panna Szlechter wróciła do szkoły „z no wym zapasem sił”. Sześć tygodni lata spędziła w sanatorium. Tymczasem pojawiło się nowe zagrożenie. Drejczyn, nauczyciel matematyki, ją zabiegać o względy panny Szlechter. Z miejsca go znieawidzieliśmy. Po lekcjach wystawał przed szkołą, czekał, aż panna Szlechter wyjdzie. Z nastaniem jesieni kupił samochód. Zbiegło się pół szkoły, każdy chciał to niebieskie cacko obejrzeć. Panna Szlechter kilka razy pozwoliła mu się podwieźć. Jednak nasze obawy okazały się zbyteczne. Odrzuciła konkury i od tego dnia Drejczyn prawie nie wyściubiał nosa z pracowni matematycznej. Panny Szlechter unikał, kłaniał się jej chłodno.

O wampirze pierwszy raz usłyszałem w marcu. Pani Graczyk przysłała do nas z gazetą. Choć za oknem było jeszcze widno, Zofia Bodler zapaliła wszystkie światła. Zaszyły się w kuchni i pochylone nad gazetą, czytały. Nadstawiłem uszu. W lesie pod Łaskiem znaleziono obnażone zwłoki młodej dziewczyny. Nie do końca pojmowałem, co znaczy „obnażone”, lecz już słowo „zwłoki” przejmowało grozą.

– Podobno – komentowała Graczykowa – to nie pierwszy taki wypadek w ostatnich miesiącach.

– Co też pani...

– W lutym zabił pod Kuluszkami. A pod koniec roku w skierniewickim lesie, gdzieś pod Gałkówkiem. Jedna miała dwadzieścia dwa lata, druga sześćdziesiąt pięć.

– To by tak cicho było wokół tego?

– Przecież gazety nie będą o wszystkim pisać. Dopiero by się panika zrobiła! Może już wpadli na jego trop i nie chcą spłoszyć? Żeby im się nie wymknął, jak wtedy na Kozinach.

Dziennikarze zachowywali powściągliwość, za to w mieście huczało od plotek. W styczniu „wampir z Gałkówka” ponoć zabił dwa razy. W ostatnim tygodniu lutego dokonał trzech na padów. Za każdym razem zwłoki znajdowano w pobliżu torów kolejowych koło Skierniewic. Podobno teraz przeniósł się do Łodzi. Trupy pojawiły się już na Widzewie, w Księżym Młynie i w parku Śledzia. Łódź zna jak własną kieszeń. Na Kozinach wymknął się milicji w ostatniej chwili.

Mąż pani Graczyk orzekł, że to na pewno nie jest wampir z Gałkówka. Tamten

grasował w latach pięćdziesiątych, gdzieś do roku pięćdziesiątego szóstego, więc dlaczego tyle lat siedział by cicho? Prędeż już w grobie leży.

Ludzie sięj panikę, uspokajał towarzysz Policki. Nawet w socjalistycznym kraju trafiają się degeneraci. Niech komuś się nie wydaje, że władza ludowa i z takimi nie potrafi sobie poradzić. Natomiast seryjni mordercy, zaznaczył, zdarzają się wyłącznie na Zachodzie, stanowiąc dobitną ilustrację nawarstwiania się problemów społecznych w kapitalizmie, wypaczeń w gospodarce i sferze socjalnej, za którymi stoi odhumanizowany kapitał, to nieludzkie narzędzie odpowiedzialne za nierówny podział dóbr, ciemnienie tamtejszej klasy pracującej.

Mimo że powiało wiosną, nie rozstawałem się z zimową kurtką. Mamie wmawiałem, że w tym roku dziwnie marzną. Kurtka miała głębokie kieszenie, w sam raz, by zmieścić młotek. W kwietniu musiałem kurtkę odwiesić. Teraz młotek nosiłem w tylnej kieszeni spodni. Kiedy Zofia Bodler o dziesiątej wieczorem wracała z fabryki ciemnym wyludnionym odcinkiem między Północną a Ogrodową, była zdana wyłącznie na siebie. Ale nie wtedy, gdy mogłem jej towarzyszyć! Tanio bym naszej skóry nie sprzedał.

Z młotkiem rozstałem się w pierwszych dniach czerwca. W letnim ubraniu trudno było go ukryć. Zresztą z nadejściem długich słonecznych dni strach przed wampirem zelżał. Lato i słońce najwyraźniej nie sprzyjały wampirom. Jeżeli ten z Gałkówka nadal nie wychodził mi z pamięci, to przede wszystkim za sprawą Johanna.

Johann wyhodował długą, siwą, strzępiastą brodę. Czy zima, czy lato nosił gabardynowy płaszcz, pod nim krzywo po zapinane swetry i ciepłe koszule. Ludzie zatykali nos – od Johanna śmierdzi, mówili. W kieszeniach płaszcza chował garście cukierków. Te cukierki miały być jego tajemną bronią. Chodził po ulicach i ponoć na cukierki łowił dzieci. „Nic od niego nie bierz! – przestrzegali rodzice. – Weźmiesz cukierek, to po tobie. Capnie za rękę i nie puści. Wywiezie gdzieś, zakopie albo sprzeda”. Mimo ostrzeżeń odważaliśmy się podchodzić i przyjmować cukierki. Kierowało nami nie tyle łakomstwo, ile chęć spojrzenia na Johanna z bliska. Potem braliśmy nogi za pas, by już z bezpiecznej odległości wołać „Żyd” albo „szwab”, jak między sobą nazywali Johanna dorośli.

Nie cukierki były winne – to oczu Johanna należało się bać. Nikt nie wiedział tego lepiej niż my, dzieci z Ogrodowej

40. Dom Johanna sąsiadował z naszym. Okno jego mieszkania na drugim piętrze wychodziło na nasze podwórko i widzieliśmy, jak Johann wystaje w nim godzinami. W ferworze zabawy zapominaliśmy o jego obecności, ale wystarczyło, by ktoś spojrzał w

górze i powiedział: „znowu tam sterczy”, a stawaliśmy na baczość. Nawet gdy okno pozostawało puste, wrażenie, że Johann, skryty za kotarą, śledzi każdy nasz ruch, nigdy nas nie opuszczało. „To stary, biedny człowiek” – skwitowała mama Mirka, kiedy poszliśmy się jej pożalić. Przed Sarnecką, babcią Haliny, nikt z nas na Johanna się nie skarżył, a właśnie ona pomstowała najgłośniej. Kiedy szła podwórkiem, a Johann wystawał w oknie, potrafiła krzyknąć: „stare żydzisko!”. Wcale nam się to nie podobało. W końcu nie ją Johann podglądał.

10.

TEGO LATA w Wieluniu nie narzekałem na monotonię. Z nadmiaru wrażeń zapomniałem o Gałkówku i Johannie. Niemal z dnia na dzień dziadkowie musieli przenieść się do bloku w centrum miasta. Wszystko za sprawą meczu piłki nożnej i roli, jaką odegrała służbowa fuzja dziadka. Niedzielne mecze ściągały na stadion do dwóch tysięcy widzów. Zawodników dowoziły auto kary, kibice z dalszych miejscowości przyjeżdżali rowerami i na motorach. Motory przyciągały uwagę: lśniły lakierem, srebrne okucia i osłony z niklowej stali były wypolerowane do połysku, wymalowane na ramach ondulowane piękności przeciągały się w kusych opalaczach. Olewiński, arbiter główny, przyjechał własnym samochodem. Zaparkował w zatoczce przed stadionem, przebrał się w szatni i tuż przed trzynastą wybiegł na boisko. W osiemdziesiątej siódmej minucie gry, przy stanie jeden do jednego odgwiżdżał rzut karny dla drużyny gości. Spotkanie zakończyło się przegraną gospodarzy. Mecz zbiegł się z obchodami święta 22 Lipca, od rana raczono się watą cukrową, oranżadą, parówkami na gorąco i piwem w butelkach. Rozjuszeni porażką kibice gospodarzy na początek zniszczyli Olewińskiemu samochód. On sam próbował uciec do szatni. Nie zdążył. W ostatniej chwili znalazł schronienie u dziadków. Zabarykadowali się od środka. Olewiński beczał jak dziecko. Za drzwiami ucichło i myśleliśmy, że sobie poszli, kiedy raptem gruchnęła szyba w kuchennym oknie. Dziadek pobiegł do pokoju, a kiedy wrócił, w rękę ścisnął fuzję. Otworzył drzwi i wypadł na taras. „Czym ty, ojciec, załadowałeś?” – spytała potem babcia, tak straszny był huk. „Loftkami na dziki”. „Bój się Boga! Nie mogłeś wziąć naboju na cietrzewie?”. „Loftki były pod ręką”.

Władze nadleśnictwa znalazły dziadkom nowe lokum. Klub sportowy potrzebuje obu pomieszczeń, tłumaczono, dzierzawa upływa za cztery miesiące, a klub nie chce

przedłużyć umowy. Poza tym, przekonywano, miejskie urzędy, o sklepach nie wspominając, będą mieć państwo na wyciągnięcie ręki. Tak brzmiała wersja oficjalna. Wiadomo było, że skoro dziadek za laźl chuliganom za skórę, lepiej zrobi, schodząc im z drogi. Po co kusić lichu, panie Karlicki, taki łobuz może i dom podpalić, i w łeb dać. Dziadek miał w sobie zawziętość typową dla podupadłej szlachty, tych schłopiałych skich i ckich, którzy stracili majątki na wojnach albo w karty i pozostało im tylko trwać przy rodowym nazwisku. „Nigdzie się nie ruszę, ruskich i Niemców przetrzymałem, to stadionowym łobuzom też nie dam się przegnać”. „Oficjalnie proszę, panie Karlicki – obsta wał nadleśniczy Knapik. – A jak strzelbę ukradną? Albo panu nerwy puszcza? Nieszczęście gotowe”.

Blokowe mieszkanie przy Różanej (pokój z kuchnią, gaz, łazienka z wanną, ciepła i zimna woda) mieściło się dogodnie na parterze, okno pokoju wyglądało na willę z przydomowym sadem, śliwki i czereśnie miałem niemal na wyciągnięcie ręki. Dziadek pozostał wierny swoim zwyczajom. Skoro świt napełniał miskę zimną wodą, stawiał ją w pokoju na taborecie i rozebrany do pasa, mył starannie twarz, potem nacierał wodą klatkę piersiową; prychnąc jak koń, tarł rękami zwiędłą skórę, aż pokrywała się różowymi plamami. Na pasku zawieszonym na klamce ostrzył brzytwę, namydlał twarz i pewnymi ruchami ścinał zarost, oszczędzając szczoteczkę wąsów. Kiedy wkładał mundur, jego pochyłe plecy wydawały się prawie proste. Moje wyprawy z dziadkiem do lasu nabrały nowego powabu. Mieliśmy do pokonania pół miasta – mijaliśmy rynek i kościół Bożego Ciała, potem dworzec autobusowy, za nim ciąg sklepów. Dziadek, ubrany w mundur, prowadził służbowy rower, ja drobiłem obok; albo sadzał mnie na ramie i puszczałyśmy się śmiało między samochody i konne wozy. Byłem wniebowzięty.

Przeprowadzka kosztowała babcię Józefę utratę kurnika i ogródka, za to droga do kościoła zajmowała jej teraz pięć mi nut. Wieczorem ubierała się w odświętną sukienkę, na głowie wiązała ciemną chustę, stopy o poskręcanych palcach wciskała w miękkie skórzane buciki, z rzadka tylko noszone na inne, świeckie okazje. Z różańcem i grubym modlitewnikiem w toreb ce szła na spotkanie z Panem Bogiem. Jeżeli nie towarzyszyłem dziadkowi, zabierała mnie ze sobą. Szedłem chętnie. Lubiłem oglądać olejne malowidła i wdychać słodkawy zapach kadzideł, którym przesiąkały włosy i ubranie. Siedziałem w ławce jak trusia. Na obrazach przy ołtarzu anioły o poważnych twarzach wlepiły wyłupiaste oczy w aureole nad głowami świętych. Wreszcie wybijała ta niebezpieczna godzina, gdy na ołtarzu lała się krew Jezusa, i kto mógł spieszył po Jego ciało.

Po mszy przed kościołem odbywała się wymiana obrazków z nowennami i najnowszych plotek.

- Wnuczek, pani Karlicka? – dopytywały staruszki.
- Syn Zosi, z Łodzi.
- Grzeczne dziecko! Ile ma lat?
- Niedługo skończy dziewięć. Po wakacjach idzie do trzeciej klasy.
- W kościele oczu nie można od niego oderwać!
- W maju pójdzie do komunii.

W takich chwilach utwierdzałem się w zamiarze zostania księdzem. Ciotka Ziuta żarliwie mnie do tego namawiała. „Jeżeli pójdziesz do seminarium – obiecywała – kupię ci telewizor”.

*

Willa nadleśniczego Knapika stała przy głównej bramie do lasu, strzegły jej dwa owczarki niemieckie oraz czerwona tablica ze stosownej treści urzędowym napisem i białym orłem. „Zobaczysz największą atrakcję okolicy – zapowiedział dziadek, prowadząc mnie do środka. Ze ścian wielkiego salonu spoglądały na nas głowy dzików i jeleni. Chlubą Knapika było ogromne akwarium. Wzmianki o zbiorach wieluńskiego akwarysty ukazywały się nawet w łódzkich gazetach. Szklany zbiornik zajmował środek salonu. Wśród płataniny roślin wodnych, szklanych rurek, kamieni o fantazyjnych kształtach i grot z muszelek żyło kilkanaście ponoć bardzo rzadkich ryb. Nadleśniczy każdą umiał naukowo opisać, z upodobaniem cytował ich łacińskie nazwy; padały słowa, które niewiele mi mówiły, za to rozpałały wyobraźnię: Zatoka Biskajska, koralowce, jezioro krasowe, ukwiały, kardynałki, skalary, gambuzje. Opowiadał z takim samym zapałem, z jakim wujek Włodek, były mąż ciotki Janki, mówił o gołębiach, które przez lata hodował na strychu drewniane go domu na Kozinach, zanim pewnego wieczoru po pijanemu ukręcił im łebki.

Zapowiedź przyjazdu gościa z Francji przyćmiła nawet akwarystyczną atrakcję Wielunia. Pani Knapikowa miała kuzynkę, która po wojnie poślubiła francuskiego żołnierza i zamieszkała w Paryżu. Sfrancuziała kuzynka wydała na świat trójkę dzieci. Najmłodszy, Jean Pfeiff, miał dwadzieścia dwa lata. Zwiedził Australię i Bali, zjeździł pół Europy. Po wakacjach miał podjąć studia na Sorbonie.

- Prawdziwy Francuz? – upewniłem się, kiedy dziadek przyszedł z wiadomością do domu.
- Najprawdziwszy.

Chodziłem podekscytowany. Zimą ubiegłego roku do Kartaszów przyjechał znajomy Kaszub. Mówił dziwnie, jakby nie w Polsce się urodził. Przy kolacji sam opróżnił pół litra wódki, potem jedną ręką osiem razy z rzędu podniósł beczkę z kapustą. Nie spotkałem nikogo równie osobliwego. Jeśli nie liczyć pana Orlawy, który ostatnie dwa lata wojny przeżył ukryty w ziemiance Karlickich. Po wojnie przyjeżdżał do dziadków z żoną na wywczasy. Mieszkał w Ożarowie pod Wieluniem, utrzymywał się z wykonywania nagrobków. Wciąż ponawiał zaproszenie do rewizyty, więc pewnego lipcowego dnia wybraliśmy się do Ożarowa. Już w drodze obleciał mnie strach. Siedzieć przy jednym stole z człowiekiem, który żyje z kopania grobów? Dziadek czegoś się domyślał, bo wziął mnie na spytki. Wybuchnął śmiechem. Grabarz! Aleś wymyślił. Pan Orlawa nie kopie grobów, zaznaczył, wykonuje nagrobki i rzeźby nagrobne. To artysta.

Piętrowy dom Orlawów przypominał pałac. Pół godziny zajęło nam zwiedzanie piwnic i pokoi. Z duszą na ramieniu zaglądałem za kotary wnęk i pod schody, ale płyt nagrobnych nie znalazłem. „Jak interesy?” – zagadnął dziadek, kiedy po obiedzie siedzieliśmy w ogrodzie przy marmurowej fontannie, którą gospodarz sam zaprojektował. „Kwitnąco, panie Karlicki”. Orława miał grube krótkie palce i ścisnął nimi mięsisty podbródek, jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu. Po deserze panie poszły podziwiać kwietniki. Dziadek zapalił fajkę. Orława szkicował w bloku rysunkowym projekt nagrobka, głośno objaśniając symbolikę figur. „Dla mnie i Estery – wyjawiał. – Tylko kto urządzi nam porządny, żydowski pogrzeb?”.

Na moich oczach spod grubych palców wyłaniały się lwy wspierające koronę, w gęstwinie winorośli usadowiły się gołębice, kamienne dłonie uzbrojone w młotek i dłuto wykuwały nieznane mi litery. Ledwo nadążałem za ruchami ręki pana Orławy. Zauważył, że mu się przyglądam.

– Lubisz rysować?

Przytaknąłem.

– Co najbardziej?

– Konie.

– Hm! – Cmoknął z uznaniem. – Konie trudno oddać na papierze. Mają w sobie wiele życia. Wiesz, dlaczego nie lubię Szwedów?

Nie wiedziałem.

– Kiedy umierał im król, do grobu składano razem z nim konia.

Gdy więc próbowałem wyobrazić sobie francuskiego siostrzeńca pani Knapikowej, miałem przed oczami dwa obrazy: siłacz Kaszub szwargocący „sétme, ?smě”, gdy

beczka z kapustą po raz siódmy i ósmy wędrowała w górę; i pan Orlawa, mistrz od chrześcijańskich nagrobków, który modli się do innego Boga.

– Przyjechał – oznajmił dziadek pewnego sierpniowego popołudnia.

Po obiedzie zażądał czystej koszuli. Wystroił się w wyjściowy mundur, mnie kazał włożyć niedzielne ubranie. Rower zostawiliśmy w domu i poszliśmy. Przed willą nadleśniczego stał francuski samochód. Długi, spłaszczony, podwoziem nie miał dotykał jezdni; przypominał ropuchę, kiedy napompuje się ją powietrzem przez słomkę, a potem przycisnie do ziemi. Jean Pfeiff przy wysokim wzroście sprawiał wrażenie niedożywionego. Miał włosy do ramion, nosił ciasne, u dołu rozszerzane dżinsy, długa kwiecista koszula, którą wykładał na spodnie, wy stawała spod ciemnożółtej zamszowej kurtki, na dole i u rękawów obszytej skórzanymi frędzlami. Kiedy siadał, nogawki spodni wędrowały w górę, ukazując kowbojskie buty.

Jean spędził w Wieluniu dziesięć dni. Jeździł po mieście swoim żabim wozem z radiem na pełny regulator i trąbił na każdym skrzyżowaniu. Dziewczyny ustawiały się w kolejce do fryzjera; w krótkich spódniczkach paradowały po ulicach, jak w sobotę przed zabawą. Każda chciała mieć z Francuzem fotkę. Jean chętnie pozował do zdjęć. Parkował samochód na chodni ku i zapraszał dziewczyny do kawiarni. Częstoował je cienkimi papierosami, po których w ustach ponoć pozostawał słodkawy smak. Co wieczór urządzał w lesie ognisko. Knapikowie piekli kielbaski, Jean rozlewał wino do szklanek. Akompaniując sobie na gitarze, śpiewał francuskie piosenki i przeboje Beatlesów. Kiedy wino uderzało mu do głowy, śpiewał po polsku. W wieczór przed wyjazdem dał się skusić na wódkę. Po dwóch kieliszkach wziął gitarę i zanucił: Niech inni sy jadą, dzie mogą, dzie chcą, do Widnia, Paryża, Londynu, a ja si zy Lwowa ni ruszym za próg! Ta mamciu, ta skarz mnie Bóg! Bo gdzie jeszcze ludziom tak dobrze, jak tu? Tylko we Lwowie! Gdzie pieśnią cię budzą i tulą do snu? Tylko we Lwowie! Pani Knapikowa wtórowała siostrzeńcowi przez łyzy. Kiedy się wyplakała, sama podjęła na nową nutę: W dzień deszczowy i ponury z Cytadeli idą z góry, szeregami lwowskie dzieci, idą tulać się po świecie. Nadleśniczy nie pozwolił jej dokończyć. „Przy ognisku – fuknął z wystraszoną miną – nie śpiewa się smutnych piosenek”. Tubalnie zaintonował: Poszła Karolinka do Gogolina, poszła Karolinka do Gogolina, a Karliczek za nią, a Karliczek za nią z flaszeczką wina.

Po wyjeździe Jeana zrobiło się pusto. Brakowało nam żabie go samochodu, który pan Knapik nazywał „cytryną”. Przyzwyczailem się do kowbojskich butów i kwiecistych koszul Jeana. W jego obecności miało się wrażenie, że Francji od Polski nie dzieli

żadna granica, że do Paryża jeździ się jak do Warszawy czy Szczecina.

Nadeszła ostatnia sobota wakacji. Stałem z dziadkiem na obrzeżach lasu o tej szczególnej porze dnia, kiedy zachodzące słońce dzieli świat na dwie części. Na tle raptem pociemniałe go nieba widnokrąg przypominał bezkresne, skąpane w ogniu wrzosowisko. Skądś dobiegała skoczna muzyka. Akordeon, bęben i czynele.

Dziadek machnął ręką, pokazując punkt gdzieś za horyzontem.

– Wesele w Widorądzu.

Raptem widnokrąg ożył. Z wrzosowych płomieni wyłaniały się jeden po drugim kryte konne wozy. Z oddali wydawały się nie większe od zabawek. Tabor przemieszczał się powoli. Byłem na tyle duży, że nie wierzyłem w opowieści o Cyganach porywających dzieci. Naraz jednak obleciał mnie strach. Może już mnie wypatrzyli? Co Cyganie robią z dziećmi? Od taboru nie dochodził żaden dźwięk. Ciszę mąciło tylko rytmiczne dudnienie weselnej kapeli. Cyganie, byłem pewny, pokazują mnie sobie palcami. Podobnie się czułem, kiedy stary Johann stał w swoim oknie na drugim piętrze i patrzył na nas.

11.

PIERWSZEGO dnia po wakacjach uczniów klas od trzeciej do piątej zgromadzono w udekorowanej sali gimnastycznej. „Cały kraj – mówiła dyrektor Korbusowa z kartki – patrzy z nie zachwianą wiarą w przyszłość. Już dzisiaj budujecie przyszłość kraju. Czego od was wymagamy? Pilności i wzorowego zachowania. Zaczynacie nowy rok nauki z czystą, niezapisaną kartą. Od was samych zależy, czym ją zapełnicie”.

Jej słowa większości przypadły do gustu. Tego dnia każ dy czuł się prymusem. W klasie panna Szlechter krążyła między nami, rozdając uśmiechy. Usiadłem w pierwszej ławce, na wprost biurka. Czułem się jak święty Jan Bosco, o którym opowiadał ksiądz Antolak, przygotowując nas na lekcjach religii do pierwszej komunii. Naraz ktoś zapukał. Drzwi klasy otworzyły się, panna Szlechter wyszła, a kiedy wróciła, prowadziła ze sobą dwóch nowych uczniów.

Jeżeli wygląd mógł być wskazówką, szczupły ciemnooki Tadek Bajgelman miał zadatki na klasowego prymusa. Rafał Chojnacki przerastał go o dwie głowy. Był wyższy od każdego z chłopców w klasie. Nie zdał do czwartej i będzie repetował. Panna Szlechter rozejrzała się po sali i posłała Chojnackiego do mojej ławki. Ochota na karierę

świętego przeszła mi jak ręką odjął. Zebrałem się na odwagę.

– Czy mógłbym siedzieć z Tadkiem?

Chojnackiego wyekspediowano do ostatniej ławki, a drobny Bajgelman dosiadł się do mnie. Na tym, przeczuwałem, sprawa się nie skończy. Kiedy po dwóch godzinach panna Szlechter puściła nas do domu, z klasy wyszedłem ostatni. Chojnacki cze kał pod szkołą. Zaszedł mi drogę.

– Boisz się?

Wokół nas zebrało się pół klasy.

– Boję.

Zmierzył mnie wzrokiem od góry do dołu jak krawiec, kie dy szacuje wymiary klienta.

– Dobrze. Będziesz mi oddawał kanapki.

Wszyscy się rozeszli, został tylko Tadek Bajgelman.

– Mogę się dzielić z tobą kanapkami – zaoferował.

– Obejdzie się.

– Moim zdaniem w zaistniałej sytuacji nie mogłeś inaczej postąpić.

Miałem już na końcu języka coś uszczypliwego, ale się po wstrzymałem. Chyba ze mnie nie kpil?

– Na twoim miejscu – ciągnął – zrobiłbym tak samo. Chojnacki tylko czeka, żeby komuś przyłożyć. Teraz cię nie ruszy. Nie zarzyna się kury, która znosi złote jaja. Działałby na przekór własnym interesom.

I to był cały Tadek Bajgelman. Przestałem się dziwić, kiedy go lepiej poznałem. Przy takim ojcu nawet zwykła kolacja za mienia się w akademicki wykład. Profesor Józef Bajgelman kierował katedrą filozofii na Uniwersytecie Łódzkim. Posługiwał się biegle greką i łaciną, znał cztery języki nowożytne, prace naukowe profesora publikowano w czternastu krajach. Podejrzewałem, że Tadek trochę się przechwala, aż któregoś dnia zaprosił mnie do domu. Brama starej kamienicy na Mielczarskiego wiodła na ciemne podwórko, skąd cztery oddzielne wejścia prowadziły do jednakowo ponurych klatek schodowych. Pani Bajgelman poczęstowała nas podwieczorkiem. Dziobiąc widelczykiem jabłecznik, nie mogłem oderwać oczu od półek z książkami. Nie wytrzymałem i poszedłem obejrzeć grzbiety. Większość tytułów była w obcych językach.

– Twojego taty?

– Książki? Te należą już do mnie. – Spojrzał na duży szafkowy zegar w rogu pokoju.

– Chodź, pokażę ci coś.

W wąskim przedpokoju Tadek uchylił drzwi i pozwolił mi zajrzeć do gabinetu profesora Bajgelmana. Duże biurko, fotel, trzy oszklone biblioteczki wypełnione książkami. Książki, wy pchane biurowe teczki i stosy czasopism zajmowały każdy skrawek podłogi. Wycofaliśmy się do pokoju Tadka.

– Dużo czytasz.

– Tata ma dostęp do różnych bibliotek.

– Wszystkie przeczytałeś? – Pokazałem półki z książkami.

– Na razie tylko te po polsku. Tę znasz?

Przeczytałem po cichu: Thomas Maine Reid, Jeździec bez głowy. Odpowiedziałem przecząco.

– Pożyczę ci. Spodoba ci się.

Nie mylił się. Była wystarczająco gruba.

Wykształciła się szczególna symbioza: ja płaciłem Chojnackiemu kanapkami za święty spokój, Tadek Bajgelman pożyczał mi książki, za co zyskiwał we mnie cierpliwego słuchacza. Lubił fantazjować i miał łatwość wymyślania na poczekaniu nieprawdopodobnych historii. Z jego pomocą uśmiercałem Chojnackiego na wyszukane sposoby. Gdyby nie Ola Czaplicka, układ z Chojnackim utrzymałby się dłużej niż trzy tygodnie. Z kanapkami rozstawałem się bez żalu. W domu prosiłem o podwójne porcje, aż mój wzmożony apetyt wydał się mamie podejrzany. „Niepojęte – zwierzyła się pani Graczyk – je za dwóch, a chudnie”. „To normalne – uspokajała mama Mirka. – Chłopcy w jego wieku spalają dużo energii”. Chojnacki zjadał moje kanapki i nabierał ciała, ja tymczasem zapłonąłem uczuciem do Oli Czaplickiej z III b. Mieszkała w kamienicy na rogu Gdańskiej i Obrońców Stalingradu. Całymi godzinami wystawałem na skwerku po drugiej stronie ulicy, czekałem, aż pokaże się w bramie. Wykryłem jej słaby punkt: kreolki. Kreolkami ze szkolnego sklepiku postanowiłem wkraść się w jej łaski. Udawała, że nie wie, kto dwa razy w tygodniu podrzuca jej do tornistra wafelki w polewie czekoladowej. Szarmanccy mężczyźni obsypują kobiety klejnotami, ja zamierzałem trafić do serca wybranki poprzez kreolki. Jak zdobyć pieniądze? Był tylko jeden sposób. Ryzykowny, ale w desperacji lepszy nie przychodził mi do głowy.

Na dużej przerwie jak zwykle przyniosłem Chojnackiemu kanapki.

– Dwie? – upewnił się.

– Uhm.

– Dawaj.

Schowałem kanapki za plecy i wyrecytowałem wyuczony tekst.

Kiedy do Chojnackiego dotarło, co mówię, kiedy zrozumiał, że owszem, kanapki będę nadal dostarczał, tyle że w za mian spodziewam się zapłaty, gdy usłyszał: „pięćdziesiąt groszy za kanapkę”, gdy wreszcie, patrząc na moją minę, ocenił, że nie zwariowałem, wstał i wyrwał mi torbę z kanapkami. Po lekcjach czekał przed szkołą i przy całej klasie złożył mi skórę. Przez cały ten czas myślałem, co bym mu zrobił. Ksiądz Anto lak z pewnością nie pochwalałby moich pomysłów.

Najgorsze dopiero mnie czekało. „Jezus Maria, jak ty wyglądasz? Napadli cię?”. „Przewróciłem się na schodach w szatni”. Miałem mówić prawdę? Zdradzić się z kanapkami i uczuciem do Oli Czaplickiej? „Przecież widzę, że się biłeś! Tak mi odpłacasz? Na bandytę cię wychowałam?”.

Kiedy występ Pana Troka dobiega wreszcie końca, ryczymy oboje. Muszę Zofię Bodler ratować przed depresją. Nieprawda, że wdałem się w ojca. Że nic dobrego ze mnie nie wyrośnie. Mówiłem przekonująco, choć to żaden wyczyn, kiedy zna się swoją kwestię na pamięć.

*

Żyjemy w ciekawych czasach. Wiele osób tak powtarza, choć nie każdy akurat to samo ma na myśli. Jest wiosna, na podwórku, w sąsiedztwie wysłużonych wychodków, zakwitły bzy. „Świat jest piękny – rozczula się pani Graczyk. – Marzenka kończy cztery lata i zdrowo się rozwija”. „Piękny – zgadza się Policki – tyle że dwubiegunowy”. „To chyba dobrze” – mama Mirka na to. „Wcale nie – twierdzi towarzysz Policki – dwu biegunowość prowadzi do pomieszania pojęć, w takim galimatiasie łatwo się pogubić”. „Każdy swój rozum ma” – wtrąca pani Morozowska. „Właśnie – podchwytuje Graczykowa – ja bym nie chciała, żeby ktoś za mnie myślał”. „Ależ nikt nikomu nie zakazuje myślenia – Policki na to – rzecz w tym, by każ dy wiedział, co myśleć”.

Z tym nie jest najlepiej. Naprawdę można się pogubić. Trwa ją obchody Tysiąclecia Chrztu Polski, choć oficjalnie świętujemy Tysiąclecie Państwa Polskiego. Mieszko wprowadził Polskę do chrześcijańskiej rodziny narodów, za to Bolesław Chrobry za służył się wbiciem słupów granicznych na Odrze. Na tysiąclecie zbudujemy tysiąc szkół. Szkoły szkołami, Polska potrzebuje też nowych kościołów. Żeby kler mącił ludziom w głowach? Mącił? Kościół pokazuje człowieka w pełnym wymiarze. Biskupi tym swoim listem już pokazali, co naprawdę myślą o narodzie, który tyle od Niemców wycierpiał; jakiej buty trzeba, jakiej pogardy do własnego narodu, żeby wybaczać zachodnim Niemcom, którzy zgotowali nam Oświęcim! Powinnością chrześcijanina jest wybaczać.

Kto upoważnił biskupów do kajania się przed Niemcami z NRFu? Nietrudno odgadnąć, czyja ręka wypisuje na murach kościołów „Biskupi to zdrajcy”. Nasz naród, towarzysze, jest z każdym rokiem bardziej wykształcony i potrafi samodzielnie myśleć dzięki polityce partii, która każdemu stwarza równy dostęp do oświaty i kultury.

Na murze zakładów Marchlewskiego wielkie czerwone li tery na białym tle układały się w napis: „Każda godzina pracy to złotówki, każda godzina bez pracy to strata”. Nieco mniejsza tablica głosiła: „Radio i telewizja uczą i wychowują”. Nie miałem telewizora, wychodziło więc na to, że moim wychowaniem zajmuje się głównie radio. Jeżeli wracałem ze szkoły wystarczająco wcześnie, wyczekiwałem dwunastej i hejnału z Wieży Mariackiej, zwłaszcza momentu, gdy tatarska strzała przeszywa szyję trębacza i muzyka się urywa. Wymyślałem, co bym zrobił Tatarowi, gdyby trafił w moje ręce. Potem czytano komunikat o stanie wód na rzekach. Było budujące usłyszeć, ile rzek – włącznie z dopływami – należy do Polski. Zaczynała się audycja „Z kraju i ze świata”. Bez ruszania się na krok z domu dowiadywałeś się ciekawych rzeczy. Około roku dwutysięcznego ludzkość zacznie wykorzystywać dna mórz pod uprawy rolne; chore ludzkie organy będzie można wymieniać na sztuczne jak części zamienne w snopowiązałkach. W Związku Radzieckim dzięki planowej polityce partii doprowadzono przed terminem do zrównania liczby mężczyzn i kobiet. Za to w Ameryce Murzyni nie mogą wywalczyć sobie równych praw. W Alabamie po nabożeństwie żałobnym ku czci Violi Liuzzo, bestialsko zamordowanej przez białych rasistów, murzyńscy demonstranci udali się pod siedzibę tamtejszego Kapitolu i wystawili na stopniach gmachu dziesięć przybranych kirem trumien, symbolizujących dziesięć śmiertelnych ofiar walki z dyskryminacją rasową w Alabamie. Gorzej od amerykańskich Murzynów mieli chyba tylko Wietnamczycy. To znaczy ci z Demokratycznej Republiki Wietnamu, którzy stawiali czoło barbarzyństwu wojsk USA wspieranych przez zdradziecki Wietnam Południowy. Nie było dnia, by powietrzni piraci nie przeprowadzali masowych nalotów na miasta i wioski, i za każdym razem dzielni pół nocnowietnamscy obrońcy zestrzeliwali wcale pokaźną liczbę nieprzyjacielskich samolotów. Zbójcecki napad na Wietnam potępił cały postępowy świat. Barbarzyństwo amerykańskiej soldateski w Wietnamie budziło również oburzenie szerokich kręgów społeczeństwa polskiego. Kiedy zaś ekspansjonistyczny Izrael dokonał podstępnej napaści na Egipt, cały postępowy świat znów zwarł szeregi i potępił zbrodnicze działania Izraela, wymierzone w świat arabski. Chwilami robiło się na prawdę gorąco – prawie jak w dniach amerykańskiej agresji na Kubę. Redaktor Zbigniew Sołuba i profesor doktor Manfred Lachs prowadzili

pogadanki o rywalizacji między obozem socjalistycznym i kapitalistycznym. Czy w sytuacji ostatecznej, zastanawiali się, czyli w wypadku wojny nuklearnej, owady nie będą jedynymi organizmami pozostałymi przy życiu? To dawało do myślenia. Nasuwało się pytanie, czy świat owadów także się dzieli na dwa obozy, ale na ten temat radio milczało. Nawet owady miałyby problem z przeżyciem w świecie, które mu codziennie przybywało „punktów zapalnych”. I to mimo wyłożonych pokojowych wysiłków państw socjalistycznych. Całe szczęście, że Związek Radziecki w obliczu pogarszającej się sytuacji zachowywał się dojrzałe i odpowiedzialnie, na prowokacyjne działania Ameryki i jej popleczników odpowiadając nowymi inicjatywami pokojowymi. W obliczu różnorodnych wyzwań kraj taki jak Polska potrzebował światłej młodzieży, wykształconych i właściwie ukształtowanych młodych kadr, które w odpowiednim momencie w poczuciu odpowiedzialnej troski podejmą sprawy socjalistycznej ojczyzny. Niestety, narzekał radiowy spiker, niektóre programy dla młodzieży, zwłaszcza telewizyjne, roz mijają się z potrzebami kraju. Przykładem serial „Wojna domowa”. Nie dość, że nudny, to lansuje niewychowawczy model obyczajowy.

W niektóre dni telewizja z nawiązką rekompensowała chybiony repertuar. Przykładem pewna niedziela w październiku, gdy jednolity tematycznie program – przedzielony teatrykiem kukiełkowym i dziennikiem telewizyjnym – przedstawiał się następująco: „Sprawozdanie z Moskwy: Parada wojsko wa i manifestacja w 48. rocznicę Rewolucji Październikowej”; „Rewolucjoniści” – program z cyklu „Ludzie i zdarzenia”; film fabularny: „Chodząc po Moskwie”; „Festiwal muzyki rosyjskiej i radzieckiej”; „Przemówienie ambasadora ZSRR, A. Aristowa”; program rozrywkowy z Moskwy: „Świąteczny błękitny ogień”.

Ksiądz Antolak mieszał telewizji szyki. Po cotygodniowej lekcji religii puszczał w salce katechetycznej filmy. Zasłaniał okna, światło gasło, na odwróconej mapie „Palestyna w czasach Chrystusa” ożywali Flip i Flap na przemian z Chaplinem. Przychodzili nawet dorośli. Tadek Bajgelman nie pokazał się ani razu. Nie widziałem go w kościele ani na lekcjach religii. Minęło Boże Narodzenie, potem Nowy Rok. Im bliżej pierwszej komunii, tym bardziej nieobecność Tadka nie dawała mi spokoju. Któregoś dnia zapytałem wprost; bądź co bądź już za trzy miesiące nasz rocznik przystępował do pierwszej komunii. Przybrał tę swoją minę profesorskiego synalka: „Moja rodzina nie chodzi do kościoła”. Domyśliłem się, w czym rzecz, mieliśmy przecież w kamienicy towarzysza Polickiego. „Jesteś cie ateistami?” – dopowiedziałem za niego. Przytaknął. Nie wracałem więcej do tego tematu, chociaż trochę się gryzłem ateizmem Tadka.

Przydałby się nam w kościelnym chórze. Na akademii w rocznicę rewolucji październikowej zaśpiewał solo refren: Sztandar niesiemy, sztandar czerwony, bo zrzesać chcemy dzieci miliony. Na lekcjach religii uczyliśmy się właśnie Hymnu małych rycerzy i ktoś taki jak Tadek bardzo by nas wzmocnił. Głośno to jeszcze nie znaczy dobrze, narzekał ksiądz Antolak, kiedy nie szczędząc gardeł śpiewaliśmy: Króluj nam, Chryste, zawsze i wszędzie, to nasze rycerskie hasło. Ono nas zawsze prowadzić będzie i świecić jak słońce jasno. Naprzód przebojem młodzi rycerze, do walki z grzechem swej duszy. Wodzem nam Jezus w Hostii ukryty, z nim w bój nasz zastęp wyruszy. Wyobrażałem sobie bitewny kurz, końskie kopyta dudnią na grunwaldzkim polu, nad głowami łopocą czerwone sztandary – i wiadomo, oczywiście, do kogo będzie należeć zwycięstwo.

Dnia komunii wyczekiwałem z niecierpliwością. Ksiądz Antolak przy każdej sposobności powtarzał, że pierwsza komunia to krok milowy w naszym życiu. W klasie trwała licytacja, kto dostanie więcej prezentów. Aparaty fotograficzne, zegarki, rowery, złote medaliki mnożyły się jak króliki wyciągane z kapelusza. Zwykle przechwałki, niektórych ledwo było stać na komunijne ubranie. Udawaliśmy, że bierzemy te przechwałki za dobrą monetę. W końcu komu takie kłamstwo szkodzi? Żał mi było Tadzka Bajgelmana, bo przez ten swój ateizm nie brał udziału w naszych wyliczankach. Mało kto wiedział, co tak na prawdę kryje się za słowem „ateista”. „Ateizm”, „egocentryzm” czy „relatywizm” – jeżeli nawet oznaczały coś nagannego – w odniesieniu do syna profesora uniwersytetu nie raziły.

Przyszedł dzień, gdy zaraz po szkole mama naszykowała mi czystą zmianę bielizny i kazała się ubierać. Idziemy do miasta.

– Nie będziesz gorszy od innych – zapowiedziała tajemniczo.

Poszliśmy do zakładu krawieckiego przy Gdańskiej. Szyld w oknie wystawowym głosił, że specjalnością mistrza Jankowskiego są garnitury ślubne i męskie ubranka komunijne.

– Dlaczego nie pojechaliśmy do pani Łopieńskiej? – spytałem w drodze powrotnej.

– Ma dużo zamówień. A Jankowski upora się z pracą w ty dzień.

Po jej minie poznałem, że coś ukrywa. Próbowiałem dopytywać, ale zręcznie unikała odpowiedzi. Pewnie, uznałem, chodzi o dziadków. Nie chce się narażać na przypadkowe spotkanie z ojcem. Kiedy po tygodniu przymierzyłem gotowy garnitur, musiałem przyznać, że Jankowski ma dobrą rękę do marynarek.

Nadszedł dzień spowiedzi – i mało nie stchórzyłem. Ksiądz proboszcz chodził

między nami, strasząc, że Bóg na nas patrzy. Nie ważmy się niczego zataić, za oszukańczą spowiedź spotka nas kara. Ksiądz Antolak też mówił o tym na lekcjach religii, tyle że innymi słowami, jego Pan Bóg nie był wcale straszny. Przed konfesjonałem ksiądz Antolak udzielał nam ostatnich wskazówek. Najważniejsze to szczerzy żal za grzechy; jeżeli grzech wypadnie nam z pamięci, nic wielkiego się nie stanie. Pan Bóg nie karze za zapominalstwo; czego naprawdę nie znosi, to zatwardziałości w grzechu. Więc postanowiłem się nie oszczędzać. Wyznałem, czego życzyłem Chojnackiemu. I że tydzień temu podglądałem Halinkę Sarneckich, jak kąpała się w podwórzowej pralni. Za to przy czwartym przykazaniu zacząłem kluczyć. Wreszcie wikary mi przerwał: „Żałujesz za grzechy?”. „Żałuję”. Kiedy odchodziłem od konfesjonału, przez chwilę gotów byłem wybaczyć nawet Chojnackiemu.

W komunijną niedzielę ruszyliśmy do ołtarza jak umundurowane wojsko do boju – batalion żeński na prawym skrzydle, męski na lewym. Chór pod batutą organisty śpiewał: Naprzód przebojem, młodzi rycerze, do walki z grzechem swej duszy. Wodzem nam Jezus w Hostii ukryty, z nim w bój nasz zastęp wyruszy. Poczekalem, aż hostia na języku się rozpuści. Jak obiecywał ksiądz Antolak, zrobiło mi się lekko na duszy. Po zdjęciu pamiątkowym przed kościołem rozeszliśmy się do domów. Każdy myślał już o prezentach. Dostałem Pismo Święte, mózg elektroniczny i radzieckie radyjko tranzystorowe „Globus”. Tysiąc czterysta cienkich jak bibułka kartek Pisma Świętego zawierało wszystko, co kiedykolwiek powiedział Chrystus i Jego prorocy. Jeśli za radą księdza Antolaka będę czytał stronę dziennie, lektura zajmie mi prawie cztery lata. Pod tym względem mózg elektroniczny nie stanowił konkurencji. Zabawa na trzy godziny. Wyrwany ze snu potrafiłem odpowiedzieć, jakie miasto jest stolicą Rumunii i kto napisał Chłopców z Placu Broni. Z radyjka „Globus” miałem większą pociechę. Miniaturowe na wzór japońskich cacek, odbierało fale krótkie, długie i średnie i było obiektem powszechnego podziwu. Po pracy klasa robotnicza gnała do domu na transmisję Wyścigu Pokoju, a ja przechadzałem się Piotrkowską z tranzystorkiem przy uchu. Oczywiście należało mieć oczy z przodu i z tyłu głowy, jeżeli nie chciałem, by z mojego powodu ktoś złamał siódme albo dziesiąte przykazanie.

Po trzech dniach przestałem się zamartwiać, że miniaturę we cudo techniki ktoś mi ukradnie.

Arek Struzik, pomocnik pana Mycielskiego, prenumerował „Małego Technika” i podobno sam naprawiał radia i telewizory. Pokazałem mu „Globusa”.

– Ruskie? – odgadł, zanim wziął radyjko do ręki.

- Chyba coś z bateriami.
- Diabła warte. Możesz wyrzucić.
- A gdzie kupię nowe baterie?
- W Moskwie albo w Chabarowsku.

*

Niecierpliwie wyczekiwałem pierwszej po komunii soboty. Dwudniowa wycieczka z ojcem do Krakowa miała być jego prezentem komunijnym. Podróż pociągiem, zwiedzanie Wawelu i Sukiennic, hejnał z Wieży Mariackiej, nocleg w hotelu. Ojciec znał atrakcje Krakowa tylko z książek, opowiadał jednak barw nie i plastycznie, jakby w Krakowie mieszkał. Miałem przed sobą pół godziny czekania, ale w domu ledwo mogłem wysiedzieć. Już o drugiej wyszedłem z plecakiem przed dom.

Spotkała mnie mama Mirka wracająca z zakupami.

- Co tak wystajesz?
- Czekam na tatę. Jedziemy do Krakowa.

Po trzeciej Zofia Bodler zeszła po wodę. Zrobiła wielkie oczy. „Jeszcze nic straconego – zapierałem się – taksówką do trzemy na dworzec w kwadrans”.

Ojciec pokazał się po tygodniu. Jak to w jego fachu, łże w żywe oczy, fucha goni fuchę, nawet niedziele zdarza mu się zarwać. Oglądam komunijny prezent od ojca: drewniana kol ba, lufa z metalu jak u prawdziwej strzelby. W sumie, niestety, atrapa. Teraz wszyscy troje jesteśmy na równych prawach, przychodzi mi do głowy, na równych prawach, odkąd ojciec wziął rozwód także ze mną.

12.

BOŻE CIAŁO było świętem całej ulicy. Nawet Policcy, chociaż na czas procesji zamykali się w mieszkaniu, pomagali w przygotowaniach. Stawiano obrazy w oknach, budowano ołtarze, między latarniami powiewały girlandy kwiatów i bibułkowe wstęgi w różnych kolorach. Gałązki bzu wieszaliśmy na bramach w ostatniej chwili, żeby zachowały świeżość na czas procesji. Szliśmy Gdańską, Mielczarskiego, Cmentarną, przy Ogrodowej stał ostatni ołtarz. Bielanki nie żałowały kwiatów. Pod koniec dnia przychodziła ulewa i kwiaty płynęły rynsztokami do studzienek ściekowych.

Tego dnia po procesji odwiedziła nas pani Kartasz. Przy oknie gryzmoliłem ołówkiem portret księdza proboszcza pod baldachimem. Matka Danki opowiada o

cudzie. „To jeszcze dziecko – smęci Kartaszowa – w tym roku miała przystąpić do pierwszej komunii”. „Tylko w Bogu nadzieja” – podchwytuje moja mama. A z tą komunią, dowiaduję się, było tak: biała sukienka od miesięcy wisi w szafie, w komplecie z sukienką białe buciki, torebka, rajstopy, wianek i pelerynka – wszystko, co potrzebne, by z czystym sercem przyjąć hostię i dobrze wyjść na zdjęciu. W maju komunია, a w kwietniu okazało się, że to nie angina, tylko rak; lekarze rozłożyli ręce, nic się nie da zrobić. I słyszę, jak w święto Bożego Ciała obie opłakują gasnące życie dziewczynki, zachodzą w głowę, jak zbawić jej duszę, jak nakłonić podstępem do przyjęcia Bożego Ciała. Podstępem, bo mała, prawdy nie znając, ani myśli przystępować do komunii w łóżku – marzy jej się występ w białej sukience. Jeśli potrzebny jest cud, myślę, to raczej cud pogodzenia się z prawdą. Nie spodobałoby się Chrystusowi podstępem brać duszę małej, chociaż dla Niego to jak pstryknąć palcem. Gdyby zechciał, to i Polickiego mógłby rzucić na twarz, niechby odszczekał kalumnie o Duchu Świętym i prymasie Wyszyńskim. Wcale mi się nie podoba ta ich gadka o białej trumience, którą rodzice zawczasu kupili, nie podoba mi się, że na noc rodzice wyjmują z szafy komunijną sukienkę, żeby się nie gnioła. Wszyscy – od rodziców dziewczynki po obcych ludzi – rządzą się jej śmiercią jak własną. Zawczasu dobierają kwiaty do wieńców, wymyślają napisy na czarnych wstęgach. Małej nikt o zdanie nie pyta. Jakkolwiek by spojrzeć, ta konkretna śmierć jej najbardziej dotyczy. Trzeba ją przygotować. Nie każdemu zdarza się zawczasu zrozumieć, że nogi kiedyś przestaną człowieka nosić.

Z tymi nogami to było tak. Obudziłem się któreś niedzieli, spod podwiniętej kołdry, widzę, wystają stopy, pewnie moje, choć równie dobrze mogą należeć do kogoś obcego. Poruszyłem się – stopy też się poruszyły. Uderzyła mnie myśl, że palce, stopy i cała reszta tak naprawdę nie do mnie należą, to znaczy, nie są mi dane raz na zawsze. Któregoś dnia przestaną mi być użyteczne albo raczej ja do niczego już im się nie przydam. Summa summarum, jak to czasem wtrąca bez ładu i składu moja mama, będą leżały obce i sztywne, zanim cudze ręce wbiją je w buty i z całą resztą przeniosą do trumny. Pan Orlawa czy inny spec od nagrobków wybierze płytę z odpowiedniego kamienia, żeby służyła przez lata.

W sobotę znów dużo się mówiło o cudach i o Bożym Ciele. Nie tyle o samym święcie, ile o ofierze z ciała i tym podobnych rzeczach. Wracam ze szkoły i przed naszym domem zastaję zbiegowisko. Są niemal wszyscy: Sarnecy z Halinką, pani Morozowska, stara Bednarczykowa, oboje Policcy, pani Graczykowa z Mirkiem, Kartaszowie. Rozalia Kartasz trzymała Dankę za rękę, jakby bała się, że ktoś ją porwie.

Dołączył do nich spocony Arek Struzik, pomocnik ślusarza Mycielskiego, za nim sam Mycielski i Janek Morozowski, ten ostatni utyłany, jakby przerzucał węgiel.

– Ani śladu – oznajmił Mycielski.

– Nawet węgiel w komórkach przerzuciliśmy – wysapał Janek.

– Może nie wszystko stracone. – Sarnecka zrobiła znak krzyża. – Zawsze cud się może zdarzyć.

„W Bogu jedyna nadzieja” – zgodziła się Morozowska. Na co Bednarczykowa, że modlitwą każdą łaskę można wyprosić. Sarnecka: „Człowieka z wiarą proszącego Pan Bóg nie odtrąca”. „Na pewno wszystko się dobrze skończy” – zapewniła mama Danki. Kartasz przytaknął żonie i zapalił kolejnego papierosa. „Tak czy inaczej, trzeba zawiadomić milicję” – zasugerowała Morozowska. „Dopóki ciała nie znajdą, jest nadzieja” – pocie szął Sarnecki. Pani Graczykowej łzy napłynęły do oczu. „Ja wierzę w moc cudownego medalika” – zadeklarowała Sarnecka. „Niedługo człowiek w biały dzień będzie się bał wyjść na ulicę – zajęczała Policka – tyle tu teraz obcych twarzy!”. Sarnecka weszła jej w słowo: „A ja wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to zrobił ktoś z tutejszych”.

Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Dalej bym tak stał jak na tureckim kazaniu, gdyby Zofia Bodler nie wróciła z pracy. Z przerażoną miną słucha, a ja z nią: Mirek bawił się z Marzenką na podwórku, dołączyła do nich Danką. O wpół do pierwszej pani Graczyk zawołała dzieci na obiad. Mirek idzie na górę, ale sam. „Gdzie Marzenka?” – pyta Graczykowa. Mirek z początku chachmęcił, w końcu się przyznał. Z nudów zaczął z Danką strącać gniazda z pisklętami. Marzenka zagroziła, że naskarzy mamie. Wyśmiali ją, zapłakana pobiegła do domu. I przepadła bez śladu. „Jak na złość – wtrąca Kartasz – Graczyk pojechał na wieś i wróci dopiero wieczorem”. „Každy kąt przetrząsnęliśmy” – powtarza Mycielski. „Nie chcę straszyć – mówi Sarnecka – ale gazety pisały o podobnych wypadkach. Może wsadzili ją w samochód i wywieźli? Przez półtorej godziny mogli dojechać do Skierniewic. Albo do Gałkówka”.

Mamie Marzenki nerwy puściły na dobre. Właśnie wtedy ktoś podsunął: może to stary Johann? Podobno w południe widziano go z dzieckiem. „Ja bym zadzwoniła na milicję” – skwitowała Kartaszowa. Sarnecka ją zakrzyczała: „Będziemy tracić czas na telefony, a bandyta zamknął się z dzieckiem!”. Kazała mężowi zaprowadzić Halinkę do domu i całą gromadą ruszyliśmy do kamienicy Johanna. Nawet nie pamiętam, jak i kiedy znaleźliśmy się na drugim piętrze. Mycielski łomotał w drzwi, aż framuga chodziła. Kobieta z mieszkania naprzeciwko postraszyła nas milicją. Bylibyśmy wyważyli te drzwi,

gdyby w porę nie dołączył do nas Sarnecki. „Zamknąłem Halinkę na klucz – relacjonował przejęty – patrzę, a od Cmentarnej kto idzie? Johann! Jak najszybciej przybiegłem”.

My pędem na ulicę – i na chodniku nieomal zderzyliśmy się z Johannem.

Przestraszył się. A to coś znaczy. Niewinny by się nie bał.

– Trzeba go przycisnąć – odpowiedział Mycielski – od razu się przyzna.

– Stare żydzisko, ty hitlerowski pomagierze, co zrobiłeś z dzieckiem?

Pakować do jednego worka Żydów i hitlerowców? Bzdura! Ale jak dobrze Sarneckiej posłuchać, to trudno nie przyznać, że Johann to degenerat i zboczeniec. Kto inny mógł porwać dziecko? Zwłoki pewnie zdążył poćwiartować i zakopał; każdy od dawna wiedział, po co stare szwabisko ugania się za dzieciakami, a nikt palcem nie kiwnął, dopiero musiało wydarzyć się nieszczęście... Johann ani drgnie. „Kapo, mosiek, szwab” – krzyczy Sarnecka, a po nim wszystko spływa jak woda po gęsi. Naraz podjeżdża taksówka. Z samochodu gramoli się Marzenka, za nią Alina, daleka kuzynka Graczyka. Alina z mężem i trójką dzieci mieszkają trzy przecznice dalej. Z wizyt u nich zapamiętałem, że hodują kanarki.

Historia zaginięcia Marzenki wyglądała następująco: pro sto z podwórka pobiegła do cioci Alinki, umyśliwszy sobie, że poprosi o kilka jajeczek i jajeczka podłoży w gnieździe na miejsce wróblích piskląt, które Mirek z Danką stracili.

Rozstąpiliśmy się, żeby przepuścić Johanna. Szedł jakby kij połknął, tylko ręce mu się trzęsły, nie mógł tej trzęsawki opanować.

Na tym pewnie cała historia by się zakończyła – gdyby nie Sarnecka. Nigdy nie umie przyznać się do błędu.

– Taki to zawsze spadnie na cztery łapy – wypaliła, ledwo za Johannem zamknęły się drzwi kamienicy.

Mycielski odezwał się ugodowo:

– Najważniejsze, że wszystko szczęśliwie się skończyło.

– Poczekamy, zobaczymy – odparowała Sarnecka. – Prawdziwa natura wcześniej czy później się odezwie.

Tu włączyła się Bednarczykowa:

– Mało jeszcze narobiła pani rabanu?

– Panią też prawda w oczy kole? A że swoich w piecu palił, to nikomu nie przeszkadza? Taki żadnej świętości nie uszanuje.

„Moja świętej pamięci mamusia – biadolila Sarnecka – jednego jajka nie mogła

sprzedać na targu, bo Żydzi opanowali cały handel i polskich kupców detalicznych trzymali w garści”. Bednarczykowa na to, że ją mama zawsze posyłała do żydowskiego sklepiku, bo tam było najtaniej. Sarnecka wygadywała niestworzone historie, niby że Żydzi porywali chrześcijańskie dzieci, wyprawiali z nimi okropieństwa, tego wymagała ich religia. „Widziała to pani?” – przerwała jej Bednarczykowa. Sarnecka sama nie widziała, ale znała takich, którzy widzieli i mogą zaświadczyć. „Kto wie – krzyczała – jak Johann uczył by nasze Boże Ciało, gdybyśmy nie zachowywali czujności”.

Pani Bednarczyk pokręciła głową.

– Słucham tak pani i nie mogę się nadziwić.

Sarnecka spojrzała na nią szparkami powiek.

– A co tak panią dziwi?

– Że właśnie pani takie rzeczy opowiada.

– Do czego pani pije?

Bednarczykowa zawahała się.

– Pani Sarnecka – podjęła uroczyście – zanim rzuci pani jedno słowo za dużo, ja powiem tylko jedno: Frysztak. Wystarczy?

Frysztak... Mnie nic to nie mówiło. Nie byłem wyjątkiem, wystarczyło się rozejrzeć. Za to mężowi Sarneckiej cała krew odpłynęła z twarzy. A Sarnecka obróciła się na pięcie i jakby ją wiatr zdmuchnął.

Czekałem na powrót ojca Mirka, przekonany, że spuści sy nowi lanie. Należało mu się – za Marzenkę i za pisklęta. Od Graczyków dzieli nas tylko cienki strop. Pan Józef wrócił – i nic dramatycznego nie nastąpiło. Owszem, Mirek się rozbeczał, słyhać go było pewnie na parterze, tyle że na łzach się skończyło. A w niedzielę Graczyk poszedł do swojej kuzynki i przyniósł kanarka w klatce. Nazwali go Kubuś. Pojawienie się ptaszka podświadomie wiązałem z tym, co wydarzyło się w sobotę, ilekroć więc Kubuś zaczynał trele, natychmiast przypominał mi się Johann. W głowie miałem straszny galimatias – kapo, Frysztak, palenie ludzi w piecu, wszystko mieszało się ze sobą. Niewiele z tego pojmowałem. Próby skłonienia pani Bednarczyk do zwierzeń na nic się zdały. Sarnecką z oczywistych względów omijałem z daleka. Jeden Kartasz wyraził ochotę na rozmowę. Kapo, powiedział, wspomagając się słownikiem wyrazów obcych, to nadzorca w obozie koncentracyjnym, który sam był więźniem i sprawował kontrolę nad innymi więźnia mi. Domyślił się, że nie pytam bez przyczyny. Co do Johanna, zasłaniał się niewiedzą. Wiedziałem co nieco o obozach koncentracyjnych. Już w drugiej klasie mówiono nam o strasznych Niemcach, komorach gazowych i piecach do

spalania ludzi. Miałem żal do dyrektora Korbusowej, która przyniosła ze szkolnej biblioteki książki ze zdjęciami więźniów i krematoriów; na upartej ludzi na zdjęciach dałoby się policzyć, tymczasem Korbusowa wciąż się myliła, raz mówiła o czterech milionach ofiar, innym razem wychodziło jej cztery miliony dwieście tysięcy, a to przecież różnica. Traf zrządził, że wcześniej prze czytałem nowelkę o matce, która za radą wiejskiej znachorki włożyła własne dziecko do pieca, by je wyleczyć, podobno żar wyciąga każdą chorobę. Serce mi się ścisnęło, ilekroć dochodziłem do opisu, jak durna matka wyciąga z pieca zwęglone ciało. Przy każdym kolejnym czytaniu było gorzej, wiedziałem przecież, co w końcu się wydarzy.

13.

UMARŁA pani Łopieńska. Obudziłem się w nocy, w mieszkaniu paliły się wszystkie światła, Łopieński siedział przy naszym stole i szlochał jak dziecko. Chorowała na raka piersi, umierała dwa lata i w końcu stało się. Też się rozpłakałem. Nie urodziła dziecka, myślałem, nie zostawiła po sobie nic, co by przetrwało pogrzebowe wieńce, dobrze przynajmniej, że zdążyła mi uszyć tych kilka ubrań, choć tyle po niej zostanie. Na pogrzeb nie poszliśmy, żeby uniknąć spotkania z ojcem i dziadkami.

Nazajutrz było rozdanie świadectw. Myślałem o nieboszczce Łopieńskiej i o wieczności, jaka się przed nią otworzyła, o wieczności, w której i ja kiedyś ugrzęznę. Panna Szlechter rozdawała świadectwa, ja zaś wiedząc, że coś się definitywnie kończy, bo przejąwszy nowy rocznik pierwszaków przestanie należeć tylko do mnie, w przyływie zazdrości pomyślałem: niechby już lepiej podzieliła los Łopieńskiej. „Miłość – tłumaczył mi ksiądz Antolak ochryplym głosem, kiedy poszedłem się wypowiadać – to zarazem pokusa ranienia tych, na których nam najbardziej zależy”. A więc nie tylko ja mam swoją pannę Szlechter, dziwiłem się, odchodząc od konfesjonału.

Mama spakowała moje rzeczy do dwóch walizek i w sobotę porannym pekaesem pojechaliśmy do Wielunia.

*

Dziadek Karlicki zaprzedał się radiu. W niedzielę od rana kręcił gąską. Prawdziwa celebra następowała wraz z wygaszeniem światła w mieszkaniu. Dziadek tkwił na krześle, z uchem przy głośniku. Babcia strofowała go, aż zasypiała z różańcem w rękę. Zielone oko świeciło, dziadek kręcił gąską, wędrował po Wiedniach, Berlinach, Pragach i

Bukaresztach, w sekundę przenosił się z Paryża do Tel Awiwu. Znał dość biegle niemiecki i rosyjski. „Dzięki zielonemu oku wiem, co w trawie piszczy” – powtarzał. Któregoś dnia zapytałem, skąd zna niemiecki i rosyjski, skoro nie uczył się ich w szkole. Uszliśmy z piętnaście kroków leśną przecinką, zanim odpowiedział:

– Przecież były dwie wojny światowe.

Cała sztuka przy takim milczku to wybrać sprzyjający moment. Wyczekałem dnia, kiedy odstawił do nadleśnictwa pękaty woreczek z łapkami ustrzelonych „szkodników leśnych” i wrócił z „gratyfikacją pieniężną”. Z tych pieniędzy nie rozliczał się przed żoną, mógł za nie kupić dodatkową machorkę albo spirytus na „lecniczą orzechówkę”, którą sporządzał z wyselekcjonowanych orzechów włoskich według własnej receptury.

– Frysztak? – powtórzył. – Do czego ci to potrzebne?

– Do szkoły – skłamałem gładko. – W wakacje mamy zbierać różne ciekawostki, poznawać dzieje odwiedzanych miejscowości.

Dziadek nabił fajkę i zapalił.

– Ślady najnowszej historii? – Spojrzał na mnie z ukosa.

– Uhm.

– Ruiny przy starym rynku widziałeś? Kiedyś to był ratusz, dzisiaj tylko gruzy straszą.

Przytaknąłem.

– No to masz ślady historii. Trzy czwarte miasta kaput. Wieluń był pierwszym polskim miastem, na które spadły hitlerowskie bomby. Wiedziałeś?

Nie wiedziałem.

– To może także wiesz, kto to był ten Frysztak? – przy pomniałem.

– Miałem znajomego spod Rzeszowa, jeszcze przed wojną. Niemcy go zabili.

Roselman, też był leśnikiem. I ten Roselman urodził się we Frysztaku.

– Może właśnie o miejscowość chodziło – podchwyciłem.

– We Frysztaku przed wojną mieszkali prawie sami Żydzi. Tyle wiem, ile od tego Roselmana. Wątpię, żeby kto ocalał.

– Wiem o obozach. I o piecach.

Dziadek wyjął fajkę z ust i ostukał ją o pień drzewa. Ten gest dobrze nie wróżył.

– W szkole tak wcześnie o tym uczą?

– Trochę też czytałem.

– Pewnie było, jak piszą. Ten wie, kto widział.

*

Polowanie, w którym wziąłem udział, dokonało się niejako z rozpędu, bez tropienia i podchodów. W sobotnie popołudnie, gdy lipcowy upał akurat zelżał, na wysokości szkółki leśnej skręciliśmy, dziadek i ja, w lewo; przed nami biała brzezina, dalej rosły krzaki dzikich malin. Dziadek wysforował się o kilka metrów. Nagle przystanął. Zdjął fuzję i ruchem ręki przywołał mnie do siebie. Oblediał mnie strach. Paraliżowała świadomość, że w mojej obecności zrobi użytek ze strzelby. Położył palec na ustach. Teraz i ja coś usłyszałem. Dziadek postąpił dwa kroki do przodu, wycelował fuzję w niebo i wypalił. Chojnacki przy niósł raz do szkoły karty do gry ze zdjęciami nagich kobiet; ale to były tylko karty. Stałem z rozdziawioną gębą, bez ruchu, jakby to mnie dziadkowa loftka ustrzeliła. Dziadek zrobił użytek z faktu, że nosi mundur i czapkę z orzełkiem: zażądał od pary nastolatków legitymacji szkolnych, w służbowym notesie zapisał nazwiska i adresy. Palnął im długie kazanie. Straszyl powiadomieniem szkoły i rodziców. „Za takie bezceństwa – grzmiał – w dodatku w państwowym lesie, oboje trafią do więzienia, więc jeśli jeszcze raz ich zobaczy...”. W drodze do domu zęgnąłem się ostatecznie z mrzonkami ciotki Ziuty o wy kierowaniu mnie na księdza.

*

Z Wielunia wyjątkowo wyjechałem już pod koniec lipca. Z okazji dziesięciolecia pracy związku zawodowe w porozumieniu z podstawową organizacją partyjną nagrodziły Zofię Bodler dwuosobowym skierowaniem na wczasy pracownicze. Co prawda do podlódzkiego Arturówka, za to pobyt refundował w całości zakład pracy.

Główne atrakcje Arturówka to las mieszany i stawy kąpieliskowe ze sprzętem wodnym. Od rana do wieczora, z przerwami na posiłek, panie korzystały z sierpniowego słońca. Co odważniejsze dawały się zaprosić na łódki. Iwonka miała dwanaście lat i starała się wyglądać na starszą. Przez siedem dni balansowałem na granicy życia i śmierci. Oddalałem się od brzegu, do póki czułem grunt pod nogami – udawałem, że pływam. Iwonka z brzegu obserwowała moje samobójcze wyczyny. W każdej chwili mogłem natrafić na piaszczyste dno albo zapadlisko. „Gdyby zdarzyło się najgorsze – wmawiałem sobie – będę żył dalej w pamięci Iwonki”. Do końca swoich dni nie daruje sobie, że przez nią straciłem życie, ugrzęźnię po wsze czasy w dwunastoletnim wdowieństwie, jak ja w mętnych stawach Arturówka. Zostanie starą panną albo wybierze klasztor.

Wieczorem pożyczałem rakiety do badmintona i grałem z Iwonką w dziewczynską grę. Ścinałem ostro, posyłałem lotkę jak najniżej. Jej piersi pod cienką bluzką ożywały, gdy biegła. Myślałem o niej częściej niż o dziewczynie „ustrzelonej” przez dziadka w

lesie. Kiedy po tygodniu wyjechała, nie pozostało mi nic innego, jak przeboleć tę stratę. Właściwie, doszedłem do wniosku, powinienem być z takiego obrotu spraw zadowolony. Nie musiałem dłużej kusić śmierci. Zająłem się dwutomowym wydaniem Klubu Pickwicka z biblioteki Tadka Bajgelmana. Czytałem: „I bez dalszych ceremonii dama zerwała się z krzesła, objęła rękami szyję Pana Pickwicka, czemu towarzyszył potok łez i nawałnica szlochów. «Niech mnie Bóg ma w swej opiece! – zawołał pan Pickwick, zdumiony niesłychanie – pani Bardell! Dobra pani! Boże Wszechmocny! Co za położenie! Ależ, pani, proszę! Puść mię pani! Gdyby kto nadszedł!». «Cóż mi to obchodzi! – zawołała w szale pani Bardell. – Nigdy pana nie opuszczę! Kochane, szlachetne serce!». I wymawiając te wyrazy, przytuliła się do pana Pickwicka jak bluszcz do dębu”. Śledząc niezawinione perypetie pana Pickwicka z damą mi, utwierdzałem się w przeświadczeniu, że wyjazd nad wiek dojrzałej Iwonki zdarzył się w samą porę. Moja gotowość do poświęceń, uznałem, była przedwczesna.

Cztery dni przed końcem turnusu do naszego stolika do siadł się N. Miał dobrze pod siedemdziesiątkę, był pisarzem i właśnie przyjechał do Arturówka. Na jak długo? Jeszcze nie postanowił. Pisarz nie musi wstawać o piątej rano do pracy, nie podlega też reżimowi turnusów wczasowych. Był prawie niewidomy. Towarzyszyła mu młoda opiekunka, którą nazywał swoimi oczami. Nie odrywałem od niego spojrzenia. Mężczyzna w apasce na szyi! Wydał mi się zjawą z innej planety. Nie do słyszałem nazwiska, wstydziłem się jednak dopytywać; skoro jest pisarzem, myślałem, musi być znany, prosząc o powtórzenie nazwiska, wykażę się ignorancją. Co gorsza, wyrządę mu przykrość, skoro przyznam, że jego pisarska sława nie dotarła na Ogrodową.

– Pani Bodler! – powtórzył, trzymając dłużej niżby należało dłoń mamy. – Nazwisko zdradza francuską proveniencję, czyżbym się mylił?

Przez to jedno słowo, przez to straszne słowo „proveniencja” z miejsca N. znienawidziłem. Mama bladła i czerwieniła się na przemian. Ofiara awansu społecznego, która trzecioklasistę pytała, jak poprawnie pisać „zażalenie” i „uprzejmię proszę o zapomogę finansową”, dusiła się teraz pod ciężarem jednego z tych terminów, które znał tylko słownik wyrazów obcych i ojciec Tadka Bajgelmana. W jej oczach dostrzegłem znajomy lęk. Z taką samą miną brała do ręki sklepową metkę, żeby sprawdzić cenę.

– Niewykłuczone – usłyszałem nagle jej uroczysty głos – rodzina nieboszczyka męża bodajże pochodziła z Francji.

Palce N. zlokalizowały obrączkę na lewej dłoni mamy. Za jął miejsce za stołem.

Zofia Bodler co zdanie potykała się o te wszystkie „se la wi”, „adekwatnie”, „bą tą”, które wtrącała uczenie, choć bez sensu, demaskując się przed słuchaczami. Mogłem jej wybaczyć, że uśmierciła ojca. Może ta śmierć – właśnie z jej ręki – ojcu się należała. Śmieszność, na jaką się wystawiała w roli pickwickowskiej wdowy Bardell – tego nie mogłem jej darować. Pan N. był stary, na dłoniach miał wątrobiane plamy. Był p r a w i e ślepy. Od biedy mógł przeczytać kilka zdań. Zakładał okulary o grubych szklach, przybliżał tekst do oczu, czytając, poruszał sinymi wargami. Potrafił cisnąć książką o podłogę (w te napady agresji wtajemniczyła nas na osobności jego asystentka). Zrozumiałem, że teatr z mamą nie służył zabawie. Tylko wcielając się w różne role, N. może nadal spełniać się jako pisarz. Zrobiło mi się go żal. Jakby to wyczuł. „Ślepotą – powiedział – nie musi być przeszkodą w tworzeniu”. Dykto wał książki sekretarce. „Jeśli czegoś mi brakuje – zwierzył się – to czytania”. Tego popołudnia język mu się rozwiązał. Mówił o Tołstoj. Że to genialny pisarz i wielki człowiek. Mocarz, prorok, ktoś taki rodzi się na kilka pokoleń.

14.

ODKĄD sięgałem pamięcią, stolikowa maszyna do szycia stała w lewym rogu pokoju, przy oknie. Na tle pozostałych sprzętów była prawdziwą ozdobą. Wymodelowany czarny korpus, błyszczące niklowe koło, stalowa igła, płytka, ząbki i zaczepy; na czarnym korpusie, niczym ukoronowanie dzieła, złocił się napis SINGER. Ilekroć czytałem to słowo na głos, przechodził mnie dreszcz, jakbym wypowiadał hasło otwierające bramę do innego świata. Wyprodukowano ją w Niemczech pod koniec dziewiętnastego stulecia. Choćby z tej racji maszynie „Singer” należał się szacunek – była ode mnie siedem razy starsza i na dal spisywała się bez zarzutu. Zamykało się ją jak kanarka na noc – drewniana półokrągła skrzyneczka w kształcie odwróconej kołyski, pomalowana na ciemnobrązowo, dla lepszej ochrony powleczona politurą, szczelnie przylegała do drewnianego blatu, osłaniała mechaniczne części; tylko bliźniaczy napis „Singer” zdradzał, co się pod nią kryje.

Dwa dni po powrocie z Arturówka na stoliku maszyny „Singer” pojawiły się dwie książki w szarym papierze pakowym. Odczekawszy, aż zostanę sam w mieszkaniu, zakradłem się z bijącym sercem. Otworzyłem pierwszą na stronie tytułowej: Lew Tołstoj, Wojna i pokój. Bliźniacze tomy nosiły stempel miejskiej biblioteki publicznej przy

Obrońców Stalingradu. Między 14 a 15 stroną tkwiła zakładka z zużytego biletu tramwajowego.

Cud się nie wydarzył. Codziennie wieczorem Zofia Bodler zapalała lampkę, w szlafroku siadała przy stole i otwierała książkę na założonej stronie. Po tygodniu prowizoryczna zakładka przesunęła się o dwadzieścia kartek. Przez sobotę i nie dzielę nie wzięła książki do ręki. Krążyła po mieszkaniu, na siłę wyszukiwała sobie zajęcie. W poniedziałek książki zniknęły, a Zofia B. desperacko rzuciła się w wir szycia. Przez trzy dni siedemdziesięcioletnia „Singer” turkotała niemal bez chwili odpoczynku, jakby zły duch ją opętał. Nie miałem pretensji do pana N. Jeśli kogoś miałbym winić, to Hitlera. W chwili wybuchu wojny Zofia Bodler zaczynała trzecią klasę szkoły pod stawowej. Ta trzecia klasa z każdym rokiem okupacji bardziej się oddalała. Po wyzwoleniu nie uśmiechało się piętnastoletniej pannicy siedzieć ławka w ławkę z dziewięciolatkami, wstyd wziął górę. Gdyby Hitler nie stanął mamie na drodze, gdyby, powiedzmy, zadowolił się wyrzaskiwaniem do mikrofonu i przyjmowaniem wojskowych parad, jej historia potoczyłaby się inaczej. Przez to, że Hitlerowi zachciało się Polski, trzydziestokilkuletnia robotnica zakładów dziewiarskopóńczosznich musiała uczęszczać do szkoły wieczorowej, realizowała przyspieszony program nauczania podstawowego dla dorosłych, w tych samych ławkach, w których rano uczą się rówieśnicy Danki Kartasz. Doskonale zachowana wiekowa maszyna do szycia „Singer” to rzadkość. Cacko, które za rozsądną cenę każ dy kupi z pocałowaniem ręki. Nie sposób zrozumieć, dlaczego Niemcy, ponoć taki mądry naród, zamiast nastawiać się na ma sowy wyrób estetycznych i wydajnych maszyn do szycia, które po siedemdziesięciu latach nadal służą właścicielom, uparli się produkować bez opamiętania karabiny maszynowe i czołgi, co, jak się ostatecznie okazało, nie wyszło im na dobre.

Miałem więc powód, by chować do Hitlera osobistą urazę. Co wcale nie znaczy, że udzieliłem panu Sawończukowi prawa do występowania w moim imieniu. Sawończuk właśnie ukończył studia i pod hasłem służenia krajowi wspinał się po szczeblach kariery. Miał w szkole uczyć historii. Zarazem przejął bibliotekę po panu Ludwiczaku, który z końcem wakacji przeszedł na emeryturę. Pierwszy dzień szkoły przebiegał wedle sprawdzonego scenariusza: rocznica wojny, zdradziecka napaść, brutalna okupacja, uliczne egzekucje, obozy, mord na milionach Polaków. Daty i liczby znaleźmy na pamięć, można było ten rocznicowy apel przespać, choć ja – z wiadomych powodów – tym razem słuchałem uważniej. „Faszyzm znowu podnosi głowę – przestrzegaj Sawończuk. – Niemcy nie chcą pamiętać, są tacy, co by chcieli cofnąć wskazówki

zegara. Od wrócić bieg historii. Nawet za cenę nowej wojny”. Nie padło słowo „zdrada”, ale zdradę miał na czubku języka, kiedy unosił się oburzeniem; „że znaleźli się w Polsce tacy, którzy Niemcom, t a k i m Niemcom, dzisiaj gotowi są jeść z ręki. Piszą uwłaczające listy – grzmiał – ich, Niemców, proszą o przebaczenie, więc polski nauczyciel ma prawo zapytać, czy tacy biskupi, taki kler może rościć sobie prawo do roli przewodnika dzieci i młodzieży. Po czynach ich poznać” – zakończył, co nie powinno zaskakiwać, bibliotekarz z dyplomem historyka winien umieć dobrać cytaty do okoliczności. Babcia Józefa w pierwszych powojennych latach miała psa, nazywał się Medor. Potężny wilczur o czarnej sierści pilnował leśniczówki i gospodarstwa z przyległościami, czyli był to pies roboczy, nie do zabawy, błędem byłoby powiedzieć, że stanowił własność babci, a przy charakterze dziadka dobrze się stało, że prawdę znała tylko babcia i Medor. Prawda zaś była taka, że Medor babcię kochał i szanował, wobec dziadka tylko udawał respekt, merdał ogonem fałszywie. Słuchając wywodów Sawończuka, podobnie jak Medor kładłem uszy po sobie. Poza pełnieniem obowiązków bibliotekarza przez najbliższy rok – może dłużej – będzie nas uczyć języka polskiego z elementami historii. To, że Sawończuka wyznaczono nam na wychowawcę, przyjąłem za dopust Boży. Pamiętałem, do jakich myśli pchnęła mnie egoistyczna zazdrość, czego pannie Szlechter po cichu życzyłem, byle nie musieć dzielić się nią z nowym rocznikiem pierwszaków. Teraz spotyka mnie zasłużona kara.

*

„Okrągła rocznica – podjął z namaszczeniem Sawończuk. – Akademia z okazji pięćdziesiątej rocznicy rewolucji październikowej w tym roku przyjmie szczególną oprawę, występ na akademii to nagroda dla najlepszych. Za zajęcie pierwszego miejsca w konkursie czytelnictwa w klasach jeden do pięć naszą klasę będzie reprezentował...”. Każdy wie, czyje nazwisko Sawończuk wypowie, nie jest tajemnicą, kto bije na głowę pozostałych uczniów pod względem liczby książek wypożyczonych ze szkolnej biblioteki. Jeden Tadek Bajgelman mógłby ze mną rywalizować, ale wobec domowego księgozbioru Bajgelmanów (właściwie należałoby mówić o dwóch księgozbiorach), który co tydzień powiększa się o nowe tytuły, biblioteka szkolna nie jest konkurencyjna.

Dwa dni później rocznicowe zamiary Sawończuka wobec mojej osoby spaliły na panewce. Nazwisko „Bodler” spowiła aura podejrzliwości. W zaciszu dyrektorskiego gabinetu postanowiono, że wobec ujawnionych faktów mój udział w akademii ku czci rewolucji październikowej jest niemożliwy. Powodem – pośrednim powodem – była informacja prasowa w „Dzienniku Łódzkim”. Podobnej treści notatkę (dwa akapity, w

sumie dwanaście zdań) zamieścił „Głos Robotniczy”. Gazety trafiły do rąk Zofii Bodler dzięki podejrzanej uprzejmości Sarneckiej, która kupiła je za własne pieniądze i nam sprezentowała. W końcu to pamiątka, nie co dzień się zdarza napotkać własne nazwisko w gazecie. Kiedy wróciłem ze szkoły, gazety leżały na stole, otwarte na odpowiednich stronach; dla ułatwienia Sarnecka wzięła teksty w obwódkę, tytuły „Z kroniki kryminalnej” i „Kronika milicyjna” grubo podkreśliła długopisem, tylko siadać i czytać. Jeszcze niczego się nie spodziewając, przeczytałem, że w dniu wczorajszym milicja aresztowała Kazimierza Bodlera, mieszkańca Łodzi, lat trzydzieści dziewięć, nigdzie niepracującego. Aresztowanie poprzedziły tygodnie intensywnego śledztwa, bo zachodziło podejrzenie, że szantażysta, który od dwóch miesięcy wydzwaniał do rodziców Magdaleny S., domagając się okupu i w razie niespełnienia żądań grożąc wy sadzeniem pomnika na grobie ich córki, mógł być zamieszany w sprawę zabójstwa Magdaleny S., ofiary brutalnego morderstwa sprzed pięciu lat, nad którego rozwiązaniem milicja mozoli się bezskutecznie do dzisiaj; mimo że, przeczytałem następnie, w świetle ustaleń nie ulega wątpliwości, że Kazimierz Bodler, zatrzymany w budce telefonicznej w trakcie rozmowy z rodzicami ofiary, z zabójstwem nie miał nic wspólnego, ohyda czynu zagrożonego karą od lat pięciu wzwyż stawia go poza nawias społeczeństwa.

Nagrobna rzeźba nad doczesnymi szczątkami Magdaleny S. na Starym Cmentarzu przy Ogrodowej cieszyła się u łodzian popularnością. Była oblegana niemal na równi z cukierkowatym pałacykiem przy Zdrowiu, tym z feralnym basenem, w którym utopiła się córka właścicieli – nad obu miejscami wisiało przekleństwo bogactwa i nagłej śmierci. Ogrodową otwierały fabryka i pałac, należące onegdaj do Poznańskiego, wiekowy cmentarz ją zamykał. Jakaż inna ulica mogła się pochwalić podobną topografią historii? Niejeden dyrektor i kancelista Poznańskiego, tkacze, krośniarze i farbiarze z jego fabryki ostatecznie trafiali na miejsce wiecznego spoczynku odległe zaledwie półtora kilo metra od fabryki, z którą związali całe życie. Dla mieszkańców tej części dzielnicy Stary Cmentarz z jego zabytkowymi grobami i alejami wiekowych drzew był miejscem letnich spacerów. Chodziłem tam często z Mirkiem i Danką. Naszym ulubionym zajęciem było obliczanie wieku nieboszczyków. Wygrywała osoba, która pierwsza poda prawidłowy wynik. Nic trudnego: od daty śmierci odjąć rok urodzenia i gotowe. Przy niektórych grobach dla pewności liczyliśmy w trójkę – umysł bronił się przed przyjęciem do wiadomości, że można dożyć stu lat albo umrzeć po trzech tygodniach. Pomijając skrajności, średnia wychodziła przyzwoita, w granicach siedemdziesiątki; właśnie o

takich nieboszczykach pani Bednarczyk mówiła: „No, ten to się nażył”. O Magdzie S. nikt by tak nie powiedział. Jakkolwiek by liczyć, żyła dwadzieścia lat i trzy miesiące. Naturalnych rozmiarów rzeźba na pomniku była ponoć jej wiernym odbiciem. Skromna, ładna dziewczyna w prostej domowej sukience, jakby właśnie wstała od biurka, żeby otworzyć drzwi, a za drzwiami, jak wykazało śledztwo, czaił się o n albo o n i. Ciarki prze chodziły po plecach, jak człowiek sobie wyobraził, co tam się w t e d y działo. Nie było przechodnia, który by się przy pomni ku nie zatrzymał. Obcy ludzie nie potrafili powstrzymać łez. Użalano się nad krótkim życiem dziewczyny. Gapie gubili się w domysłach, ile pomnik kosztował. Kraków miał Kopiec Koś ciuszki, Łódź – nagrobek Magdy S. I nagle w tę świętą legendę wtarabanił się Kazimierz Bodler, chroniczny nieudacznik, który mnie zaraził nazwiskiem i Bóg wie czym jeszcze! Fantasta, proletariusz i drobny złodziejasek, któremu się ubzdurało, że udawać szantażystę, grozić wysadzeniem w powietrze cmentarnego nagrobka jest równie łatwo, jak spłodzić dziecko albo sprzedać kanarka na wódkę.

Przeryczałem z mamą cały wieczór. Uparłem się, że pójde do szkoły, jakby nic się nie stało. Dzień zaczął się jak zwykle. Wstałem na głos budzika, ubrałem się i jedząc śniadanie, wy słuchałem dziennika radiowego. Kolejny dzień Demokratyczna Republika Wietnamu była obiektem barbarzyńskich bombardowań. Piraci powietrzni USA atakowali obiekty cywilne i wio ski, ponosząc, oczywiście, ciężkie straty w ludziach i sprzęcie. Jak co dzień imperializm amerykański spotykał się z potępieniem sił postępowych na całym świecie. Izrael dopuścił się ko lejnych prowokacji i agresji w strefie Kanału Sueskiego. Najnowsza napaść Izraela demaskowała agresywne zamiary władz izraelskich i stanowiła jaskrawe pogwałcenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa. Od wielu dni w Indiach padały ulewne deszcze. Z okazji Dnia Kolejarza ambasada polska w Moskwie zorganizowała uroczyste przyjęcie, które przyczyniło się do dalszego pogłębienia więzi łączących bratnie narody. W Nowym Jorku kilkuset wzburzonych Murzynów i białych wzięło udział w kolejnej demonstracji przeciwko brutalności policji amerykańskiej. Stany Zjednoczone, realizując narzucony światu obląkańczy wyścig zbrojeń, przeprowadziły na pustyni w Newadzie kolejną próbę atomową.

„Wiele bym dał – marzyłem w drodze do szkoły – żeby Murzyni z Ameryki urządzili sobie wycieczkę do Polski i wy wołali awanturę w sercu Łodzi. Albo by imperialiści amerykańscy kolejną próbę atomową przeprowadzili pod Arturówkiem”.

Pierwsza lekcja minęła spokojnie. Sawończuk przypomniał, że równo przed dziewięćdziesięciu laty urodził się Feliks Dzierżyński. Ten wielki syn narodu polskiego

całe swoje pracowite życie poświęcił temu, żeby dzieci w Polsce i Związku Radzieckim mogły się uczyć i żyć w pokoju. Po przerwie, obiecał, przy niesie album ze zdjęciami Dzierżyńskiego – również z czasów, gdy Feliks był jeszcze dzieckiem i nie wiodło mu się tak dobrze jak nam. Sawończuk wyszedł, zostawiając nas samych. Patrząc, a Maciąg „Jedna Nerka” zmierza w moją stronę z gazetą. Ten sam Mietek Maciąg, któremu wszyscy chłopcy zazdrościli ojca, bo ojciec był trenerem ciężarowców, każdy chciał się z Mietkiem kolegować, ale kiedy Mietek zachorował, był umierający i w końcu wycięli mu nerkę, tylko ja jeden odwiedzałem go w szpitalu, choć panna Szlechter apelowała do naszego kolektywnego poczucia koleżeńskości.

Maciąg zatrzymał się na wysokości mojej ławki i rozłożył „Dziennik Łódzki”.

– To nie o twoim ojcu?

Właściwie powinienem był się roześmiać. Prawdziwy cyrk! Z dnia na dzień mój rodowód stał się najważniejszą sprawą na świecie. Jeszcze wczoraj pies z kulawą nogą nie zapytał, czy Kazimierz Bodler kiedykolwiek istniał. Zamiast nazwiska wystarczyło powiedzieć: „ten mikry bez ojca”, każdy w mig się orientował, o którego z podwórzowych dzieciaków chodzi. A dzisiaj nazwisko nabrało pierwszorzędного znaczenia. Nagle kwestią życia i śmierci było, czy moje nazwisko pisane jest przez „tl”, czy – jak tamto w gazecie – przez „dl”. A jeśli przez „dl”, to aż się prosi zapytać, czy szczeniak ma po ojcu platformę, też stawia stopy do środka i zacina się przy mówieniu.

Nie było mi do śmiechu. Maciąg zaszeleścił gazetą – przymierzał się do czytania na głos. Czulem na sobie spojrzenia wszystkich. Maciąg czytał, a ja pragnąłem zapaść się pod ziemię, choćby to miało być na zawsze, jak z Łopieńską. Tak się czulem, zanim usłyszałem Chojnackiego. Jakby ktoś przekręcił kluczyk i coś dotąd zamkniętego we mnie na cztery spusty nag le się uwolniło. Nie miałem szans. Chojnacki przerastał mnie o dwie głowy i ważył piętnaście kilogramów więcej. Ale przez te kilkanaście sekund górowałem nad nim. Przyciskałem go do ławki, łokieć wbiłem mu w grdykę – fachowo jak Pytlasiński, którego mój ojciec ponoć znał osobiście, przez dwa miesiące brał u mistrza lekcje, tak się przechwalał, chociaż wiedziałem, że to bujda, bo w dniu śmierci Pytlasińskiego miał pięć lat. Ale to były sprawy między mną a ojcem, Chojnackiemu nie do tego! W końcu zrzucił mnie i pchnął na ścianę. Bił lekko, jakby w ostatniej chwili hamując cios. Te kilkanaście sekund wiele go nauczyło. Od dzisiaj można się po mnie wszystkiego spodziewać. W każdej chwili, myślał, może się w małym Bodlerze odezwać krew ojca bandyty.

Taką scenę zastał Sawończuk. Krew kapłała mi z nosa, nie zdążyłem się pozbierać z

podłogi. Każdy na jego miejscu by poznał, kto komu przyłożył pięścią. Tymczasem Sawończuk huzia na mnie. Tadek Bajgelman próbował wyjaśnić, co zaszło. Odezwali się inni – przestano się Chojnackiego bać. „Jaki oj ciec, taki syn” – skwitował Sawończuk i kazał matce przyjść do szkoły. Zmieniwszy zdanie, wpisał mi sążnistą uwagę do dzienniczka. Rzeczy, o które bym się nie podejrzewał: „niesubordynacja, chuligaństwo, zły przykład dla klasy, pilna potrzeba działań resocjalizacyjnych. Wychowywać i jeszcze raz wychowywać! Jeśli podobne incydenty będą się powtarzały – groził – jeżeli d o m nie wyegzekwuje stosownego zachowania, szkoła wniesie o podjęcie bardziej radykalnych kroków”. Potem była lekcja matematyki i przekonałem się, że Drejczyn także spisał mnie na straty. „O ojca poszło?” – spytała Zofia Bodler, nawet nie doczytawszy uwagi w dzienniczku do końca. Obeszło się bez Pana Troka. Nie było lamentów nad zniszczonym szkolnym mundurkiem. Podpisała uwagę i bez komentarza oddała mi dzienniczek. Nosila to samo nazwisko, w pracy też musiała swoje odcierpieć.

15.

DO NASZEGO kraju przybył z wizytą prezydent Republiki Francuskiej. Sawończuk w takim mniej więcej duchu zaczął, zaraz potem poprawił samego siebie: „Do naszej młodej ojczyzny przyjechał prezydent zaprzyjaźnionej Francji”. Z tego, co następnie powiedział, wynikało, że chociaż wizyty francuskich prezydentów zdarzały się i przedtem, tamte nie zasługują na pamięć historii, albowiem ojczyźnie zawłaszczonej ówczesnie przez burżuazyjnych krwiopicców i karłów reakcji nie należało się nobilitujące „nasza”, skoro zaś nie była nasza, nie mogła być ani młoda, ani stara, była nijaka, zatem jakby w ogóle jej nie było. Poniekąd prekursorka rewolucji październikowej, ciągnął następnie Sawończuk, kładąc nacisk na „poniekąd” i dorzucając tytułem wyjaśnienia, że „wolność, równość, braterstwo” rewolucji francuskiej poniekąd legły u podstaw, stały się poniekąd zaczynem, unaocznily warstwom uciskanym skalę ciemnienia i, nieśmiało jeszcze, próbowały wskazać właściwą drogę, zrównanie wszystkich obywateli biorąc za punkt wyjścia. „Zrówna nie przez obcinanie głów” – mruknął Tadek Bajgelman cicho, żebym tylko ja usłyszał. Sawończuk tymczasem zapewniał, że Polska nareszcie kroczy właściwą drogą; dzięki przyjaźni z bratnimi narodami Związku Radzieckiego nawet państwa przeciwstawnego nam obozu darzą

nas respektem, ba!, skłonne są otwarcie podziwiać i naśladować nasze osiągnięcia. „Polska i Francja – zacytował słowa de Gaulle’a – kochają się i wiedzą instynktownie oraz na podstawie doświadczeń, że losy ich są złączone. Polska Ludowa zaś – podjął Sawończuk, kończąc marsz przy biurku – na przyjaźń zawsze odpowiada tym samym. Może niedaleka jest już chwila, gdy Francja przystąpi do naszej wielkiej rodziny socjalistycznej”.

Sawończukowi wolno to było powiedzieć, my zaś słuchaliśmy jego wywodów z czystym sumieniem, zaraz bowiem wziął z biurka złożoną wpół gazetę i rozpostarł przed nami pierwszą stronę, a na pierwszej stronie widniało zdjęcie prezydenta Republiki Francuskiej obok zdjęcia towarzysza Gomułki, połowę strony zajmowało przemówienie prezydenta Francji, drugą – przemówienie towarzysza Wiesława; Sawończuk zasiadł z gazetą za biurkiem i przystąpił do czytania, i wnet się okazało, że wszystko, co Sawończuk powiedział wcześniej, znajdowało w przemówieniu Gomułki pełne potwierdzenie; jak choćby wy znanie, że generał de Gaulle i jego ojczyzna zajmują w sercu narodu polskiego szczególne miejsce. Obecne państwo polskie, przypomniał towarzysz Gomułka, zrodziło się z opłaconego rzeką krwi zwycięstwa narodu polskiego nad hitlerowską ma chiną wojenną imperializmu i militarizmu niemieckiego, i ta odrodzona Polska cieszy się, że właśnie Francja, dając wyraz zrozumienia ogólnoeuropejskiego znaczenia granicy na Odrze i Nysie, pierwsza spośród wszystkich państw zachodnich uznała ją za ostateczną i nienaruszalną. „Ta odrodzona Polska – czytał dobitnie Sawończuk – wyciągnęła niezbędne wnioski ze swych dziejowych doświadczeń, a fundamentalnym spośród tych doświadczeń było wejście na drogę przyjaźni i sojuszu z jej wielkim wschodnim sąsiadem – Związkiem Radzieckim”. Potem było coś o dniu jutrzejszym, mniej więcej w duchu, że od powiadamy za kształt przyszłości; przez chwilę myślałem, że to „my” dotyczy również mnie, reszty klasy i Sawończuka, byłem jednak w błędzie, bo, faktycznie, cóż my mogliśmy poradzić, że świat współczesny nieustannie przeżywa groźne napięcia i wstrząsy powodowane ślepym dążeniem do zdławienia siłą wyzwoleniczych aspiracji narodów i ustanowienia nad nimi obcej dominacji. Nawet Sawończuk nic nie wskóra w obliczu stale nasilanej barbarzyńskiej agresji amerykańskiej w Wietnamie, która zatruwa całe życie międzynarodowe i brzemienią jest groźbą nowych nieobliczalnych konfliktów.

Przyszłość świata nie przedstawiała się różowo. Pocieszaliśmy się, że skoro, jak podaje każdy dziennik radiowy i telewizyjny, w Wietnamie codziennie ginie więcej

amerykańskich agresorów niż Wietnamczyków, to prędzej czy później pula Amerykanów się wyczerpie i problem – przynajmniej w tej części Azji – sam się rozwiąże. Sawończuk jakby odgadywał nasze myśli. „Przyszłość świata jest w dobrych rękach – za znaczyl, doczytawszy przemówienie do końca – bo przywódcy postępowych krajów myślą i działają perspektywicznie”. Potem zapowiedział, że ma dla nas niespodziankę – zabiera nas na wycieczkę. Otrzymamy się o prawdziwą historię. W pogodny je sienny dzień przebyliśmy tramwajem pół miasta, potem czekał nas marsz do parku, a na skraju parku, oddalony od alei głównej, prosto z kłębów niestrzyżonej trawy wystawał zszarzały cokół z płytą pamiątkową podobną do nagrobkowych tablic na Starym Cmentarzu przy Ogrodowej. Sawończuk kazał Tadkowi podejść do tej bazaltowej płyty i na głos przeczytać napis; i w ciszy wysłuchaliśmy, że pomnik upamiętnia działalność Wiesława Gomułki, niestrudzonego bojownika o wolność i pomyślność narodu polskiego. Potem, jakby czytał z otwartej książki, Sawończuk opowiedział o młodych latach Wiesława w sanacyjnej Polsce, o dojrzewającej w młodym Wiesławie wrażliwości na problemy społeczne, o tych trudnych czasach walki i osobistych wyrzeczeń, jakie nastąpiły potem, walki o ideały, których realizacja stała się możliwa dopiero w nowej, po wojennej Polsce. Mówił naprawdę ładnie i słuchałem go domomentu, gdy wspominał o uwięzieniu towarzysza Wiesława już w tej nowej, powojennej Polsce. Nikt niewinny nie trafia na cztery lata za kratki – któż wiedział to lepiej niż ja? Mimo że Sawończuk dwoił się i troił, a ja starałem się wykrzesać z siebie cieplejsze uczucia wobec towarzysza Wiesława, czułem, że tego dnia nasze drogi rozchodzą się na dobre.

Kilka dni później w jednym z mieszkań w Warszawie znaleziono zwłoki zamordowanej staruszki. „Modus operandi – po wiedział uczenie pan Policki, który i w takich sprawach miał informacje z pierwszej ręki. – Sposób działania sprawcy – wyjaśnił na nasz użytek – to dla milicji jakby zostawił swoją wizytówkę”. Dzięki tej wizytówce ekipa śledcza milicji obywatelskiej po błyskawicznym śledztwie aresztowała sąsiada ofiary. O sprawie pisały wszystkie krajowe gazety, okazało się bowiem, że aresztowany Stanisław Modzelewski to osławiony wampir z Galkówka, obecnie lat trzydzieści osiem, wykształcenie podstawowe, pochodzenie chłopskie, ostatnio zarabiający na życie jako kierowca ciężarówki, uprzednio karany trzykrotnie za pospolite przestępstwa kryminalne, który przez piętnaście lat wodził milicję za nos. Wraz z jego pochwyleniem kończyła się pewna epoka. Odtąd te wszystkie nieprzyjemne trupy, które nadal co jakiś czas znajdowano w krzakach i bramach domów, można było znowu przypisywać

pospolitym degeneratom. Wampir z Gałkówka w kajdankach i pod eskortą milicji odbywał tournée po Polsce, ponownie odwiedzał miejsca, gdzie przed laty zamordował sześć ofiar. Z kryminalisty stał się przypadkiem sądowym. Podobny status przypisano Kazimierzowi B. – stosownie, oczywiście, do skali popełnionych zbrodni: szantaż połączony z próbą wyłudzenia pieniędzy i groźba za mordowania pomnika nagrobego. W porównaniu z Modzelewskim mój ojciec był jak murzyński pastuch przy cesarzu abisyńskim. Tyle że Modzelewski był daleko, a syn Bodlera pod ręką. Myliłem się, sądząc, że z dnia na dzień przestanę interesować domorosłych psychologów, którzy poddając obserwacji każdy mój gest, szukali potwierdzenia, że niedaleko padło jabłko od jabłoni. Złośliwości Sawończuka, przycinki starej Sarneckiej, głośnie szepty na szkolnym korytarzu – próbowałem ignorować. Udawałem, że nie widzę, jak Zofia Bodler potajemnie przegląda zawartość mojego tornistra, szuka w rysunkach i lekturach oznak nadciągających zmian, gotowa ratować mnie, zanim będzie za późno. Największy problem miałem z samym sobą. Za fasadą fizycznego podobieństwa szły inne cechy dziedziczne, wśród nich te budzące najgorsze obawy: skłonność do fantazjowania i łatwość przyswajania książek. Proces przepoczwarzania się, przed którym nie chronią regularne rendez-vous z Panem Trokiem, rozpoczął się i wkrótce się dopełni. Jeśli nie zdarzy się coś, co go zatrzyma.

16.

W PRZEDOSTATNIA niedzielę września na sąsiadującym ze szkołą stadionie robotniczego klubu sportowego „Bawełna” zorganizowano ostatnie w tym roku zawody sportowe: biegi sprinterskie, pchnięcie kulą, pokazy akrobatyczne mężczyzn. Atrakcją dnia była walka bokserska w wadze półciężkiej między Olejeskim a Rigobertem. Stan Olejeski, reklamowały afisze na parkanach, po czterech zwycięskich sezonach na amerykańskich ringach właśnie odbywa tournée po Polsce. Rigoberto pochodził z Brazylii i w swojej wadze nie miał sobie równych w Ameryce Południowej. Najtańszy bilet kosztował dwadzieścia złotych. Olejeski na plakacie miał nieprzyjemne spojrzenie. Patrzył spode łba jak John Wayne. Rigoberto przypominał mi Cygana Maxa z Kozin, na którego czasem się natykałem, bo odwiedzał pewną pannę z dzieckiem, zamieszkałą w ruderze przy Pietrusińskiego, tej samej, gdzie jednopokojowe mieszka nie zajmowała ciotka Janka z trójką dzieci. Powziąłem pewien zamysł i z walką OlejeskiRigoberto

wiązałem spore nadzieje. Podobna okazja, wiedziałem, nieprędko się powtórzy. Ze swoich zamiarów zwierzyłem się Tadekowi Bajgelmanowi. Z początku kręcił nosem. Nie był miłośnikiem współczesnych walk na pięści. „Prymitywny sport – orzekł i wygłosił zgrabny wykład o greckich pugilistach. – Przy Grekach Rigoberto i Olejeski to zwykli siepacze”. „Tyle że – zripostowałem – pugilistów mogę oglądać tylko na obrazku”.

– Masz pieniądze? – upewnił się przytomnie.

Cały projekt rozbijał się o brak pieniędzy. Tadek znalazł na to radę. Za dziesięć złotych dróżnik pilnujący torów zakładowych otworzył nam bramę i pokazał dziurę w parkanie, wychodzącą na zamaskowany krzakami bliźniaczy otwór w ogradzającej stadion siatce. Przepisałem się przez dziurę, ostrożnie, by nie zniszczyć niedzielnego ubrania, w które wystroiłem się na dowód, że idę w odwiedziny do syna profesora Bajgelmana. Przykucnęliśmy w krzakach. Największy ścisk panował po prawej stronie stadionu, gdzie na podwyższeniu wznosił się ring, a obok rozbito duży wojskowy namiot. Dochodziła trzecia po południu. Klapy namiotu rozchyliły się. Olejeski i Rigoberto wyszli niemal jednocześnie na murawę i w podskokach dobiegli do ringu. Podniosła się wrzawa. Niezauważeni dołączyliśmy do tłumu. Na akrobatów, którzy po drugiej stronie murawy budo wali trzypoziomową piramidę, nikt nie zwracał uwagi. Olejeski w narożniku groźnie dyszał, wodził wzrokiem za Rigobertem. Brazylijczyk obchodził ring sprężystym krokiem. Podstawiono drewniane schodki i na deski ringu wgramolił się niziutki sędzia w czarnej muszce do białej koszuli, za nim wszedł niemłody mężczyzna w przyzwoitym czarnym garniturze. „Joe Kowalsky – przedstawił się – impresario sportowy zza oceanu”. Rigoberto i Olejeski ściągnęli szlafroki i naprężyli mięśnie. Rozległ się pomruk zawodu.

– Szanowna łódzka publiczności – zakrzyknął ochryple impresario – świat idzie z postępem! Czasy brutalnej siły odchodzi w przeszłość. W drugiej połowie dwudziestego wieku liczy się bokserska technika!

„Mistrzowie z obu Ameryk dadzą pokaz finezyjnego boksu” – zapewnił. Rigoberto i Olejeski patrzyli na siebie spod łbów, kiedy impresario wymieniał długą listę tytułów i zwycięstw na ich koncie. Wyliczanka dobiegła końca. Olejeski uklonił się i pozdrowił widzów po polsku.

– Niech Murzyn też coś powie! – krzyknął stojący obok mnie postawny brunet.

Impresario odszukał go wzrokiem.

– Rigoberto nie mówi po polsku.

– Może być po brazylijsku.

„W Brazylii – mruknął pod nosem Tadek Bajgelman – mówią po portugalsku”.

„Niestety – powiedział impresario, przybierając smutną minę – Rigoberto nie przemówi po brazylijsku ani w żadnym z kilku znanych mu języków. W imię ukochanego sportu poniósł straszliwą ofiarę, podczas walki w Acapulco cios przeciwnika przyjął tak nieszczęśliwie, że odgryzł sobie połowę języka, stając się dożywno niemową”. Po tych słowach impresario pchnął zawodników z taką siłą, że Rigoberto i Olejeski prawie zderzyli się głowami. Rozbrzmiał gong, sędzia przeciął powietrze ręką i rozpoczęła się pierwsza z zaplanowanych sześciu rund. Przepchałem się bliżej ringu, żeby wszystko jak najdokładniej widzieć. Nie uśmiechało mi się wybierać w ciemno.

Olejeski zaatakował z impetem. Młócił pięściami, aż świstało. Rigoberto uskakiwał i cofał się. Rozległy się gwizdy. W drugiej rundzie Olejeski znowu gonił za Brazylijczykiem jak wściekły pies. Rigoberto tańczył i szczyrzył w uśmiechu białe zęby. Pod koniec rundy zręcznie się odchylił, raptem odwinął się jak puszczone sprężyna i prawym sierpowym trafił amerykańskiego Polaka w podbródek. Sędzia tak długo wyliczał Olejeskiego, aż zabrzmiał gong. W trzeciej rundzie Rigoberto prze szedł do natarcia. Nękał przeciwnika kombinacją ciosów: seria uderzeń i odskok, uderzenia i odskok. Porządnie Olejeskiego zmęczył. Sędzia przerywał pojedynek, by zetrzeć krew z de sek. Ładna walka, komentowali mężczyźni, paląc papierosa za papierosem. Towarzyszące im panie przytakiwały. W czwartej rundzie Rigoberto dwa razy posłał Olejeskiego na deski. Olejeski wstawał, potrząsał głową i dalej walczył. Cudem wytrzymał do gongu. A równo z końcem przerwy wyskoczył z narożnika i rzucił się na Brazylijczyka. Zakotłowało się. Rigoberto pole ciał na liny. Olejeski już przy nim był. Zamarkował uderzenie na szczękę, a ledwo Rigoberto podniósł ręce do bloku, walnął go potężnym hakiem w żołądek. Zanim Rigoberto gruchnął na deski, prawy prosty Olejeskiego rozbił mu łuk brwiowy. Pod niósł się zadziwiająco szybko. Zaprzestał uników i poszedł na wymianę ciosów. Zwarli się ze sobą jak dwa zmęczone bry tany. Sędzia ringowy miał koszulę mokrą od potu. Walka na najwyższym poziomie, słyszało się tu i ówdzie. Całym sercem byłem za Olejeskim. Gdyby jednak zwyciężył Rigoberto, nie miałbym innego wyboru, jak przerzucić się na niego. Zostać drugim Rigoberto albo Olejeskim: na tym polegał mój pomysł. Bujanie w obłokach, bujdy w rodzaju, że Gienek Rapaciuk, ten, co zgniatał orzechy bicepsem, namaścił mojego ojca na swego następcę albo że mistrz Pytłasiński dawał ojcu lekcje zapasów, całe to fantazjowanie zostawiałem ojcu, ja będę inny. „Inny” to było ważne słowo, słowo wytrych do nowego życia. Oderwać się od Kazimierza B., tego z gazetowej kroniki kryminalnej i mojej metryki

urodzenia. Olejeski padał i podnosił się, padał i Rigoberto, ale nie dawał się wyliczyć do dziesięciu, żaden się nie oszczędzał, szósta runda tylko jednemu mogła przynieść zwycięstwo. „Niedobrze mi” – jęknął Tadek. Walka zbliżała się do końca. Sędzia główny wrócił od stolika sędziowskiego z wynikami, zawodnicy poczłapali na środek ringu i po chwili wyczekiwania w górę powędrowała ręka Olejeskiego. Wszyscy klaskali i krzyczeli z entuzjazmem. Rigoberto, powłócząc nogami, wrócił do namiotu. Olejeskiemu odśpiewano „sto lat”, kiedy prężąc bicepsy obszedł trzykrotnie ring, zanim zniknął za Rigobertem w namiocie. Widzowie przenieśli się na drugą połowę stadionu, gdzie akrobaci właśnie rozpoczęli skoki na batucie.

– Mam dosyć – pozalił się Tadek.

– To idź. Ja zostaję.

Zakradłem się do namiotu. Klapy rozchyliły się i wyszedł impresario Kowalski.

– Czego tu szukasz?

– Chciałem dostać autograf mistrza Olejeskiego – skłamałem.

– Poczekaj. – Po chwili wrócił i wcisnął mi karteluszek. – Żeby cię tu więcej nie widział!

Chwiejnym krokiem podążył do zaparkowanego na bieżni moskwicza. Karteluszek wrzuciłem do kosza. Rozchyliłem odrobinę klapy namiotu, przez wąską szparę zapuściłem żurawia. Olejeski i Rigoberto, w świeżych białych podkoszulkach, rozsiedli się na zydlach przy składanym stoliku. Stolik był nie duży, naliczyłem dwie półlitrowki i sześć butelek piwa. Trącili się szklaneczkami. Rigoberto „niemowa” popił wódkę piwem. Dostrzegł chyba zarys mojej postaci, bo krzyknął:

– Kowalski, do kurwy nędzy, czemu piwo ciepłe?

Wycofałem się. Impresario wracał, w turystycznej torbie pobrzękiwało szkło.

Dogoniłem Tadka.

– Nie dają autografów!

Tadek o nic nie pytał. Wyczuł, że nie jestem w nastroju do rozmowy. Zaprosił mnie do domu na podwieczorek.

W domu Tadka byłem częstym gościem. Po raz pierwszy jednak miałem zasiąść w salonie z wszystkimi domownikami. Na szklanej paterze piętrzyły się ciasteczka domowego wypieku. Nad fortepianem wisiały stare fotografie w ramkach: kobiety w bluzkach z wysokimi kołnierzykami dźwigały na głowach kunsztownie ułożone fryzury; mężczyźni nosili kapelusze albo myc ki, długie faliste brody opadały na surduty i marynarki niemodnego dziś kroju. Profesor Bajgelman przywitał mnie uściskiem dłoni.

Mama Tadka naląła herbaty do porcelanowych filiżanek, prosiła skosztować ciasteczek i konfitur. Profesor Bajgelman pod jął ze mną rozmowę. „Interesujesz się sztuką? Bardzo chwalebne”. Ożywił się, usłyszawszy o rysunkach, które sporządziłem po lekturze Quo vadis. „Kultura antyczna – powiedział – kultura ludów starożytnych to skarbnica ludzkości, tego was w szkole nie uczą? Wielka szkoda – westchnął. – Tym bardziej ci się chwali, żeś z własnej inicjatywy podjął studia w tym kierunku”. „Nic wielkiego – wydukałem – to tylko szkice piórkiem”.

– Ponoć dużo czytasz. Proszę nam zdradzić, którego autora lubisz najbardziej?

Baśnie arabskie, kubusie puchatki, latające dywany, alicje w krainie czarów, calineczki i alibaby – z tą kolekcją postaci, które pogardliwie zaliczałem do literatury dziecięcej, dawno się rozprawiłem. Zapuszczałem się między półki, na których obok Karola Maya stał Kraszewski, Dumas, Scott i Dickens. Książki Dickensa pochłaniałem zachłannie. Klub Pickwicka do tego stopnia uzależnił mnie od swego autora, że czytałem, cokolwiek wpadło mi w ręce, przebrnąłem nawet przez Zarys Ameryki i Szkice Boza.

Bez namysłu odpowiedziałem:

– Najbardziej lubię Dickensa.

Profesor Bajgelman gwałtownym ruchem odstawił filiżankę. Krztusząc się, kierował w bok wytrzeszczone oczy. Pani Bajgelman klepała męża po plecach.

Do domu wracałem zdruzgotany. Profesor był człowiekiem zbyt dobrze wychowanym, by mnie poprawić. Nie pouczał, że „Dickens” wymawia się inaczej niż „Mickiewicz”, moje niefortunne „ck” przełknął i niby mimochodem powtórzył nazwisko autora Pickwicka w poprawnym brzmieniu. Siedziałem w salo nie Bajgelmanów jak na wylocie dymiącego wulkanu. Oto, kim naprawdę byłem – po mieczu proletariusz, półanalfabeta po kądzieli. Tego faktu nie zmieniały podwieczorki u Bajgelmanów ani stosy lektur. Miałem żal do Kennedy’ego, że w swoim czasie nie wystrzelił raket na Kubę; byłaby z tego piękna wojna i cały świat wyglądałby dzisiaj inaczej. Miałem żal do dziadka Stanisława, bo przez ojcowski upór pchnął córkę w ramiona proletariusza z problemem alkoholowym. Czułem żal do Zofii Bodler, że nie zostawiła nowożeńca pod weselnym stołem, pozwoliła mu wytrzeźwieć i w poczuciu religijnego obowiązku dopełnili małżeńskiej powinności. Jednym sakramentalnym węzłem związać trzy życia naraz to nie lada sztuka! Miałem pretensje do Wagnerów, Mannów i Singerów, do całej tej niemieckiej tłuszczy, bo zamiast dalej produkować – doprawdy nie najgorsze – opery, wiersze i maszyny do szycia, porwali się na Polskę z wiadomym skutkiem dla

Zofii Bodler.

Tego wieczoru dostałem wysokiej gorączki. Zaczęły się wrześniowe słoty, więc sąsiedzkie konsylium rozpoznało grypopodobną infekcję gardła. Typowa niedyspozycja związana z jesiennym przesileniem. Przeleżałem trzy dni, łykając polopirynę i pijąc mleko z masłem, ale objawy nie ustąpiły. Wezwano lekarza. Zaniepokojony utrzymującą się temperaturą, zarządził pilne badania krwi. Straciłem apetyt, marniałem w oczach. Nastął najpiękniejszy okres w moim życiu. Nie wiadomo, co mi dolega, w każdej chwili mogłem umrzeć. Leżałem pogodzony i czekałem, aż śmierć uwolni mnie od kłopotów. Naturalną śmiercią zginie prorocstwo, że z Bodlerowej poczwarki prędzej czy później zrodzi się kopia Kazimierza B. „Febris rheumatica – orzekł lekarz po obejrzeniu kompletu wyników – morbus rheumaticus acutus”. Wymądrzał się, sypał paciorkowcami i antygenami jak z rogu obfitości, a przy prostej kobiecie trzeba kawę na łąwę, ostra choroba reumatyczna, pani Bodler, inaczej gorączka reumatyczna, takie rzeczy biorą się ze źle leczonych przeziębień, za skłonnością do przeziębień stoją bakterie, a tu taj, widzę, paciorkowce mają jak w raj, wilgoć przez okrągły rok, grzyb załagł się na ścianach, trzeba palić w kuchennym piecu dzień i noc, dzień i noc, bo dziecko się pani zmarnuje. Zaczęły się procesje gości: sąsiadki, ciotki, kuzynki, koleżanki mamy z fabryki, ministranci i mamusie ministrantów, delegacje klasowe. Nie mogłem opędzić się od prezentów. Prawdziwe prezenty, broń Boże szaliki robione na drutach czy deficytowe mandarynki. Książki podróżnicze, powieści przygodowe, klasery ze znaczkami, albumy o egzotycznych zwierzętach, ko miksy w obcych językach, bloki i przybory rysunkowe niemal w hurtowych ilościach. Rozmawiano przy mnie z przesadnym ożywieniem, byle unikać sedna sprawy, udawać, że nie zadomowiła się we mnie gorączka reumatyczna, która poczyni w organizmie poważne spustoszenie, w takich przypadkach zapalenie mięśnia sercowego jest niemal pewne, biedne dziecko, biedny Michał, biedny chłopiec, jeśli zachoruje na serce, to t e g o nie da się wyleczyć. „Z dnia na dzień wyglądasz lepiej” – kłamali w żywe oczy. I patrzyli na mnie tak, jak dziadek Stanisław na drzewo toczone przez korniki.

17.

BŁOGOSŁAWIONY stan niepewności trwał prawie do końca października. O tym, co dzieje się w szkole, informował mnie Tadek Bajgelman. Przychodził niemal codziennie.

Unikaliśmy jak ognia rozmów o książkach, by nie wracać do mojego blamażu z Dickensem. Tadek potrafił rozwozić się dwa kwadransy na temat szkolnej gazetki ściennej. Opowiadał o pękniętej rurze kanalizacyjnej na Obrońców Stalingradu i o najnowszych nabytkach łódzkiego zoologa. Sam plotłem banialuki o unikatowych seriach znaczków pocztowych. Albo oglądaliśmy szwedzki ko miks o Ben Hurze, bawiąc się w zgadywanie, o czym bohaterowie rozmawiają.

Pod koniec października lekarz orzekł, że bezpośrednie zagrożenie minęło. Miałem nadal pozostawać pod obserwacją specjalistyczną i łykać medykamenty; nie ominie mnie profilaktyczne nakłuwanie pośladków zastrzykami debecyliny. „Musi dobrze się odżywiać, pani Bodler, unikać przeziębień, dużo przebywać na świeżym powietrzu, ale wystrzegać się nad miernego wysiłku fizycznego. A przede wszystkim – zakończył pan doktor, rozglądając się z dezaprobatą po ciemnym, zagrzybionym pokoju – niech pani koniecznie zmieni lokum. Suche, słoneczne mieszkanie to podstawa. Ten pokój – nora nie pokój! – jest istną wylęgarnią bakterii. A nie muszę pani przypominać, czym grozi nawrót choroby”.

W pierwszym tygodniu listopada wróciłem do szkoły. Dzięki pomocy Tadka Bajgelmana nie groziły mi zaległości w nauce. W klasie wyczułem zmianę nastawienia wobec mojej osoby. Ze swoim morbus rheumaticus acutus stanowiłem sensację dużego kalibru. Mietka Maciąga biłem na głowę. Z jedną nerką można żyć. Gość, któremu w każdej chwili serce może wymówić posłuszeństwo – to naprawdę ktoś. Obserwowano mnie z zainteresowaniem. Naraz wszystkim zaczęło na mnie zależeć. Niby dlaczego, myśleli, chłopak nie miałby jeszcze pożyć dziesięciu, piętnastu lat? Zdążyli porobić zakłady, każdy wypracował własną teorię co do czekającej mnie niechlubnej przyszłości; przez głupi reumatyzm ich kalkulacje miałyby wziąć w łeb? Troska Sawończuka rzucała się w oczy. Postawił sobie za punkt honoru, by ze swej strony rzecz doprowadzić do końca. Za jego to przyczyną napotykałem na mej drodze bezpańskie portmonetki; albo jakimś zrzędzeniem losu nowiutkie pióro wieczne Tadka Bajgelmana trafiało do mojego tornistra. Rozsiewał wokół mnie zarazki dla podsycenia gorączki, żeby choroba niezawodnie się rozwinęła. Musiałem mieć się nieustannie na baczności. Była jednak i dobra strona laboratoryjnego eksperymentu, w którym Sawończuk odgrywał rolę domorosłego psychologa o zapędach kryminologa behawiorysty. Pozwolił mi buszować do woli po szkolnej bibliotece.

Dałem się skusić. Od niesławnego incydentu z Dickensem nie pokazywałem się w domu Bajgelmanów. Wstydzilem się profesora, nie chciałem maskowanego

współczucia pani Bajgelman. Rezygnując z wizyt u Tadka, odcinałem sobie możliwość korzystania z jego księgozbioru. Oferta Sawończuka, cokolwiek legło u jej podstaw, przyszła w samą porę. Krążyłem między półkami i nie przeszkadzało mi, że jestem obserwowany z ukrycia. Pod jednym względem szkolna biblioteka mogła konkurować z księgozbiorem Tadka. Profesor nie cenił wysoko powieści przygodowych: na półkach Tadka znalazło się miejsce dla Verne'a, Twaina, Dumasa, ale już Karola Maya reprezentowała jedynie trylogia o Winnetou. Przegląd szkolnej biblioteki zacząłem właśnie od Maya – na pierwszy ogień Skarb w Srebrnym Jeziorze, następnie powieści „azjatyckie”. Od tego momentu zdałem się na ślepy los. Flaubert, Stendhal, Stone, Żuławski, London – nazwiska nic mi nie mówiły.

Sawończuk wypożyczał mi książki bez słowa komentarza. Ani zachęcał, ani odradzał – ograniczał się do buchalterii. Kiedy położyłem przed nim na stole Braci Karamazow, z każde go tomu wyjął karty biblioteczne przepisał sygnatury na moją kartę czytelnika. Gotowe. Na Karamazowów trafiłem przypadkiem. Trzy grube tomy przyciągały uwagę. Zbliżało się Boże Narodzenie, trzy opasłe tomiska to w sumie ponad tysiąc stron tekstu, czytania na dwa tygodnie. Dostojewski? Nie znałem. „Historia pewnej rodzinki”, przeczytałem na pierwszej stronie. Fiodor Pawłowicz Karamazow, przeczytałem, zenił się dwa razy, miał trzech synów, przeczytałem, był typem nikczemnym i rozpustnym, hulał, pił i łajdaczył się, czytałem z rosnącym za interesowaniem, kłamał, bałamucił i oszukiwał, obie żony do prowadził do śmierci, o wychowanie synów troszczył się tyle co nic, wreszcie spotkał go tragiczny i niewyjaśniony zgon. Niosłem Karamazowów na nasze poddasze, które mama w przepływie dobrego humoru nazywała mansardą, wdychałem zapach kleju i farby drukarskiej, czterech Karamazowów w trzech solidnych tomach wdrapywało się ze mną po wypaczonych schodach, w półmroku, trzymając się chwiejnej poręczy. Dostojewski – mistrz prozy psychologicznej, przeczytałem w szkolnej encyklopedii. Przeżył pełne sześćdziesiąt lat, był więc jednym z tych s t a r y c h pisarzy, oświeconych starców, dla których poligonem doświadczalnym stało się własne życie. Mimo że zmarł jakieś osiemdziesiąt lat przed moim narodzeniem, pisał o sprawach i mnie dobrze znanych. Fiodor Pawłowicz Karamazow, choć pozował na światowca i arystokratę, w powszechnej opinii był błaznem i zgniłkiem. Wypinał pierś po cudze orderzy, chętnie stroił się w cudze piórka, pił i używał życia za cudze pieniądze. Fantasta, pomyślałem. Zły ojciec i wychowawca, pisał Dostojewski. Dom zamienił w jaskinię rozpusty, o pierworodnym zapomniał, syn ujrzał ojca po raz pierwszy dopiero po dojściu do

pełnoletności. Ze strony na stronę Fiodorowi Pawłowiczowi Karamazowowi przybywało grzechów, wątroba nędziała od pijaństwa, kolejni niechciani synowie przychodzili na świat. Nie dopuszczał sumienia do głosu, więc sumienie po latach wzięło na nim odwet, zadbało, by na twarzy jak w lustrze odbijały się występki i zbrodnie – stąd wory pod podejrzliwy mi oczkami, stąd obfity podbródek, mięsisty nos nad obrzękłymi wargami, za którymi kryły się pieńki czarnych zębów. Jednak im dalej zapuszczałem się w las, napotykałem gęstwinę nazwisk i postaci, rozrastały się konary drzew rodowych, piętrzyły się sytuacje, powiązania i zależności. Nie było strony bez obcych słów i pojęć. Stawałem naprzeciw nich nieprzygotowany, te wszystkie klikusze, monastery, święci starcy, ojcowie ihumeni, francuskie cytaty, obiednie, kłobuki i jurodiwy były jak przysłowiowe kłody pod nogami. Potykałem się o nie. Ledwo uporałem się z jednymi, pojawiały się kolejne. Rozdział „Gorszące spotkanie”, przełomowy dla Karamazowów moment, gdy w czwórkę spotykają się w monasterze u starca Zosimy, zaczynałem w dobrej wierze. Przebrnąwszy przez kilka stron, pod dawałem się, głowa mi pękała od epitrachilionów i ultramontanizmów. Przedostatnia niedziela grudnia zastała mnie nad rozdziałem, w którym starzec Zosima wygłasza nauki, ojciec Paisjusz zaciekle zwalcza poglądy wrogie Kościołowi, a Iwan Fiodorowicz na obronę swego sławnego artykułu wyjaśnia, że pomieszanie tych dwóch elementów, to znaczy istoty Kościoła i istoty państwa wziętych oddzielnie, będzie trwało po wsze czasy, mimo że elementy owe nie dadzą się doprowadzić do normalnej względem siebie równowagi i żadną miarą uzgodnić, bo fałszywa jest podstawa ich wzajemnego stosunku. Kto, kogo, za co i w jaki sposób ma osądzać – wokół tego teraz toczy się rozmowa, i ojciec Zosima wywołuje poruszenie, kiedy mówi – dobitnie, lecz cicho, inaczej niż proboszcz Szczęsny w niedzielę z ambony – że jedyną skuteczną karą jest głos sumienia. I sumienie staje się naraz głównym odniesieniem w rozmowie, może nawet pierwszoplanowym bohaterem rodzinnej opowieści, bo nagle do celi monasteru wkracza spóźniony Dymitr Fiodorowicz, najstarszy z Karamazowów, Fiodor Pawłowicz z po mocą poety Schillera daje upust niechęci do pierworodnego, zło odsłania swoje prawdziwe oblicze. I teraz aż się prosi, by te wszystkie sumienia ustawić rządkiem obok siebie, niechby każdy zobaczył, które jest białe, a które czarne.

Było to w niedzielę, mniej więcej tydzień przed Bożym Narodzeniem. W poniedziałek zaś Sawończuk zaapelował, byśmy ustawicznie pracowali nad sobą. W tym celu ważne jest podjęcie stosownych zobowiązań.

– Będziecie mieć teraz sporo wolnych dni. A Nowy Rok za pasem. W ten nowy etap

trzeba wejść ze świadomością odpowiedzialności, jaka na was mimo młodego wieku spoczywa. Wykorzystajcie ten okres na przemyślenie, jak właściwie po kierować życiem. Jak poszerzać wiedzę o świecie i kształtować właściwą postawę.

„Najlepszy prezent, jaki możecie sobie sprawić – ciągnął – to zaprenumerowanie prasy radzieckiej. Jest w czym wybierać – zachęcał – ponad tysiąc pięćset tytułów w prenumeracie rocznej, półrocznej i kwartalnej. Niepowtarzalna okazja, by na bieżąco śledzić informacje ze wszystkich dziedzin życia i wiedzy”.

– Jeszcze nie uczymy się rosyjskiego – odezwał się jako jedyny Tadek Bajgelman.

– A kto powiedział, że zawsze trzeba czekać na gotowe? – Sawończuk kontrolował głos; bądź co bądź miał przed sobą syna profesora Bajgelmana. – Poczucie tę tętniącą siłę, wejść w krwiobieg wydarzeń, rozmiłować się w języku! Nie stać z założonymi rękami, aż podadzą wszystko jak na talerzu. A w ogóle – potoczył wzrokiem po klasie – czy ktoś z was przeczytał radziecki utwór choćby w polskim tłumaczeniu?

Wyrwałem się z Dostojewskim. Sawończuk wzruszył lekceważąco ramionami.

– Dostojewski... No więc to w ogóle nie był pisarz radziecki. Prosty ludziom mącił w głowach. Żeby nadal tkwili w okowach religii. – Patrzył teraz prosto na mnie. – A poza tym nie lubił Polaków.

Szczerze mówiąc, lektura Braci Karamazow wyczerpywała mnie. Chętnie bym od Dostojewskiego odpoczął. Ale słowa Sawończuka przyniosły odwrotny skutek. W jakim to sposób Dostojewski mącił ludziom w głowach? I co złego wypisywał o Polakach? Postanowiłem tego dociec.

Ale tego samego dnia w domu niespodziewanie pojawiła się Nora i wszystko inne, włącznie z książkami, zeszło na dalszy plan.

Arek Struzik, pomocnik Mycielskiego, który przyprowadził Norę ze schroniska, zapierał się, że to owczarek szkocki czystej krwi.

– Mikry jakiś – wybrzydzał pan Graczyk.

– Bo to suka!

– Umaszczenie wzorcowe – włączył się Mycielski.

– Za chuda na collie – obstawał ojciec Mirka.

– A widział pan w schronisku wypaszonego psa?

Patrzyłem na nich jak na przybyszów z innej planety. Ni czego nie rozumieli. Z całej klasy tylko Jankowski miał psa. Był jeszcze Dryg, wyżeł Maciąga, ale Dryg się nie liczył, bo to pies myśliwski, Mietek ma z niego tyle pożytku, ile ja z naszego porcelanowego słonia na etażerce. Pies był dodatkową głębą do wykarmienia, pomijając tak zwane

obowiązki, nie mówiąc osakramentalnym „czy to ci jest potrzebne do szkoły?”. Krótko mówiąc, wszystko od początku przemawiało przeciwko Norze. Pies w naszym mieszkaniu nie miał prawa się pojawić. To, co się zdarzyło, było wbrew logice. Wina rozkładała się równo na autorów rubryki „Odpowiedzi na listy” w „Przyjaciółce”, którą mama regularnie czytała, i na jej koleżanki z fabryki. W rozbitej rodzinie czworonóg wypełnia dziecku lukę po rozwodzie rodziców, uczy obowiązkowości, pomaga budować właściwe relacje w rodzinnej hierarchii. Tak w każdym razie dowodzi li uczeni amerykańscy, a za nimi „Przyjaciółka” i czytelniczki tygodnika. Co równie ważne, pies zapewni mi regularny pobyt na świeżym powietrzu. Pojawienie się Nory zawdzięczałem pospołu nauce amerykańskiej i gorączce reumatycznej.

Arek Struzik okazał się kynologiem hobbystą. Miał w małym palcu wiedzę o psach. Wybrał dla mnie Norę, bo owczarki szkockie są łatwe w prowadzeniu, odznaczają się przyjaznym usposobieniem i szybko się uczą.

– Bez rodowodu, jak to znajda ze schroniska – oznajmił, chociaż rodowód to ostatnia rzecz, o jaką przyszedłoby mi do głowy zapytać. – Na moje oko ma ze trzy lata. Psa w tym wieku da się jeszcze przyzwyczaić do nowego właściciela.

Słowo „właściciel” podobało mi się i nie podobało zarazem. Owszem, przyjemnie było wiedzieć, że mam coś na własność. Ale w tym właśnie zasadzał się paradoks. Nora nie była rzeczą. Miała charakter. Brzydziła się jeść z brudnej miski. Wykonywała polecenia, za to łapę podawała z łaski, odwracała przy tym łeb, jakby mówiła: „Ja wolę na to nie patrzeć”. Ledwo mama wychodziła i przekręcała klucz w zamku, Nora obejmowała we władanie połowę łóżka. Zapadała w sen, chrapiąc ostentacyjnie, jakby chciała zademonstrować, że urządzając legowisko na podłodze, skazujemy ją na bezsenność. Budzik nie był mi potrzebny. Punktualnie o wpół do siódmej Nora wrywała mnie ze snu. Warowała niecierpliwie przy drzwiach, czekała na smycz. Szła przy nodze jak szkolony pies. Bez ociągania załatwiała psie potrzeby. Trzy razy dziennie wyprowadzała mnie na świeże powietrze niczym pielęgniarka kuracjusza. Tak minął tydzień i nadeszła Wigilia. Całe przedpołudnie chodziłem z nosem spuszczonej na kwintę. Od miesiący było wiadomo, że święta Bożego Narodzenia spędzimy u ciotki Ziuty. Przy obiedzie sprawa się wyjaśniła. „A jest inne wyjście? – odpowiedziała mama pytaniem na moje pytanie. – Psa bierzemy ze sobą”.

Z całej rodziny tylko ciotce Ziucie poszczęściło się w małżeństwie. Wuj Stefan okazał się alkoholikiem. Z roku na rok pił coraz więcej. Ogałcał mieszkanie ze sprzętów, prowadził cygańskie życie, sporadyczne powroty do domu zamieniał w

pasmo awantur. Szczęśliwie dla swego katolickiego sumienia ciotka nie musiała ratować się rozwodem. Wuj Stefan upijał się regularnie, sięgał po coraz podlejsze trunki, na koniec wlewał w siebie wszystko, co choć trąciło alkoholem. Umarł, podobny do jednego z tych błękitnych aniołów, którzy snuli się po Ogrodowej, Srebrzyńskiej czy Cmentarnej – denaturat nie do poznania zmieniał im twarz i charakter. W wieku trzydziestu ośmiu lat ciotka Ziuta została wdową z córką na wychowaniu. Od życia nie spodziewała się wiele. Bolesław był wdowcem, wniósł do małżeństwa doświadczenie swoich sześćdziesięciu pięciu lat i przyzwoitą emeryturę. Papierosa dzielił na trzy części i osadzał w lufce, żeby dłużej czerpać przyjemność z palenia. Pani Brzezińska, równolatka Bolesława, mieszkała piętro wyżej. Lufkę nazywała z niemiecka fifką. Codziennie przychodziła z wizytą. Staruszkowie pili herbatę, jedli kruche ciasteczka i unikali rozmów o przyszłości. Wspominali przeszłość. Przywoływali młode lata, wiodąc spór, gdzie było lepiej. Wuj Bolesław, urodzony pod rosyjskim zaborem, przed dojściem bolszewików do władzy odsłużył dwa lata w carskiej armii. Nosił wtedy szykowny mundur, miał kruczoczarne włosy i kochała się w nim córka sztabkapitana. Pani Brzezińska urodziła się w Krakowie i od dzieciństwa miała Rosję w pogardzie. Kochała AustroWęgry i cesarza Franciszka Józefa. W młodości poznała niemiecki i francuski, Goethego czytała w oryginale. Gdyby nie zamach w Sarajewie, odbyłaby studia w Wiedniu. Krzywiąc przesadnie wymalowane wargi, ciskała gromy na Mikołaja II, właśnie cara obwiniając za swoje zmarnowane życie. Bolesław nie zostawiał suchej nitki na Franciszku Józefie. Ciotka Ziuta parzyła herbatę i donosiła ciasteczka, nad stołem w pokoju gościnnym unosiły się dwie wizje dawno pogrzebanej Europy. Robiło się późno i pani Brzezińska odchodziła skłócona z Bolesławem, a nazajutrz znowu siadali naprzeciw siebie, podobni do pary szachistów, którzy przystępując do gry, z góry zakładają remis.

Bolesław sypiał w dużym pokoju na rozkładanej sofie, ciotka z córką miały sypialnię w mniejszym z dwóch pokoi. Z głośnika nad ich łóżkiem sączyła się muzyka na zmianę z audycjami politycznymi. Głośnik można było jedynie ściszyć, nie dawał się wyłączyć ani przestawić na inną częstotliwość. Naród radziecki, kpił z przekąsem wuj Bolesław, jakby wciąż poczuwając się do obowiązku obrony munduru carskiej armii, naród radziecki podarował Warszawie Pałac Kultury i Nauki, a Łodzi sprezentował kolchoźniki. „Za caratu – przekonywał – dyshonor nie do pomyślenia”. „Za cara – kontrowała pani Brzezińska, jeśli podobna uwaga padała w jej obecności – radio znajdowało się w powijkach. Nawet w mieście tak kulturalnym jak Wiedeń nowy wynalazek dopiero

przecierał sobie szlaki. Bo też czy było czego żałować? Ach, te sale balowe, te wiedeńskie walce! – wspominała z wypiekami na twarzy. – Strauss w radiu – obruszała się – to zanik dobrych obyczajów”.

Także ciotka rozpamiętywała utracone szanse młodości. Gdy wojna dobiegła końca, odbywała służbę w korpusie pielęgniarek. Przy jej zdolnościach i talencie zjednywania sobie ludzi mogła zrobić w wojsku karierę. Wysocy rangą lekarze oficerowie namawiali ją do pozostania w armii. Obiecywali wysłanie na kursy doksztalające i oficerskim słowem honoru gwarantowali szybki awans na stopień oficerski. Jednak Ziuta Karlicka, jedyna w rodzinie, do której młode państwo socjalistyczne wy ciągnęło pomocną dłoń, po demobilizacji wystąpiła z wojska. Postawiła na Łódź, wybrała przyszłość w dawnej fabryce Poznańskiego, teraz przemianowanej na zakłady Marchlewskiego. Przez kilka pierwszych powojennych lat w pokoju jadalnym na honorowym miejscu wisiało zdjęcie ciotki w mundurze. Któregoś dnia zniknęło, pewnie trafiło do dolnej szuflady komody, gdzie trzymała stare fotografie, zapłacone rachunki i części garderoby, które wyszły z mody.

*

Choć katolickie sumienie Karlickich nie było przeszkodą do rozwodów, surowo zabraniało bratania się z partią. Pod tym względem ciotka Ziuta nie odstawała od rodziny. Po dwudziestu latach pracy pozostawała pracownikiem umysłowym niższego szczebla; skoro partia nie miała z niej pożytku, nie widziano powodu, by wyróżniać ciotkę awansem. Ratowała ją postawa wyniesiona z domu, ta zabarwiona religią filozofia babci Józefy, zawarta w manifeście: „Uda się, to dobrze, nie uda się, to drugie dobrze”. Radość życia czerpała z prostych przyjemności: domo we obowiązki, podporządkowanie się rytmowi życia starszego o ponad dwadzieścia lat męża, wyprawianie hucznych imienin i świąt. Na Wigiliach u ciotki Ziuty spotykała się niemal cała rodzina. Dopisywali bracia: Tadeusz, Heniek i Józek, wszyscy trzej świeżo rozwiedzeni, z planami na przyszłość, gotowi wikłać się w kolejne nieudane związki. Tegoroczne święta zapowiadały się szczególnie uroczyście w związku z przyjazdem dziadków. To oni nadadzą ton rodzinnemu zjazdowi. Żadnych rozmów o rozwodach, trudnościach lokalowych, straconych szansach czy nieślubnych związkach.

Ciotka Ziuta krążyła z półmiskami między kuchnią a salonem. Wujek Józek co jakiś czas podrywał się z krzesła, żeby napęłnić wódką kieliszki. Wszyscy mieli coś ważnego do powiedzenia, więc chwilami powstawał straszny rejwach. Dziadek Stanisław, miłośnik nowinek technicznych, radio zna na wy lot. Potrafi nazwać każdą lampę i

drucik. Telewizor, to dopiero wyzwanie! Dzisiaj nie wytrzymał. Skrzynka z ciemnozielonym ekranem kusila. Ledwo dośpiewaliśmy do końca Wśród nocnej ciszy, kazał ciotce włączyć telewizor.

– A po co? – zaproponowała babcia. – Nie lepiej kolędy śpiewać?

– W telewizji też pokazują święta. Będą i kolędy.

Nadawano dziennik telewizyjny. Na ekranie dymiły ruiny domu, głos komentował, że wojska izraelskie dokonały kolejnego ostrzału cywilnego osiedla arabskiego: „Ten barbarzyński akt jest czytelnym miernikiem intencji władz państwa żydowskiego wobec Palestyńczyków i innych narodów arabskich, jest w istocie eskalacją działań wojennych na niespotykaną skalę”.

– To ma być wojna? – Dziadek patrzył na dymiące ruiny parterowego domu.

Sąsiednie bliźniacze budynki stały nienaruszone. – Za Hitlera to była wojna! Kamień nie został na kamieniu! To był największy zbrodniarz dwudziestego wieku.

– Co się stało, to się nie odstanie. – Ciotce Ziucie wypadało się odezwać, jako jedyna w rodzinie przed końcem wojny zdążyła ponosić wojskowy mundur.

– Bo to Stalin był lepszy? – Dziadek jakby sam ze sobą rozmawiał. – Jedna swołocz.

– Jeden wart drugiego – przytaknął Tadeusz.

– Reiss, z tego to była kanalia! Taki powiatowy hitlerek. Wpadła mu w oko czyjaś żona, brał jak swoją, miał chętkę na majątek, to właściciela pod ścianę albo do obozu.

– Tyle jego, co użył – włączyła się babcia. – Do grobu ze sobą niczego nie zabrał.

Tak przed Rosjanami uciekał, że się w gnojówce utopił.

– Albo mu bolszewicy pomogli – odezwał się nieopatrznie wuj Bolesław. –

Proletariacka zbieranina!

– Tak, za ruskich to dopiero był bajzel! – Dziadek wy ciągnął machorkę i nabijał fajkę.

– Chcesz smrodzić, to idź na podwórze! – fuknęła babcia.

– Zima jest.

Ciotka Ziuta poderwała się od stołu.

– Niech tatuś siedzi. Uchylę okno.

– Ja się mrozu nie boję. Ale swoje lata mam. A ruskie, niby taki zahartowany naród, a, pamiętam, wciąż im zimno było. Te ich sorty mundurowe były nic niewarte. Jak który zobaczył chłopą w płaszczu, nie daj Boże w kozuchu, to zaraz do niego: „Dawaj!”.

– Zebrało ci się na wspominki...

– Żeby tylko kozuch! Można było życie stracić. – Zapalił fajkę. – A w Burzeninie z

córką Rumieńskiej to jak było? Koniec wojny blisko, sojusznicy, znaczy się ruscy, porządku pilnują, to ty się, chłopie, nie masz czego bać. Tereferę kuku! Rumieńska z córką jechały wozem przez las, niby na skrót. A tu zza drzew cały oddział ich wypada. Dziewięciu chłopca.

– To już tatuś tyle razy opowiadał – odezwał się Tadeusz mitygująco.

– Bo jak nie mówić, kiedy sama prawda. Rumieńska do nich, żeby to ją wzięli, bo córka jeszcze dziecko, a ruscy w śmiech.

– Dałbyś spokój! Dzieci słuchają!

– I jak zwierzęta, jeden po drugim. A na ostatku kula w łeb. Chyba czternastu lat jeszcze nie miała. Matkę też za strzelili.

Dziadek opróżnił kieliszek. Babcia psioczyła na swoje życie u boku dziadka, narzekała na jego ciężki charakter. Rozpoczął się telewizyjny koncert kolęd. „Dawniej nie było telewizji i lu dzie potrafili się bawić” – mamrotał Bolesław. „Telewizja też dla ludzi – argumentował dziadek – czasy fotoplastykonu nie wrócą”. „Mnie fotoplastykon w zupełności wystarczał” – upierał się Bolesław.

Na ekranie wyśpiewywali kolędy, ciotka Ziuta z babcią i mamą nuciły przy stole. Wujek Józek czytał na głos wódczaną etykietkę, a dziadek i Bolesław kłócili się o przeszłość. Powstał harmider. Dziesięć osób w jednym pokoju, to jakby puścić na pełny regulator kilka kołchoźników. Dziesięć, nie licząc psa. A psa, okazało się, należało jak najbardziej brać pod uwagę. Bo z czasem uwaga gości skupiła się właśnie na nim.

Od pierwszych minut Nora starała się z każdym zaprzyjaźnić. Podchodziła pod rękę i nadstawiała łeb do głaskania. „Widać, że znajda. Do każdego się łąsi” – podsumował wujek Heniek. Józek przytaknął. Ciotka Ziuta poklepała sukę po głowie i pobiegła do wygodki umyć ręce. „A pierogi na stolnicy! Żeby tylko kudłów nie natrzepała”. „Nie pozwól jej tak szaleć! – strofowała mnie babcia Józefa. – Świeczkę na choince strąci i pożar gotowy”. Nora uważała, że jej obowiązkiem jest każde go równo obdzielić przyjaźnią. Tylko dziadka omijała z daleka. Od pierwszego wejrzenia poznała, z kim ma do czynienia. W końcu dziadek z tego żył. Redukcyjny odstrzał kuropatw i zajęcy, prewencyjny odstrzał lisów podejrzewanych o wściekliznę, polowania z nagonką dla ważnych gości. O bezpiecznych psach nie wspominając: na mocy rozporządzenia władz nad leśnictwa do obowiązków dziadka należało je odstrzelić, psie łazęgi, głośiły drukowane obwieszczenia, mogą być nosicielami wścieklizny; w drewni gromadził w woreczkach psie łapy, za każdą ustrzeloną sztukę – cztery łapy, równy rachunek, chyba że pies był kaleką – dostawał pieniężną gratyfikację. Nora skuliła ogon i dała nura pod

stół. Kiedy zasiedliśmy do kolacji, zaszyła się za fotelem przy sofie. Dziadka przez cały wieczór unikała.

Dziadek skończył wojenne wspominki. Przywołał mnie i pyta:

– A ten pies to właściwie jaka rasa?

– Owczarek szkocki.

– E, to mocno skundlony.

– Rasowy.

– Mało to ja owczarków widziałem? A nasz Medor? Nad leśniczy dawał mi za niego pół pensji. Heniek, ty Medora pamiętasz?

Po Medorze została Heńkowi pamiątka: szrama przecinająca prawy policzek i górną wargę. Pewnego dnia za przykładem ojca zamierzał witką nauczyć psa moresu; skończyło się, jak się skończyło, dla Medora dziewięcioletnie dziecko nie było autorytetem.

– Tatuś mówi o owczarkach niemieckich – wyjaśnił Heniek. – A to jest collie, owczarek szkocki.

– Owczarek, czyli pies pasterski – dopowiedział Tadeusz. W swoim czasie zamierzał pójść w ślady ojca. Ukończył technikum leśne, na tym jednak poprzestał; wybrał życie w mieście i pracę w zakładach meblarskich.

– Na co komu w Łodzi pies pasterski? – dziwił się dziadek.

– Taki pies musi się wyhasać – przytaknął Heniek.

– Przesada – nie zgodził się Tadeusz. – Długi spacer mu wystarczy.

Mama przyszła mi w sukurs:

– Michał wychodzi z Norą trzy razy dziennie.

– Wszystko jedno – gderał dziadek – trzymać psa w takiej klitce! Trzeba chyba rozum postradać.

– A tobie co do tego! – ofuknęła go babcia.

– Każdy pies ma przypisaną rolę. Darmo jeść nie dają.

Wuj Bolesław osadził papierosa w lufce.

– Służyłem onegdaj pod sztabskapitanem Czernijowskim. Sztabskapitan miał psa, zwykły kundel, ale taki zmyślny, że jak żołnierze wracali z przepustki, kazał temu Szwarcowi, bo tak go nazwał, warować przy wartowniku, bo ten Szwarc alko hol wyniuchał z daleka. Jak który wracał pijany, to Szwarc cap delikwenta za nogawkę i do karceru.

– Przez ten reumatyzm – wyjaśniła mama – lekarze zalecają Michałowi spacerować na

świeżym powietrzu.

– Na reumatyzm najlepsze kocie skórki – podchwycił Józek.

– Brat naszego sztabskapitana pił roztopiony psi smalec i wyleczył sobie płuca.

Babcię naszły wspominki. Medor to dopiero był pies! Raz jak złodzieje zakradli się nocą i porwali krowę, to Medor ze rwał się z łańcucha, przeskoczył ponaddwumetrowe ogrodzenie i bandytów dopędził. „Mądry pies to skarb – potwierdził dziadek. Ale temu z oczu niewyraźnie patrzy – utyskiwał, pokazując Norę palcem. – Chowa się po kątach. Może chory? Jeszcze jaką wściekłą przywlecze!”.

Poszliśmy na pasterkę. Nie mogłem nie iść. Norę zamknąłem w małym pokoju, przykazałem, żeby siedziała cicho. Wujek Bolesław nie chodził do kościoła. Nie był ateistą, broń Boże, miał tylko problemy z nerkami i co pół godziny pędziło go do wygodki. „Też się czuję nieszczególnie” – oznajmił dziadek, i wszyscy jak na rozkaz zaczęli wokół niego skakać. Ciotka Ziuta zaparzyła mu gorącej herbaty. Wujek Józek zaoordynował pieprzówkę, mama przygotowała dziadkowi spanie na sofie. „Lepiej niech tatuś zostanie” – przekonywali, i ostatecznie na tym stanęło.

Jezuici w kościele przy Wodnej nie ustawiali w pomysłach urozmaicenia szopki. Każdego roku przybywał nowy element. Z telewizją nie wygramy, mówili, za to w stajence można każdej rzeczy dotknąć, świętą figurę poczuć palcami. Tego roku zamierzali przyciągnąć wiernych figurami naturalnej wielkości. Osły i wół wyglądały jak żywe, Jezus jak zawsze był mizerny. Nie opłaca się specjalnie zamawiać Jezusa, skoro w sklepach jest zatrzęsienie lalek.

Kiedy wróciliśmy z kościoła, dziadek urzędował w kuchni. Gotował ziółka na uspokojenie nerwów. Drzwi do małego pokoju uchylił i zastawił krzesłem. Nora, słysząc mnie, zaczęła skamleć i drapać drzwi. Wypuściłem ją.

– Ostrożnie! – przestrzegł dziadek. – Jakaś niewyraźna.

W ciasnej kuchni Nora wirowała jak nakręcona, co rusz kogoś potrącała. Udało mi się zapędzić ją z powrotem do małego pokoju.

– Tylko chce się przywitać – tłumaczyłem.

Dziadka mina dobrze nie wróżyła.

– Drapała w drzwi, to otworzyłem. Myślałem, może wody chce. Od razu zaczęła warczeć.

– Została w obcym domu, więc się wylękała – odezwał się Tadeusz w moim imieniu.

– Takiego psa, co na domownika warczy, to minuty bym nie trzymał! – obwieścił dziadek.

Spałem w małym pokoju, na podłodze. Dla wszystkich łóżek nie starczyło. Mnie w to graj. Nora przytuliła się do mojego boku. Modliłem się, by święta jak najszybciej minęły. Obok ciotka Ziuta, Basia, babcia Józefa i mama chrapały astmatycznie, ze ściszonego kołchoźnika płynęła kolęda za kolędą. Czułem, jak z każdego kąta wypęłza Czarny i rozpina nade mną sieci. Mógłbym uciec, gdybym się odważył. „Zwykle koszmary – powiedziała Zofia Bodler, kiedy mnie wreszcie dobudziła, bo krzyczałem przez sen. – Pewnie to z przejedzenia – orzekła – może sprawka grzybów”.

Rano wstałem przed innymi i wyszedłem z Norą na spa cer. Wlokła się noga za nogą. Okrążyliśmy Wodny Rynek, za puściliśmy się do parku po drugiej stronie ulicy. Nigdzie żywej duszy. Tramwaje świeciły pustkami. Nora w parku odzyskała werwę. Uwolniona od smyczy, hasała po białych alejkach jak szczenię. Wróciliśmy w porze śniadania. Przemoczyłem buty, więc rozpoczęło się zbiorowe utyskiwanie, że matkę wpędzę do grobu, przecież przy moim reumatyzmie muszę uważać na byle przeziębienie. Na jedenastą wysłali nas, Basię i mnie, do kościoła. Baśka, podejrzewam, we wszystko została wtajemniczona. Nie zdradziła się słowem, ja niczego nie podejrzewałem, w dość pogodnym nastroju wracałem z kościoła. Już na nas czekali. Rzec została postanowiona, mnie przypadła tylko rola wykonawcy. Nie usłyszałem tego od razu, puentę poprzedziły groźby i umizgi: jesteś mądrym chłopcem, musisz wybrać, co dla ciebie najlepsze, ale prawda wygląda tak i tak. To dla twojego dobra, powtarzali raz za razem, pora wydorosnąć. Dostałem szczegółowe instrukcje. Zapiąłem Norze smycz i wyprowadziłem. Na przystanku poczekałem na tramwaj, do którego miałem przykazane wsiąść. Dojechałem do końca trasy. Rzeczywiście rosły tam karłowate drzewa, kropka w kropkę, jak opisywali. Nora wpatrywała się we mnie, jakby jeszcze można było coś zmienić. Przywiązałem ją solidnie do jednego z tych karłowatych drzew. Przynajmniej tyle mogłem dla niej zrobić. Bądź co bądź to krańcówka, tu niebezpiecznie krzyżują się tory linii tramwajowych. Wskoczyłem do pierwszego z brzegu wagonu i tramwaj ruszył. Jeszcze chwilę wcześniej mogłem wszystko odkręcić. Szczekała jak opętana; nie obejrzałem się. Za późno, wmawiałem sobie, jestem już po drugiej stronie. „Po drugiej stronie” – powtórzyłem w myślach raz i drugi, metafora, zrozumiałem, nie była dziełem przypadku, sytuacja wykluczała przypadkowość. „Paralela” – powiedziałby Tadek Bajgelman i miałby rację, bo tramwaj wiozł mnie naprzód ulicami i zarazem cofał do pierwszego spotkania z Czarnym (pierwszoklasiści, front szkoły, biała koszula, na niej On). Tak jak wtedy, i tym razem zrejterowałem.

„Załatwione?” – spytali, kiedy wróciłem. „Załatwione”. Zofia Bodler spojrzała na mnie. „No, tożes się spisał”. Nic nie spostrzegła! To, czego tak się bała, dokonało się na jej oczach i z jej udziałem. Od dziś wiedziałem, jak takie rzeczy załatwiać. Teraz dzieci szybciej dojrzewają do podejmowania decyzji, ktoś się odezwał, wyraźnie pod moim adresem. Święte słowa, skwitowałem pod nosem, przeprowadzając w myślach stosowny obrachunek: zbliżyłem się o krok albo dwa do Kazimierza B., o krok, może dwa do kapo Johanna. Stał mi przed oczami Fiodor Pawłowicz Karamazow i zrozumiałem, że skoro się rzekło „a”, trzeba też powiedzieć „Dymitr Fiodorowicz”.

18.

„NORA uciekła” – taką wersję Zofia Bodler rozpowszechniała wśród sąsiadów. Mnie nie pytano. Gdyby ktoś zapytał, tobym potwierdził. Kilka ostatnich dni czegoś jednak mnie na uczyło.

Po Nowym Roku Policcy kupili samochód. Odbyło się całe przedstawienie, coś na kształt świeckiego Bożego Ciała. Kto mógł, wyszedł przed dom. Zgrabne puzderko, połyskując czerwonym lakierem, nadjechało od strony Cmentarnej, zatrzymało się dokładnie na wysokości drzwi kamienicy. Policki wysiadł i otworzył bramę, w tym czasie Policka ze swego siedzenia pozdrowiła nas ruchem ręki. Policki wprowadził auto w prześwit bramy, zaparkował pośrodku podwórka. Utrudnił nam dojście do wychodka.

– Wartburg – obwieściła Policka niepytana.

Do dnia ingresu wartburga Polickich jedynym w okolicy samochodem była warszawa właściciela zakładu fryzjerskiego. Policcy ubolewali, że swoje auto muszą trzymać pod gołym niebem. Najchętniej by zabrali wartburga do mieszkania. Całą miłość niespełnionego rodzicielstwa przelali na cudo wschodnio niemieckiej motoryzacji. Nocą na zmianę pełnili dyżur w oknie wychodzącym na podwórko. Mycielski zaprojektował składany garaż z brezentu, żeby samochód nie mókł. Rankiem wartburg zawoził Polickiego do pracy, wieczorem w dobrej kondycji wracał do garażu. „Po tylu latach pracy człowiek zasłużył sobie na odrobinę komfortu!” – cieszyła się małżonka towarzysza Polickiego.

Tymczasem ja wróciłem do Karamazowów. Jeszcze nie dawno z mozołem przebijałem się przez tekst, teraz wszystko chwytałem w lot. Karamazowowie, zrozumiałem, spadli mi jak z nieba. Z każdą stroną utwierdzałem się w

przeświadczeniu: tutaj mam cały świat objaśniony. Ten świat, w którym i ja tkwię po same uszy. Moja wyjątkowa historia okazała się zgoła tuzinkowym przypadkiem, skoro ta sama przypadłość, ten sam los dotknął jednocześnie Dymitra, Iwana i Aloszę. Nawet Boga i ludzi miłujący Alosza nie uodpornił się na truciznę Karamazowów, nawet on nie byłby uodporniony na truciznę Bodlerów. Bóg, powiedziałby Alosza, przeznaczenie, powiedziałby profesor Bajgelman. A mówiąc po ludzku: krew z krwi i kość z kości, od ciągotek przez fantazjowanie po wrodzoną skłonność do zadawania cierpień tym, których ponoć kochamy. Po co żyje taki człowiek, krzychałem za Dymitrem Fiodorowiczem, a Fiodor Pawłowicz rzucał mi w twarz, rzucał w twarz Dymitrowi: ojcobójca! I z tego oskarżenia, z tej brzemiennej w następstwa sytuacji, wiadomo, coś musi się narodzić, jakaś siła, energia, diabli wiedzą co, wyciąga ręce po dusze Karamazowów. Oto starzec Zosima pada na kolana przed Dymitrem, bije czołem o ziemię, i kto ma oczy do patrzenia, ten wie, że pod dom Karamazowów zakrada się zbrodnia, dojdzie do potwornych zdarzeń między starym obłudnikiem a trzema braćmi. Cóż wielkiego, bagatelizuje Iwan Karamazow, jeden gad drugiego poźre, i w tym, co mówi, kryje się ratio na równi z przeznaczeniem (powiedziałby profesor Bajgelman), bo ostatecznie zło w jeden tylko sposób można wytrzebić – złej krwi trzeba upuścić. Nie Dymitr, nie Iwan i nie Alosza, żaden z nich nie podniesie ręki na ojca. Jest jeszcze Smierdiakow – dla jednych sługa starego Karamazowa, nieślubny syn głupkowatej Lizawiey Smierdiaszkiej i nieznanego ojca, dla innych piąty Karamazow, bo ponoć sam Fiodor Pawłowicz spółdził go gwałtem i w pijackiej fantazji, w zwykłym dla siebie stanie, chciałoby się rzec. Oj, jaki z tego Smierdiakowa podlec! Przy tym człowiek niskiego stanu, zżerany niezdrową ambicją osiągnięcia wysokich zaszczytów, zaszczytów, które przed człowiekiem tak „śmierdzącej” kondycji są zamknięte na wieki wieków amen. Więc cóż może się kryć na dnie tak nędznej duszy, zwłaszcza gdyby za prawdę uznać, że zepsuty do cna Fiodor Pawłowicz Karamazow zasiał to lokajskie nasienie, sam dał mu życie i w następstwie tego komplet ojcowskich przywar? Wiedziałem, że mam pana przyzwolenie, rzuca Smierdiakow w twarz Iwanowi, jak gdyby wprost mi pan mówił: możesz zabić ojca, ja nie przeszkadzam. Dla Smierdiakowa serce Iwana nie ma tajemnic! Smierdiakow przejrzy na wylot Iwana, Dymitra i Aloszę, starego Karamazowa zna jak samego siebie, więc któż miałby lepiej się nadać do przeprowadzenia zamiaru, kto wreszcie już po zbrodni ma prawo powiedzieć: „Pan zabił, pan jest głównym zabójcą, a ja tylko pańskim współnikiem, wiernym sługą”. Niech się stanie, mówią Karamazowowie – bo każdy, Aloszy nie wyłączając, w głębi serca

nosi do ojca urazę – nie można dopuścić, gardłują, by taki człowiek bezcześcił ziemię swoją osobą (mówi Dymitr), niech się stanie, mówią, choćby jeden gad miał pożreć drugiego (Iwan).

W tym czasie powróciłem do dawnej zażyłości z Tadkiem Bajgelmanem, choć nadal unikałem odwiedzin w jego domu. Jemu jednemu wyjawiałem prawdziwy powód zniknięcia Nory. Wysłuchał, nazajutrz przyniósł pięknie ilustrowaną książkę o Robinsonie Kruzoie. „Oryginalna wersja, nie adaptacja dla młodzieży” – uprzedził, widząc moje spojrzenie. – Robinson – powiedział następnie – mimo że utracił wszystko, nigdy nie upadł na duchu”. Jak dawniej mogłem rozmawiać z Tadkiem o wszystkim. Tylko o Karamazowach nie wspomniałem słowem. Za dużo tłumaczenia. Musiałem znaleźć swojego Smierdiakowa, a Tadek, wiedziałem, akurat w tym nie może mi pomóc. Wybrałem dzień, kiedy Zofii Bodler przypadła popołudniowa zmiana. Prawie wbiegłem na drugie piętro sąsiedniej kamienicy, bałem się, że w ostatniej chwili zmienię zdanie albo zdarzy się coś, co mnie powstrzyma. Na drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem. Jeden gad pożre drugiego, powiedziałem sobie w duchu, tak, przepowiednia Iwana Karamazowa zapadła mi w pamięć, więc z tym gadem w głowie (żeby użyć przenośni), zapukałem. Nagle zdjął mnie strach. Wyobraziłem sobie, że Johann stoi na wprost mnie, ukryty za drzwiami, i prawie nie odychając, bo oddech mógłby go zdradzić, patrzy. Raptem drzwi się uchylły. Nie miałem odwrotu. Choćbym nawet chciał (nie chciałem), już Johannowi nie ucieknę. Chyba niewiele zrozumiał z mojej gadaniny, gdy jednym tchem wyrzucałem z siebie „kapo”, „Dostojewski”, „obóz koncentracyjny”, a zaraz potem „monaster”, „proletariusz” i „fantasta”. Teraz chyba wyrażałem się składowiej, bo Johann przestał kręcić głową, a kiedy skończyłem, powiedział:

– W obozie nie byłem kapo. Pracowałem w Sonderkommandzie. Przydzielili mnie do palenia zwłok.

19.

PANI POLICKA nieuchronnie przeobrażała się w ptaka. Pojawiła się chyba na przełomie stycznia i lutego, mam na myśli tę ptasią przypadłość, od tego momentu z każdym dniem proces się pogłębiał. Dorośli niczego nie zauważali, w każdym razie nie komentowali głośno postępów zjawiska. My, dzieci, pierwsze spostrzegłyśmy

symptomy. Może po prostu mamy więcej odwagi. „Moim zdaniem – powiedziałem do Mirka i całej naszej podwórkowej paczki – pani Policka upodabnia się do dwóch ptaków; gdyby podzielić ją na dwie części – wyjaśniałem – gdyby głowę oddzielić od tułowia, to można by stworzyć osobne gatunki”. Panowała między nami zgoda co do istoty zjawiska, spieraliśmy się, do jakiej ptasiej rodziny obie części zaliczyć. Pośladki Polickiej uwypukliły się i odstawały od reszty, jakby postanowiły żyć własnym życiem, brzuch dla przeciw wagi wyrywał się do przodu; patrząc z boku, widziało się zawijas w kształcie litery „S” i ten esowaty tułów czynił ją podobną do utuczonej kwoki. Twarz to osobna historia. Rysy wydłużyły się i nabrały ostrości – czas ją odchudził, mówiła o takich osobach pani Bednarczyk. Nos Policka dostała cienki, krogulczy, do tego krogulczego nosa nieustannie podążała broda, z dnia na dzień broda i nos bardziej łączyły się i zżerała nas ciekawość, co będzie, kiedy się spotkają. O włosach dawało się powiedzieć tylko to, że wciąż ich ubywało, nie poddawały się ondulacji ani innym fryzjerskim zabiegom, rebelia, można by rzec. Ta rebelia na głowie jednym przypominała niedopasowaną perukę, innym kojarzyła się z ptasim gniazdem. Tymczasem zabiegi Polickiej wokół wartburga nie ustawały. Zapamiętała pucowała czerwoną karoserię. Samochód błyszczał, dla Polickiej nastały szare dni. Towarzysz Policki miał huk roboty, tym tłumaczył coraz późniejsze powroty z pracy. W niedzielę nie zabierał małżonki jak dawniej na zmotoryzowane wycieczki po okolicy. „Przygotowania do zjazdu partii” – rozповідаła Policka. „Czyli znowu nam się polepszy – skwitowała mama Mirka z kwaśną miną. – Każdy musi mieć swoje Boże Narodzenie” – dodała, i wszyscy wiedzieli, do czego pije.

W szkole Sawończukowi zachciało się postawić mnie i Robinsona pod pręgierzem opinii klasowej. Nie widziałem powodu, by kłamać, kiedy zapytał o przeczytane w ferie książki, więc gdy z tym pytaniem zwrócił się do mnie, odpowiedziałem zgodnie z prawdą. Dostojewskiego rozmyślnie pominąłem milczeniem, przecież Karamazowie, uznałem, to nie jest zwyczaj na książka. „Robinson Kruzo – powtórzył Sawończuk za mną. – A ja myślałem – podjął sarkastycznie – że etap książek dla dzieci masz za sobą”.

Mam z panem Sawończukiem na pieńku – dzieli nas Kazimierz B., dzieli nas Gomulka w więziennych pasiakach, dzieli nas nawet Dostojewski. Ale pamiętny lekcji Medora, przezornie zmilczałem uwagę. Raptem włącza się Tadek Bajgelman. Grzecznie podnosi rękę. „Słucham, Tadziu” – Sawończuk do niego z sympatią, a Tadek Bajgelman występuje z zaimprovizowanym wykładem. Że Robinsona Kruzo on sam

mi pożyczył, że nie chodzi o uproszczoną wersję Stampf'la dla dzieci, że w ogóle od takiego dzielenia literatury teraz się odchodzi, i bardzo dobrze, podkreśla, coraz mniej dziś chętnych do obrony twierdzenia, że na przykład Podróże Guliwera to lektura dziecięca. Swift podobnie jak Defoe adresował książkę do dorosłych czytelników, przecież zawarł w niej t o t a l n ą krytykę ówczesnego społeczeństwa, zaatakował niesprawiedliwy porządek t a m t e g o świata. Na Sawończuka wystąpiły siódme poty. Wybąkał, że pogłębiona analiza zagadnienia istotnie prowadzi do takiego wniosku, że on sam, oczywiście, jak najbardziej popiera współczesne podejście do tematu. Innymi słowy przyznał Tadekowi rację, czyli odwrócił kota ogonem. Trudno, żeby ktoś taki jak Sawończuk popierał tamtejszy porządek i ówczesne społeczeństwo. No i bądź co bądź przy profesorze Bajgelmanie nasz pan Sawończuk jest bardzo malutki.

Tadek ma ten dobry zwyczaj, że nie zasypuje człowieka gradem pytań. Tak było i tym razem. Kiedy poprosiłem o po moc, obyło się bez wydziwiania. „To proste – odparł – nie muszę nawet zaglądać do słownika ani pytać ojca”. Więc na następną wizytę u pana Jochanana Fajnera zjawiłem się z gotową odpowiedzią. „Rzeczownik «mann» – powiedziałem panu Fajnerowi – tłumaczy się jako «mężczyzna» albo «człowiek»”. W jego towarzystwie nie czuję się jak uczeń na lekcji. Nie ma pretensji, jeżeli noga mi się powinie. „Przede wszystkim – powtarza przy każdej okazji – cieszę się, że przychodzisz, że ja, stary Jochanan, znów mam do kogo mówić”.

– Bardzo dobrze. – Poglądził mnie po głowie. – Niemiec ki to cywilizowany język. W obecnych czasach w szkołach uczą głównie rosyjskiego. Nie ma co kręcić nosem. Mądry człowiek – pod warunkiem że dano mu prawo wyboru – najlepiej by zrobił, ucząc się obu: niemieckiego i rosyjskiego. – przerwał na chwilę i wyrecytował:

Panie, już czas. Wraz z lata minieniem
opleć swym cieniem zegary słoneczne
i wiatr na pola rozpuść swoim tchnieniem.
Kaź się ostatnim owocom rozwinąć,
ogrzej je resztką słonecznych promieni,
potem zaś dozwól w porę się przemienić,
by z ostatniej słodczy móc wycisnąć wino.

Kto domu nie ma, ten go mieć nie będzie.

Kto dziś samotny, w swym samotnym trwaniu
nad książek lekturą, na listów pisaniu

noc strawi, by wśród liści w niecierpliwym pędzie
ulice przemierzać o bladym świtanu.

– Tak spolszczyłem jeden z wierszy Rilkego. We wczesnych latach trzydziestych, jeszcze przed trzydziestym trzecim rokiem, na Tłomackiem zapanowała moda na Rilkego. Wieczorami urządzaliśmy konkursy na najlepszy przekład. Tyle że wtedy tłumaczyło się Rilkego na jidysz. Teraz posłuchaj tego wiersza w oryginale:

Herr: es ist Zeit. Der Sommer war sehr gross.
Leg deinen Schatten auf die Sonnenuhren,
und auf den Fluren lass die Winde los.

Befiehl den letzten Fruchten voll zu sein
gieb innen noch zwei sudlichere Tage,
drange sie zur Vollendung hin und jage
die letzte Susse in den schweren Wein.

Wer jetzt kein Haus hat, baut sich keines mehr.
Wer jetzt allein ist, wird es lange bleiben,
wird wachen, lesen, lange Briefe schreiben
und wird in den Alleen hin und her unruhig wandern, wenn die Blätter treiben.

– Niemiecki brzmi, jakbyś rysował ostrogą na szkle. Rosyjski jest językiem duszy. Rilke kochał ojczysty język, a zarazem zdawał sobie sprawę, jaka moc tkwi w rosyjskim. Spędził jakiś czas w Rosji, poznał Tolstoja, pojechał tam specjalnie po to, żeby go spotkać. Może, myślę, szukał sposobu, jak w to solidne niemieckie szkło tchnąć duszę?

*

Utarł się następujący zwyczaj: w te dni tygodnia, kiedy mama pracuje na popołudniową zmianę, odwiedzam pana Faj nera bez potrzeby opowiadania się nikomu; w pozostałe dni zasłaniam się zebraniem ministrantów albo pokazem filmów u księdza Antolaka. Wybieram tak zwane mniejsze zło. Odwiedzać pana Fajnera za wiedzą Zofii Bodler – a zacząć by należało od opowiedzenia o Karamazowach, potem koniecznie wyjaśnić zależność między Smierdiakowem a zbrodnią, jakiej syn Kazimierza B. dopuścił się w Boże Narodzenie, cały czas kierując się złudną nadzieją, że coś z tego pojmie – więc zy skanie jej zgody na wizyty u pana Fajnera, uznałem z góry, jest absolutnie nierealne. Dla niej Jochanan Fajner jest i pozostanie Johannem z Ogrodowej 38. Łatwiej by jej było przeczytać Tolstoja, niż zrozumieć Jochanana Fajnera, zrozumieć

historię Żyda Jochanana Fajnera i moją historię.

Kiedy Jochanan wypowiedział to zdanie o Rillem i Tołstoju, które natychmiast skojarzyło mi się z maszyną do szycia „Singer” i bliźniaczymi tomami w szarym pakowym papierze, kiedy więc powiedział to piękne zdanie o Rillem i Tołstoju, za raz powrócił do wcześniejszego tematu.

– Niemiecki to cywilizowany język – powtórzył. – Można w nim wyrazić najsubtelniejsze myśli. Dawniej przychodził Niemiec do Żyda i mówił: „Panie Zimbelmann, z pana jest mądry człowiek, niech mi pan ze szczerego serca doradzi: mam zrobić tak czy tak?”. Albo przychodził i mówił: „Panie Dicker mann, pan jest taki zdolny człowiek, niech mi pan uszyje ślubny garnitur”. Albo przychodził i prosił: „Panie Geldmann, pan jest taki bogaty człowiek, niech mi pan pożyczy tyle a tyle na niski procent”. Albo przychodził i mówił: „Panie Lanzmann, pan jest taki utalentowany człowiek, niech mi pan namaluje landszaft do salonu”. Tak było kiedyś. Niemiec przychodził do Żyda nie z krzykiem: „Żydzie, daj!” albo: „Żydzie, zrób”, tylko po ludzku rozmawiał: „Panie Geldmann, panie Lanzmann, panie Apfelmann, panie Dickermann, panie Zimbelmann, panie Juselmann, panie Adelman, pan jesteś akurat taki człowiek, jakiego mi potrzeba”. I co? Ni z tego, ni z owego nastąpiła zmiana o sto osiemdziesiąt stopni. Niemal z dnia na dzień. To było tak, jakby ten Niemiec i ten Żyd po przebudzeniu znaleźli się w innym świecie. Tylko że Niemiec nic na tym nie stracił, a dla Żyda nastąpiły ciężkie czasy. Bo ktoś zadekretował, że z dniem tym a tym Geldmann, Apfelmann, Lanzmann czy Dickermann przestał być człowiekiem. To wielkie słówko „mann” z dnia na dzień przestało mieć znaczenie. Ale w oczy wciąż kłuło. Zastanawiałem się kiedyś, czy gdyby potrafili zabrać Żydowi także nazwisko – gdyby do złupionych żydowskich domów, sklepów, warsztatów, fabryk mogli jeszcze dorzucić nazwiska – to może by darowali Żydowi życie? Może by darowali życie przynajmniej niektórym Żydom? Ale nie, życie to pospolity towar, łatwo się nim handluje, zawsze wychodzi superata – za to nazwisko, o, nazwisko jest w cenie! Przecież identyczne nazwiska nosili tak zwani stuprocentowi Niemcy! Więc Hitler i jego kompani musieli rozstrzygnąć, który Guttman jest dobry, a który zły. Który zasługuje na życiową przestrzeń, a którego trzeba się pozbyć. O krew idzie, orzekli. Złej krwi nie można mieszać z dobrą. Jak człowiek coś takiego usłyszy, to z początku gotów pomyśleć: no, to wcale nie takie głupie. Dolej kubek zepsutego wina do stągwi dobrego, a całą stągiew zakwasisz. Ale wino to nie krew. No i ile trzeba by tej złej krwi, żeby zepsuła dobrą? Czy wystarczy kropla z palca? A może kubek? Albo dwa? No, tego się nie da zmierzyć. Ale

jak się zrobiło jeden krok, dlaczego nie zrobić następnego? Żeby mieć pewność, stuprocentową pewność, musimy wytoczyć całą złą krew, postanowili, niech nic nie zostanie. Ja takiego sposobu myślenia nie rozumiem, ja nawet nie podejmuję się go wytłumaczyć, ja ci tylko słowo w słowo powtarzam. Nie potrafię wskazać w całej tej ideologii jednego punktu, wobec którego rozum by się nie buntował. A czy w takiej sprawie, pytam, potrzebny byłby aż wybitny rozum? Skazać syna za winy ojca, bo niby w ich żyłach płynie ta sama krew – mądrze to tak? A co dopiero odnieść ten punkt widzenia do całego narodu? Więc gdybyś mnie spytał, dlaczego stało się tak, jak się stało, to ja ci nie odpowiem, bo nie wiem. Wiem tylko, że trzeba wielkiej nienawiści, wielkiej nienawiści albo wielkiego strachu, żeby wpaść na taki szatański pomysł. Skąd się bierze taka wielka nienawiść, skąd taka wielka nienawiść i strach – no, tego to ja już nie wiem.

Pan Fajner ma śmieszny szafkowy zegar z literami, których nie potrafię odczytać. Ale cyfry są zwykłe, arabskie. Dochodziła ósma. Przed powrotem mamy musiałem zdążyć zjeść w domu kolację. Pożegnałem się, a kiedy stałem już w progu, pan Fajner powiedział:

– Żebyś wiedział, jak się cieszę, że znowu mam do kogo usta otworzyć.

20.

ODKĄD wiem, komu z czasem powierzę moje zapiski, pisanie nabrało sensu. Nie piszę na próżno. Znam przyszłego czytelnika, widuję go niemal co drugi dzień. Siada po drugiej stronie stołu i słucha. Woli słuchać, niż opowiadać o sobie. O nic nie pytam. Słyszę, jak dusza w nim krzyczy. Rabin Nachum mówił, że dusza krzyczy z trzech powodów. Krzyczy, kiedy nie może wyzwolić się z ciała. Albo kiedy nie może uwolnić się od miejsca, gdzie ciało zaznało fizycznych katuszy. A najbardziej rozpacza, gdy za ziemskiego życia pokutuje za grzechy niepopołnione. „Grzech niepopołniony – nauczał rabin Nachum – to wina przejęta po innej duszy, która za uczynione zło nie zdążyła od pokutować. Albo następstwo rozmyślnie rzuconej klątwy. Może też być – tak przynajmniej twierdził rabin Nachum, a czemu na przykład sprzeciwiał się rabin z Płońska – może zatem być i tak, że Najwyższemu spodoba się zesłać na człowieka próbę – z jakiego powodu, to już nie nasza, ludzka rzecz wiedzieć – twierdził rabin Nachum. W Jego ręku tchnienie życia i dusza każdego człowieka – przytaczał rabin

Nachum słowa Hioba, które Hiob wypowiedział, kiedy Panu spodobało się poddać go próbie. – On ma potęgę i rozum – powiedział Hiob – rozsądek znać w Jego planach”. Dusza Michała krzyczy. Ja o nic nie pytam. „Nie wszystko można ogarnąć rozumem”. Moje własne słowa. Tak odpowiadam mojej siostrze Charojzie, kiedy przychodzi we śnie i pyta, dlaczego taki los spotkał ją i jej syna Dawida, i jej małego Abramka, który był jeszcze młodszy niż Dawid, i jej męża Naftala, i jej rodziców, i rodziców Naftala. „Nie wiem” – odpowiadam Charojzie w tym śnie, i Charojza, moja siostra, dalej wykrzykuje swoje „dlaczego”, a ja za każdym razem odpowiadam „nie wiem”. „Jakie to szczęście – myślę sobie – że nie śnią mi się Abramek, Dawid i Naftal, że nie śnią mi się rodzice Naftala, że nie śnią mi się Jechiel i Chana, moi szacowni rodzice. Jakie to szczęście – myślę – że przynajmniej oni nie zadają mi tego najważniejszego pytania, na które najmądrzejsi ludzie do dzisiaj nie potrafią odpowiedzieć”.

Michał jest chyba rówieśnikiem Dawida. Fe! strofuję zaraz sam siebie, kto mi dał prawo wygadywać takie niestworzone rzeczy! Jaki sens ma mówienie, że Michał jest w wieku Dawida? Powinienem być raczej powiedzieć: Dawid osiągnął był właśnie lata Michała, kiedy razem z Charojzą i Naftalem wysiadł na rampie. Nie oddalaj się, przestrzegli go, zobacz, jaki tłum, łatwo się zgubić. Pewnie miał żal do rodziców, że bardziej zajmują się Abramkiem, strzegli Abramka jak oka w głowie. Miej dozór na nasze rzeczy, przykazali Dawidowi. Prawda! W tym ścisku ilu ludzi pogubiło dobytek! Tracili ciepłe palta, książki, słoiki konfitur, tracili albumy ze zdjęciami. Jednak ostatecznie nic się nie marnowało. Najdrobniejsza rzecz znajdowała nowego właściciela. Czy ty wiesz, spytałem kiedyś Michała, że niektórzy niemieccy żołnierze nosili ciepłe skarpety z ludzkich włosów?

*

Tak niewiele książek się zachowało! Opowiadam Michałowi o książkach, które przeczytałem. O książkach można z nim rozmawiać bez końca. Dziwi się, kiedy mówię, że Rilkego czytałem po niemiecku. Że Tolstoja czytałem po rosyjsku. Że czytałem w oryginale Dostojewskiego i Lermontowa. Żeromski, Witkacy, Sienkiewicz, Dąbrowska – ich czytałem po polsku. „Żyd nie ma ojczyzny” – odpowiadam, kiedy nie przestaje się dziwić. „Żyd musi mówić wszystkimi językami świata – odpowiadam – nigdy nie wie, gdzie los go rzuci”.

Zdjęcia spotkał los gorszy niż książki. Nie zachowała się nawet jedna fotografia Jechiela i Chany, nie zachowały się foto grafie Charojzy, Naftala ani ich dwóch synów, nie mam żadnej fotografii moich trzech braci: Gerszona, Hersza, Łajba. „A dla czego

właśnie zdjęcia miałyby ocaleć?” – zapytał rabin Pinkus, kiedy zaraz po wojnie spotkałem go na Wodnym Rynku w Łodzi i przez łyzy zacząłem wyliczać imiona umarłych, i lamentowałem, że nawet jedna fotografia mi nie została.

Na ścianie wisi jedno zdjęcie. To ja i Asz w 1935 roku na Tłomackiem 13. Asz przyjechał na krótko do Polski z Palestyny. Ci Żydzi, którzy Asza kochali, przyjmowali go niczym króla, ci Żydzi, którzy go nienawidzili, nie chcieli nawet podać mu ręki. Michał przygląda się scenie, wreszcie pyta:

– Kto jest na tym zdjęciu?

– Ten niższy i młodszy to ja – odpowiadam. – Obok mnie Szalom Asz, wielki pisarz żydowski, urodzony w Polsce. Kiedyś ci o nim opowiem. – Kieruję się do półki z książkami. – Mówisz, że lubisz czytać?

Zdejmuję z półki *Der Man fun Naceret* i siadam przy stole. Michał zajmuje miejsce naprzeciwko. Otwieram na chybił trafił i zaczynam czytać na głos. To znaczy tłumaczę dla Michała z jidysz na polski.

„Po chwili otworzyła się brama i dowodzeni przez oficera rzymscy żołnierze wyprowadzili Nazarejczyka. Nosił teraz na powrót niegdyś białą szatę, którą powłócząc wraz z nitkami cy ces po ziemi, zostawiał na bruku ślady krwi. Jego głowę nadal opasywała cierniowa korona. Twarz była skryta przed naszym wzrokiem, albowiem krzyż, który mu nałożyli, skrępowawszy wokół belki ręce, przyginał go ku ziemi. Zdawało się nam, że nie sam ciężar krzyża, ale jakoweś niewidzialne brzemie przygniata go tak, że jeszcze chwila i upadnie. Wytężał siły, powoli, z niewymownym cierpieniem stawiając kroki, jakby przedzierał się przez rozstępujące się Morze Czerwone. Za nim kroczył Herm anus, postrach Żydów, z twarzą rozpaloną wściekłością, mokry od potu. Zamachnął się kańczugiem i ciął nim Nazarejczyka. Z kącików ust Hermanusa toczy się biała piana wściekłości i żądzы krwi. Bity Nazarejczyk, wstrząsany śmiertelnym cierpieniem, zlany krwią, ugina się pod ciężarem krzyża i razami kańczuga, nasiąkłe potem i krwią szaty ciasno przylegają do ciała. Gdzie stąpnie, zostawia na bruku czerwone ślady”.

Na tym fragmencie poprzestałem, spoglądam zza książki. Michał nie kryje rozczarowania.

– Już?

Ledwo dostał do ręki wyczekiwany upominek, już mu go odbierają.

– Spodobało ci się? Następnym razem przygotuję dłuższy fragment.

– Znam tę książkę. Ksiądz Antolak czyta ją nam na lekcjach religii zamiast rekolekcji

wielkanocnych.

– Chyba jednak o inną książkę chodzi.

Michał przybiera obrażoną minę. Książki! Trafiłem w jego czuły punkt.

– Listy Nikodema Dobraczyńskiego – recytuje z taką pewnością w głosie, że na śmiech mi się zbiera. – W bibliotece nie do zdobycia. Ksiądz Antolak obiecał, że po Wielkanocy pożyczy mi własny egzemplarz.

– A jednak mówimy o dwóch różnych powieściach. Tę – podchodzę do zdjęcia na ścianie – napisał właśnie Szalom Asz, ten z fotografii. Der Man fun Naceret, po polsku to by było dosłownie Człowiek z Nazaretu. Od początku do końca w jidysz. Ten fragment musiałem przetłumaczyć, inaczej byś nie zrozu miał. Jidysz to język żydowski. Jeden z języków żydowskich. Asz ubolewał, że Żydzi nie mają ojczyzny. „Ale żydowski pisarz – powtarzał – jest wśród Żydów szczęśliwym wyjątkiem, bo ojczyzną pisarza jest język”.

Asza, powiedziałem następnie Michałowi, nazywano dzieckiem szczęścia. Miał talent, urodę, z czasem dorobił się pieniędzy. A urodził się w biedzie. Miał dziewięcioro rodzeństwa, po wiedziałem Michałowi. Ojciec przeznaczył go na rabina. Rabin to mniej więcej ktoś taki, jak u was ksiądz. Już w chłopięcym wieku Asz musiał studiować święte księgi. Ale przez ciekawość zaczął czytać teksty świeckie, a to dla przyszłego rabina suro wo zakazane. I dlatego zakończyła się jego kariera w rabinacie. Z głodu czytania nauczył się polskiego i niemieckiego. Na jego talencie poznał się sam Icchok Lejb Perc. Perc to był taki, bo ja wiem, żydowski odpowiednik Sienkiewicza czy Żeromskiego. Poza Warszawą sztuki Asza wystawiano między innymi we Francji, Niemczech, Włoszech, Ameryce i Rosji. Książki Asza tłumaczono na angielski, francuski, niemiecki, hiszpański. No i polski, oczywiście. Wiesz, z kim on się przyjaźnił? Ich nazwiska znajdziesz w każdym podręczniku historii literatury polskiej: Orzeszkowa, Dąbrowska, Żeromski, Witkiewicz. Żydzi czytali polskich autorów. Byli ciekawi innego świata. A który żydowski pisarz znajdował wtedy uznanie w oczach nie Żydów? No, chyba tylko Asz. Świat się na niego otworzył. Asz do Warszawy przyjeżdżał tylko w gościnę. Mieszkał w Paryżu, Berlinie, na wiele lat przeniósł się do Nowego Jorku. Szuka uznania u obcych, gromili go niektórzy. Sprzedał nas, Żydów, sprzedał żydowskiego Boga i żydowskość dla sławy. Ale to nie Asz! On po prostu w czepku się urodził. Grzechem jest ograniczać tak wielki talent do dozwolonych tematów. Bo on chciał pisać i o małomiasteczkowych Żydach, i o złodziejaskach, i o pobożnych rabinach, i o rabim z Nazaretu. On kochał litera turę. Kochał żydowskość i kochał polskość. On chciał pokazać, że my wszyscy –

Żydzi i chrześcijanie – mamy wspólne korzenie. Trzeba Asza za to ganić? Ile nieszczęść spadło na świat przez to, że niektórym nagle zażyczyło się ludzi dzielić? Swój a obcy, mówili, ta krew jest dobra, a ta krew jest zła. O, nie, tacy jak Asz zasługują na najwyższe zaszczyty. Kiedy ty się urodziłeś? – spytałem Michała. W pięćdziesiątym siódmym? Toż w tym właśnie roku zmarł Szalom Asz! No, zebrało się staremu Żydowi na wspominki! Smutek człowieka ogarnia. Kto dzisiaj w Polsce o Aszu pamięta? A gdyby jeszcze pożył te parę lat – taka myśl czasem mnie nachodzi – to może jemu by przypadła Literacka Nagroda Nobla? No, po prawdzie Agnonowi też się należała.

Aj, aj, powinienem ugryźć się w ten żydowski język! Nob lista Szmuel Josef Agnon, wielki mi cymes! Czy ktoś w Polsce o nim słyszał? Ba, dwa lata nie minęły od przyznania mu nagrody, a świat zdążył zapomnieć. A co z innymi? Z tych, co prze żyli, chyba na palcach obu rąk można policzyć takich, którzy znali Pereca i Asza. A co z innymi, pytam? Komu chce się jesz cze pamiętać Izraela Rabona z łódzkich Bałut, który tłumaczył poezję Rilkego i Villona, a sam pisał kipiące gniewem opowiadania i wiersze? Kto pamięta Herszele Danielewicza, niezaradnego człowieka i zdolnego poetę? Kto pamięta Hersza Dawida Nomberga, którego Perec namaścił na pisarza? Kto pamięta Menachema Mendla Hurwicza, którego młodzieńcze wiersze chwalił sam sławny Bialik? Kto pamięta Bera Horowica, poetę? Kto pamięta Mosze Szymela, prozaika, poetę i dziennikarza? Kto pamięta Zaksa, starego Zaksa, który, co prawda, sam nie pisywał wierszy, za to pięknie recytował swojej kotce Puszkina po rosyjsku?

*

Michał długo się nie pokazywał. Zjawił się prawie po tygodniu. Chorował. Przełom lutego i marca to zdradliwa pora roku. Zima jeszcze się nie skończyła, wiosna daleko, przeziębienie goni przeziębienie. Zwłaszcza Michał musi na siebie uważać. Nie wiedziałem o jego chorobie. Z reumatyzmem nie ma żartów. Podobne paskudztwo przyplątało się do pierwszego synka Charojzy i Naftala, od samego środka zaatakowało serduszko Chaimka i nawet sławny cadyk z Radomska, bogobojny wuj Naftala, chłopca nie uratował, choć dotykał mu rękami czoło, choć kładł mu na chorych piersiach Sefer Tora, chociaż pobożnie odmówił modlitwę w intencji chorego i unikał siadania na wysokich krzesłach, i ani razu nie przysiadł na łóżku chorego, i nie siadał w pobliżu jego głowy. Naftal szarpał czarną brodę. „Kto na stare lata odmówi za mnie kadysz?”. Płakał i wrywał włosy z brody. Obcy Żydzi płakali. A było czego płakać? Gdyby tamtego dnia znalazł się pośród żałobników prorok, co potrafi zobaczyć przyszłość, może miałby odwagę powiedzieć Naftalowi. „Panie Cytter, a jest czego płakać? Chaimek umarł

pięknie i pobożnie – tak by powiedział – nikt dziecku nie żałował modlitwy ani łez. Nie minie siedem lat, panie Cytter, a przyjdzie do Polski taki jeden Hitler i nikt nie będzie pytał Dawidka, który wam się dopiero narodzi, ani Abramka, który wam się dopiero narodzi, czy życzą sobie umrzeć na gorączkę reumatyczną, wietrzną ospę czy raczej na szkarlatynę, a może wolą zabić się z miłości, jak to niektórzy goje mają w zwyczaju, albo raczej zdecydują się dożyć sędziwego wieku i umrą ze starości, co w zasadzie się opłaca, pod jednym wszakże warunkiem: że jest komu odmówić nad grobem umrzyka kadysz. Bo ostatecznie, panie Cytter, chociaż kadysz nadal będzie w cenie, na kadysz nastanie zapotrzebowanie większe niż kiedykolwiek, to nie będzie komu go odmawiać”.

Tak więc, można śmiało rzec, małemu Chaimkowi się po szczęściu. Hersza Nomberga też należy nazwać szczęściarzem. Tak wystrychnąć Hitlera na dudka! Dał się zabić gruźlicy, za nim jeszcze ktokolwiek o Hitlerze usłyszał! Piękna sanatoryjna śmierć, chciałoby się zakrzyknąć. Nomberg snujący się z bliźniaczo suchotniczymi duszami po uzdrowskim Otwocku, galeria Mannowych postaci jakby żywcem wraz z dekoracjami przeniesiona z „Berghofu”. No, aż nastały takie czasy – zaledwie kilkanaście lat po Herszu Dawidzie Nombergu i Hansie Castorpie – że nawet Tomasz Mann nie przejawiał ochoty do opisywania pojedynczych śmierci.

„Jeśli taki młody goj chce tracić czas na pogaduszki ze starym Żydem – myślałem – to pewnie czegoś pilnie potrzebuje”. Panie Fajner – zagadnąłbym grzecznie, gdybym za sprawą jakichś czarów zamienił się z Michałem miejscami i siedział te raz naprzeciwko Jochanana Fajnera – to pan się naprawdę nie domyśla, czego taki młody goj może chcieć od starego mądrego Żyda, który tyle przeżył?

21.

W OŚWIĘCIMIU, powiedziałem Michałowi, najgorszy los cze kał Żydów z bogatych domów. Mówię oczywiście o tych Żydach, którzy z pierwszej selekcji wyszli obronną ręką, którzy mieli jeszcze przed sobą tak zwane życie. Żyd z bogatego domu nie przywykł do wielogodzinnych apeli na mrozie, jedzenia brei, niewolniczej pracy i wszy. Miał delikatne jelita i delikatną głowę. Gdyby taki Izrael Poznański na swoje nieszczęście do żył Oświęcimia, to znaczy gdyby śmierć nie była go zabrała na styku wieków, to na oświęcimskim wikcie nie przetrzymałby dwóch dni. Ojciec Waltera Abramsona miał fabrykę materia łów włókienniczych, dwa sklepy z konfekcją damską i

męską, kamienicę przy Piotrkowskiej, dwa domy na krakowskim Kazimierzu. Na życzenie klientów w trzy dni sprowadzał ubiory z katalogów od najlepszych krawców Paryża, Wiednia i Berlina. Waltera do szkoły szofer woził limuzyną. Na wakacje Walter jeździł z matką i rodzeństwem do Szwajcarii i Włoch, co dwa lata rodzice Waltera udawali się do Wiednia na noworoczny bal oraz zakupy. No, to byli światowi Żydzi. Mówili po francusku i niemiecku. W Oświęcimiu Waltera przydzielono do kładzenia nowych torowisk, które miały połączyć Oświęcim z Brzezinką. Swoją dzienną rację zupy wylewał. Brzydził go smród z latryn. Przez wszy nie przespał żadnej nocy. Wytrzymał chyba tydzień. Siódmego dnia nie wyszedł z baraku do pracy. Opadł z sił. Kapo kopniakami zapędził go na plac apelowy. Walter albo zwariował, albo postanowił udawać wariata, sam nie wiem. Jakkolwiek było, ostatecznie dobrze na tym wyszedł. Tak rozeźlił esesmana, że ten wyciągnął pistolet i Waltera zastrzelił. A było tak: Niemiec zarządził, że Walter za karę dostanie trzydzieści kijów, a potem będzie do nocy stać na placu apelowym w po stawie na baczność. A Walter na to, tym swoim bezbłędnym niemieckim, że on, Walter Abramson, nie po to wykupił bilet pierwszej klasy do Wiednia, żeby teraz tłuc się trzecią klasą w przedziale z takimi szumowinami. Abschaum – powtórzył dwa razy, spoglądając z klęczek na niemieckiego oficera, jakby ktokolwiek mógł jeszcze wątpić, kogo ma na myśli. A ten oficer miał zawsze buty wyglansowane do połysku, na mundurze nawet jednej plamki ani zagięcia. Kochał sztukę. W wolnych chwilach malował obrazy i nie opuścił żadnego koncertu obozowej orkiestry. Strasznie się obruszył na to Abschaum. Zabił Waltera jednym strzałem. Szybka śmierć była w cenie. Którejś wiosny przyjechały w transporcie z Czechosłowacji dwie młode Żydówki. Takie papużki nierozłączki. W tym czasie Niemcy brali do pracy wyłącznie młodych zdrowych mężczyzn. Chyba przeczuły, co je czeka. Błagały esesmana, który przeprowadzał selekcję, żeby je razem zastrzelił. Kazał dziewczyny odprowadzić na bok. A jak się uporał z selekcją, spełnił ich życzenie. One dwie nic nie miały do stracenia. Godzina, może półtorej – tyle życia im zostało. Z Walterem to zupełnie inna historia. Nie trafił od razu do pieca. Czyli już na samym starcie miał przewagę nad tymi, których prosto z rampy poprowadzono niby do kąpieli. Dostał swoją szansę. Więc ja swoje wiem: winę za to, że Walter tak szybko się poddał, w jakiejś mierze ponoszą wakacje w Szwajcarii i limuzyna z szoferem.

Chcę tym samym rzec, powiedziałem Michałowi, że ja byłem na Oświęcim lepiej przygotowany. Mieszkaliśmy w suterenie przy ulicy Południowej. Bałuty w większości zamieszkiwały ubogie rodziny żydowskie. Pracy w fabrykach nie brakowało. Jak ktoś

chciał, to znalazł sobie zajęcie. Ojciec, bogobojny Żyd, gardził pieniędzmi. Jego zdaniem prawdziwie bogobojny Żyd nie może zaprzętać sobie głowy mamoną. „Każda minuta po święcony zarabianiu pieniędzy odciąga mnie od Boga”. Tak od powiadała matka, kiedy utyskiwała. Wygłaszał te słowa jak mądrość Talmudu. „Jechiel, Jechiel – biadolila matka – gadaniem o Bogu dzieci nie nakarmisz”. A ojciec na to: „Bóg o swoich nie zapomina. Każdemu daje tyle, ile mu trzeba”. Matka wy najmowała się do sprzątania w bogatych żydowskich domach. Prała, gotowała, szorowała podłogi. Skupowała w podlódzkich wsiach masło, ser, jaja i handlowała tym szybko psującym się asortymentem na Bałuckim Rynku. Ojciec od rana do wieczora studiował święte księgi. Pod koniec dnia zapalał lampę naftową. A przed sobą na stole stawiał miskę z zimną wodą. Na wypadek, gdyby zmorzył go sen. Głowa wpadnie do miski i grzesznik się obudzi. Może tych kilku sekund zapomnienia Pan Bóg nie zauważy. Od ślęczenia nad świętymi księgami, od czytania przy naftowym świetle wzrok mu się popsuł. Matka musiała zapracować na okulary dla ojca. Kiedy miał dobry humor, sadzał mnie sobie na kolanach i obiecywał, że kiedyś te wszystkie księgi ja po nim przejmę. Gładził koniuszkami palców kartki. Patrzył na mnie przez szkła okularów, mrużył zażławione oczy i powtarzał, że we mnie będzie miał na starość pociechę, bo w pierwotnych Bóg znajduje szczególne upodobanie. „Kto wie – rozmarzał się, skubiąc brodę – może pójdziesz w ślady ojca? Bogu spodoba się uczynić cię rabinem? O, w bóżnicy u ta kiego rabina gromadziliby się najbardziej bogobojni Żydzi!”. Pociągały mnie litery i książki, zapach papieru; ale ten Bóg, straszny Bóg, którego nie wiedzieć czemu miałem się bać od narodzin po śmierć, przejmował mnie lękiem. „Nie chcę być bogobojnym Żydem” – wyrwało mi się pewnego razu. „Chana! – ojciec przywołał na pomoc matkę, jak zawsze, ilekroć sytuacja go przerastała. – Posłuchaj, jakie rzeczy twój syn wygaduje!”. W obecności matki poczułem się pewniej. „Nie chcę takiego Boga, którego trzeba bez przerwy się bać”. Ojciec wpadł w straszny gniew. Grzmiał, że pod jego dachem goj wyrasta. Sprawił mi takie lanie, że na moje krzyki przybiegł dozorca, zajrzał nawet pan Walicki z drugiego piętra. Matka próbowała mnie bronić. „Kobieto, dla dobra tego dziecka, nie powstrzymuj mnie! – wołał ojciec, nie przerywając bicia. Nawet w takiej chwili nie przestał być talmudystą. – Wolisz, żeby sam Bóg dotknął go karzącą prawicą?”.

Po mnie przyszedł na świat Gerszon, powiedziałem Michałowi, po Gerszonie narodził się Hersz, po Herszu narodził się Łajb. Rozradzajcie się i rozmnażajcie, przykazał Bóg Jechielowi, i Jechiel słuchał. Po Łajbie narodziła się Charojza. Każdy syn

to radość dla bogobojnego Żyda. Będzie na kim oprzeć się na starość. Będzie komu odmówić kadysz, kiedy ojciec zamknie oczy. Ale na posag córki ubogi Żyd musi składać pół życia. A jeśli Bóg pobłogosławi uczonym zięciem, jeśli zechce Mu się wybrać na zięcia talmudystę, to rodzice panny młodej przez lata będą utrzymywać młodych małżonków, byle tylko szanowny zięć nie zaprzętał sobie bogobojnych myśli materialnymi troskami, niech od rana do wieczora zgłębia Talmud, Jechielowi Bóg w odpowiednim czasie i ten trud wynagrodzi. Za sprawą Jechiela i za Bożym przyzwoleniem ostatecznie w dwuizbowej suterenie pałętalo się pięcioro dzieci. Dla matki pięć więcej gęb do wykarmienia. W końcu jednak i do Chany uśmiechnęło się szczęście. Tak przynajmniej sądziła. Ojciec z początku kręcił nosem. Po namyśle przyjął propozycję. Bądź co bądź zasiada nie w sądzie rabinackim to prestiż. No i będą z tego pieniądze. Nie mogli znaleźć lepszego kandydata. Kto jak nie Jechiel zna odpowiedź na każde niebezpieczne pytanie? Kto jak nie Jechiel wie najlepiej, co koszerne, a czego bogobojny Żyd winien się wystrzegać? Ale jeżeli przed sądem rabinackim staje para małżonków gotowych się rozwieść, i mają swoje powody, i przynoszą pieniądze, to kto każe Jechielowi na wszelkie sposoby ich godzić? Albo jeśli bogaty Żyd sędzi się z biednym Żydem, to jak świat światem sąd częściej przyzna rację bogatemu Żydowi. No, Jechiel wiedział swoje – sprawiedliwość jest w rękach Pana. Ale Bóg nie zapłaci mu żywą gotówką. Jechiel utrzymał się w sądzie rabinackim niespełna cztery miesiące. Znowu ślęczał nad świętymi tekstami. Prowadził swoją buchalterię z Panem Bogiem. Utrzymanie domu jak dawniej spoczywało na matce. Po Charojzie nie urodziła więcej dzieci. Dwukrotnie zachodziła w ciążę, za każdym razem ronila. Może i prawda, że Bóg zsyła taki ciężar, jaki człowiek zdoła udźwignąć.

Państwo Waliccy, powiedziałem Michałowi, zajmowali całe drugie piętro kamienicy. Pan Walicki, inżynier na państwowej posiadzie, nieźle zarabiał. Stać by ich było na mieszkanie choćby przy Piotrkowskiej. Ale tak sobie kalkulował: na Piotrkowskiej możemy wynająć najwyżej trzy pokoje, podczas gdy tu, na Bałutach – miał na myśli część dzielnicy zamieszkaną w większości przez Żydów – za te same pieniądze dostaniemy całe piętro. Waliccy byli jedyną chrześcijańską rodziną w kamienicy. Prawda, mieszkał jeszcze jeden goj, pan Pucherek, ponoć weteran wojny światowej. Tyle że pana Pucherka lokatorzy kamienicy widywali dwa, trzy razy do roku – przy okazji ważnych świąt państwowych. Zaszywał się w swoim mansardowym mieszkanku i rzadko wyściubiał nos choćby na korytarz. Wiedziało się, że jest w domu, nigdzie nie wyjechał, bo dzień w dzień grywał na trąbce. Różne melodie: wojskowe, operetkowe,

państwowe. Czasem kolędy. Ale jaki z niego chrześcijanin, mówiło się w kamienicy, skoro nawet w Boże Narodzenie nie pokazuje się w kościele? Pan Walicki tłumaczył, że w nodze pana Pucherka tkwi kula, że to przez frontowe rany sąsiad z góry tak rzadko wypuszcza się z domu. Kiedyś podsłuchałem rozmowę ojca z mamą na ten temat. „Jeśli to sprawka kuli – perorował Jechiel, właśnie wróciwszy z ulicy, gdzie minął się z panem Pucherkiem i wciąż pozostawał pod wrażeniem niespodziewanego spotkania – to coś mi się zdaje, że zamiast w nodze utkwiała mu w głowie”. W obecności pana Walickiego ojciec by sobie na taką uwagę nie pozwolił. Staszek, jedyne dziecko Walickich, cierpiał na ociężałość umysłową, ponoć następstwo przebytego w dzieciństwie zapalenia opon mózgowych. Chociaż chłopak był starszy ode mnie trzy lata, dziwnym trafem mnie właśnie upodobał sobie na towarzysza zabaw. Pani Eleonora Walicka, zdecydowana przeciwniczka podwórkowych zabaw, wymyśliła, bym przychodził do nich na górę. „Oj, oj, oj! – ironizował ojciec przy matce – co za radość dla biednego Jechiela, jego syn dostąpi zaszczytu przebywania na gojowskich salonach!”. Mama przekonywała, że to dla dobra syna Walickich. Stroni od dzieci, dliczeje; a w towarzystwie Jochanka nawet mniej się jąka, dowodziła. Ojcu pomysł nie przypadł do gustu. Pewnie bał się puścić syna do chrześcijańskiego domu. Jeszcze potem zachce mu się zapisać do polskiej szkoły! A co dobrego przyjdzie synowi Jechiela Fajnera z takiej nauki? Na co przyszedłemu rabinowi czy talmudyście znać polski? Gdzie w Talmudzie jest napisane, że uczony Żyd ma poznawać łacinę albo grekę? Che der, jesziwa – tam żydowski chłopiec uczy się, czego Bóg przy kazał. Mama nie przestawała wiercić mu dziury w brzuchu. „Przecież Boga to nie obraża – mówiła. – To dobry uczynek. Micwa”. Tym ostatnim argumentem poruszyła ojca. Jego żydowskie sumienie usłyszało micwa i złagodniało. Bogobojny Żyd nie stroni od dobrych uczynków.

Mama nie zdradziła się przed ojcem, powiedziałem Michałowi, że moje wizyty u państwa Walickich nie są całkowicie bezinteresowne. Niewielkie zazwyczaj sumy, jakie pani Walicka wręczała mamie, stanowiły znaczące uzupełnienie naszego mizernego budżetu. Żadna ze stron nie nazywała rzeczy po imieniu. „Droga pani Fajner – odzywała się na przykład mama Staszka – w sklepie obuwniczym widziałam buciki w sam raz dla pani Jochanka”. Albo: „Byłam tak obładowana zakupami, że wbrew obietnicy danej Jochankowi nie dałam już rady zejść do cukierni. Może pani Fajnerowa będzie tak dobra i w wolnej chwili kupi dzieciom za te parę złotych słodkości?”. Te gojowskie pieniądze były jak manna z nieba. Przepęłniała mnie duma. Jechiel Fajner od miesięcy nie zarobił grosza, tymczasem dzięki mnie Gerszon, Hersz, Łajb i Charojza

dostali na zimę nowe buty. Z drugiej strony, przebywanie w towarzystwie Staszka to znów nie takie wielkie poświęcenie. Chętnie mnie dopuszczał do zabawek, a było w czym wybierać. Pani Walicka zachęcała nas do „gier edukacyjnych”. Nie zawsze udawało mi się wykręcić. Mocno się napociłem, żeby dać Staszкови wygrać w warcaby. Zazwyczaj kończyło się na bierkach i chińczyku. „Mój mały profesorek” – pani Walicka mówiła o synu. Na prawdę wierzyła, że w chłopcu drzemią ukryte talenty, wystarczy je odkryć i oszlifować. Na dziesiąte urodziny rodzice kupili Staszкови akordeon. Teraz trzy razy w tygodniu przychodził nauczyciel muzyki, żeby Staszka szlifować. Chłopiec po kilku lekcjach zaczął grać. Rozkładał przed sobą nuty, udawał, że je czyta – grał z pamięci. Całkiem udanie. Ale ta muzyka nie płynęła z serca. Palce Staszka potrafiły zagrać każdy akord, wprawnie wybierały klawisze i guziki; nawet na ten krótki moment jego głowa nie potrafiła uwolnić się z klatki, w której zamknęła ją choroba. Pani Walicka biła brawo: „mój mały profesorek!”. Także klaskałem. Staszek kiwał się z boku na bok, akordeon grał, a ja się modliłem, by koncert dobiegł końca. Staszek miał takie kamienne spojrzenie, powiedziałem Michałowi. Patrzysz w te oczy i widzisz, jaka wyziera z nich pustka.

Pani Walicka, powiedziałem Michałowi, czytała nam na głos polskie książki. Nigdy by się nie przyznała, że jej „mały profesorek” z trudem sylabizuje nawet czytanki z elementarza. Staszek uczył się wszystkiego na pamięć. Nasiąkał słowami i dźwiękami jak gąbka wodą. Pani Walicka urządzała nam seanse czytelnicze. Dla mnie to były lekcje polskiego. Poznałem wcześniej podstawowe słowa, potrafiłem dogadać się z polski mi chłopcami z sąsiednich podwórek – ale prawdziwe lekcje języka pobierałem u pani Walickiej. W ten sposób poznałem legendy polskie, baśnie Andersena, wiersze Konopnickiej. Ale litery – polskie litery – to była dla mnie czarna magia. Pani Walicka nie dała się długo prosić. Tym chętniej mnie uczyła, że Staszek z tych lekcji również odnosił korzyść. W dzień uczyłem się w chederze hebrajskiego, wieczorami czytałem i pisałem po polsku. Pożyczałem od państwa Walickich książki. Bez wiedzy ojca pochłaniałem przygody Don Kichota, Guliwera, Robinsona Kruzoa. Potem wpadła mi w ręce trylogia Sienkiewicza. Mama wiedziała, co się święci. Kryła mnie przed ojcem – zapewne w przeświadczeniu, że pęd do wiedzy uchroni mnie przed powtórzeniem jego losu. Może w głębi ducha żywiła na dzieję, że ojciec ugnie się i pośle mnie do polskiej szkoły? Zdobędę porządne świeckie wykształcenie, zostanę urzędnikiem ze stałą pensją albo nauczycielem w polskim gimnazjum. Nie będę trawił życia na studiowaniu Talmudu. Nigdzie nie jest napisane, że porządny Żyd nie może zarabiać pieniędzy.

Jeże li uczciwie zapracował na pensję, jeżeli bierze na siebie część trosk o domowe gospodarstwo i odciąża w ten sposób żonę, to w czymże taki Żyd jest gorszy od uczonego w Piśmie, który nie zarobi nawet na oliwę do lampy? Czy Pan Bóg zabrania Żydowi prowadzić sklep albo zajmować się handlem obwoźnym, albo zostać kancelistą, albo założyć fabrykę, albo obsługiwać maszynę? Na Bałutach mieszkało wielu żydowskich robotników. Gniewali się na cały świat. Mówili o niesprawiedliwości i o religii. Jechiel Fajner przestrzegał przed Bogiem chrześcijan. „To fałszywy Bóg – grzmiał – narodził się na wierze Mojżeszowej. Dla Żyda – powtarzał, nie ma większego grzechu jak wpaść w sidła błędnej religii”. Jakkolwiek by spojrzeć, wychodziło mi, że Żydzi i chrześcijanie skazani są na podobny los – i jedni, i drudzy mają nad sobą jakiegoś Boga, który, co prawda, sporo obiecuje, lecz jeszcze więcej wymaga. Tymczasem Żydzi z fabryk twierdzili, że Boga nie ma. Nigdy żadnego nie było i kropka. Powiedzieć coś takiego o Bogu chrześcijańskim, to ja rozumiem. Ale o Bogu Mojżesza? To jakby rzucić Jechielowi w twarz, że całe życie się mylił. Że na próżno tracił wzrok nad Talmudem. Że Żydzi od pięciu tysięcy lat błąkają się po pustyni ignorancji, a Mojżesz, Abraham i Jechiel Fajner wiedzą o świecie niewiele więcej niż skarabeusze. „Socjaliści” – mówił ojciec o takich Żydach, i słowo to brzmiało w moich uszach jak najstraszliwsza klątwa. Krzywił się przy wypowiedaniu tego słowa, jakby usta splamił ciężkim grzechem. Czy jednak Żydzi negujący istnienie Boga przestawali być Żydami? Czy spadał na nich grom z żydowskiego nieba? Czasem trafiali do więzienia, ale za kratki wsadzała ich władza świecka, Bóg nie miał w takich sprawach nic do gadania; sądzono tych socjalistów nie za grzechy przeciwko Bogu czy Talmudowi, ale za strajki w fa brykach, za nawoływanie do buntów i domaganie się wyższych płac. Na swój sposób byli wykształceni. Czytali żydowskie gazety i książki – nie tylko w jidysz, niektórzy znali również hebrajski – no i całkiem nieźle radzili sobie z polskim. Oczywiście, ja o tych bluźnierczych Żydach z początku niewiele wie działałem, bo niby skąd; czasem podsłuchałem strzępy rozmów ojca z innymi bogobojnymi Żydami, a że przy okazji takich debat bogobojni Żydzi niekiedy wpadali w gniew, słyhać ich było nawet na ulicy. „Rabin Szmul Sajderman, niech imię jego będzie błogosławione – mówił raz mój ojciec – spotkał pewnego razu Joska Aronowicza, którego tydzień wcześniej widziano, jak rozrzuca pod bóżnicą gazety Bundu, a w tych gazetach, wiadomo, nawołuje się nie tylko do obalenia władzy świeckiej, lecz występuje także przeciwko prawom religijnym, że są niby balastem i przeszkodą, kłodami na drodze do rozwoju. Więc żaden uczciwy Żyd nie może na taką gazetę nawet spojrzeć – dowodził ojciec – jego noga nie powinna

na taki papier na depnąć ani go przestąpić, taką gazetę trzeba obejść szerokim łukiem. Więc który dobry Żyd rzuciłby taką gazetę Żydowi uczciwie zdążającemu do bóżnicy? I pyta rabin Szmul Sajderman bundowca Joska Aronowicza: «Josek – rzeźcie cierpliwie, bo rabin Szmul Sajderman zawsze trzymał gniew na siedmiu postronkach – dlaczego ty nawet szabatu nie przestrzegasz? W siódmy dzień tygodnia zamiast odpoczywać, pracujesz, innym Żydom dajesz zgubny przykład». Josek Aronowicz na to: «Tydzień ma siedem dni, a miesiąc cztery tygodnie. Choćbym tydzień i miesiąc pomnożył przez siedem i pracował od rana do wieczora, to i tak nie zarobię dosyć na utrzymanie pięciorga dzieci». «Ale przecież – podjął cierpliwie nasz dobry rabin Szmul Sajderman – nawet Bóg siódmego dnia przerwał dzieło tworzenia świata, dając nam przykład do naśladowania. Zapomniałeś, Josek, co mówi Księga Wyjścia? Zapomniałeś czwarte z Dziesięciorga Przykazań?». «Panie Sajderman – replikuje bez szacunku ten bundowiec Aronowicz, który od lat nie zaszedł do bóżnicy – panie Sajderman – rzuca naszemu dobremu rabinowi w twarz – ja od czasu nauki w chederze przeczytałem nie jedną książkę, i w żadnej z tych książek nie znalazłem choćby maciupieńkiej wzmianki o Panu Bogu. Boga, panie Sajderman, nigdy nie było. Jest tylko praca i kapitał. Pracy Żyd może mieć tyle, że urobi sobie ręce po łokcie. Ale jaki z tego ma pożytek? Żadnego. Bo kapitał należy do nielicznych. W moich książkach jest napisane, że my musimy ten kapitał przejąć i równo między siebie podzielić. Teraz my, panie Sajderman, będziemy stwarzać świat». Cały czas siedziałem w drugim pokoju; wszystko słyszałem. „Zgroza! Błuznierstwo za błuznierstwem! – zawołał szojchet Asz Pinkus, według mojego ojca bardzo pobożny człowiek, no ale rzezakiem zostawał tylko bardzo pobożny i religijny Żyd. – Przez takiego i na nas, dobrych Żydów, spada nieszczęście”. „Do Palestyny! – usłyszałem krzyk ojca. – Tam powinno się takich wysyłać dla nabrania rozumu”. „Powiedzcie mi, dobrzy Żydzi – włączył się do rozmowy rabin Babad Fiszel, który nastąpił po rabinie Szmulu Sajdermanie, bo ten po rozmowie z Joskiem Aronowiczem dostał udaru i zmarł – powiedzcie mi, dobrzy Żydzi, czy taki socjalista pod pewnymi względami nie jest gorszy od przechrzty?”.

Kiedy skończyłem dwanaście lat, powiedziałem Michałowi, wszystko się wydało – moja nauka polskiego, to, że czytałem polskie lektury, że uczyłem się u pani Walickiej pisać po polsku. A było tak: Gerszon, brat młodszy ode mnie o rok, ukradł w sklepie cukierki. Tylko ten jeden raz. Płakał. Zaklinał się, że zabrał nie więcej jak trzy cukierki; no i, po prawdzie, był to sklep żydowski. Ale Icchak Szylis, właściciel sklepu, narobił rabanu na całą ulicę. Cap Gerszona za kołnierz i prowadzi go do domu. Dla całej

rodziny niewyobrażalny wstyd. Syn bogobojnego Żyda złodziejem. Ojciec złościł Gersonowi skórę. Ale Icchakowi Szylisowi wciąż było mało. „Pewnie już nie raz ukradł!” – krzyczał. Ojciec przetrząsnął cały dom. Złodziejskich łupów nie znalazł. Wykrył za to pakunek z polskimi książkami. I za pisane po polsku zeszyty. „Czyje to?”. Przyznałem się. Zbiegła się cała kamienica. Zaglądali przez okna do naszej sutereny, każdy chciał zobaczyć, jak Jechiel Fajner wymierza ojcowską sprawiedliwość. Ojciec bił mnie nie tylko dlatego, że nadzieje, jakie pokładał w pierworodnym, legły w gruzach. Bił mnie za upadek Masady, za bundowca Aronowicza, za śmierć rabina Szmula Sajdermana, powalonego apopleksją po nieszczęsnej dyskusji z Joskiem Aronowiczem, bił za niewolę babilońską, za dwukrotnie zburzoną świątynię jerozolimską, za cierpienia Żydów sefardyjskich, za wszystkie grzechy dwunastu plemion Izraela, za pogromy kozackie. Bił mnie za cielesne występki króla Dawida, za grzechy Sodomy i Gomory, za rabinów, którzy dla zysku dopuszczają do bóżnicy Torę z wykrytym błędem, bił mnie za bezbożników sprzedających trefne mięso i za socjalistyczną gangrenę toczącą żydowskie ciało. Szlimazł! Biedny Jechiel Fajner ani na moment nie zapomniał, że nawet żydowskie dzieci pozwalają sobie tak za nim wołać. Szlimazł, wieczny nieudacznik. Następnego dnia zawiózł mnie do rabina z Warki. Rabin z Warki to był święty i mądry człowiek. Po radę do niego przyjeżdżali Żydzi aż z odległego Podola. Który bogaty Żyd po żałowałby pieniędzy, gdyby przed jego pierworodnym otwarła się możliwość pobierania nauki u rabina z Warki? Oddać pół majątku nie byłoby żal. Choćby otrzeć się o takiego człowieka to błogosławieństwo dla całej rodziny. No, ale rabin z Warki przyjmował niewielu uczniów. I Bóg widział, że w wyborze nie kierował się pieniędzmi. Co we mnie dojrzał, nie wiadomo. Dość, że przystał na prośbę Jechiela Fajnera z Łodzi, wieczne go nieudacznika, który nawet przy święcie Pesach groszem nie śmierdział. Pół roku pod okiem nauczyciela tej miary równa się pięciu latom nauki w najlepszej jesziwie. Ojciec wracał do domu rozradowany.

Ponad miesiąc rabin słowem do mnie nie przemówił. Mu siałem pracować. Sprzątałem, rąbałem drewno, nosiłem wodę – co kazano. Rabin z Warki to naprawdę mądry człowiek. Po miesiącu woła mnie do siebie i pyta, czy chcę się uczyć. A jak że, rabi! Po tylu tygodniach aż się rwałem do książek. „No to powiedz – pyta rabi i patrzy mi w oczy – czy do końca swoich dni wyrzekniesz się lektury ksiąg zakazanych?”. I jak tu kłać przed rabinem z Warki? Jak skłamać, skoro tymi oczami przewierca człowieka na wylot? Napisał do ojca: przyjeżdżaj, Jechielu, zabieraj swojego syna. Nie czekałem. Zostawiłem list adresowany do ojca i uciekłem. Do domu nie miałem po co wracać. Co

dalej robić, dokąd pójść, nie wiedziałem. Szedłem, gdzie mnie nogi niosły. W końcu historia narodu żydowskiego to nieustanna wędrówka. Mówi się, że Żyd dobrze przejdzie przez życie, jeśli będzie umiał kierować się znakami. Pan zsyła znaki, sztuka w tym, by umieć je odczytać. Ale co to znaczy: „umieć odczytać”?

Przedwojenna Warszawa, powiedziałem Michałowi, to były dwa miasta. Była Warszawa chrześcijańska i była Warszawa żydowska. Na Krakowskim Przedmieściu, na Marszałkowskiej, w Alejach Jerozolimskich też trafiały się żydowskie kapoty i brody. Ale żydowskie ulice to były Nalewki, Leszno, Dzika, Gęsia, Pawia, Krochmalna, Nowolipki. Żydowska Warszawa miała swoje warsztaty, fabryki, sklepy, restauracje, szkoły, synagogi, teatry. Kiedy zawędrowałem do Warszawy w 1919 roku, miałem niespełna trzynaście lat. Szczęście się do mnie uśmiechnęło. Dostałem pracę w fabryce Żyda Zydorowicza na Nalewkach. Tkacz był ze mnie żaden – zaczynałem jako chłopiec na posyłki. I uczyłem się zawodu. Nie powiem, żeby mi się to podobało. Ale praca u Zydorowicza miała tę dobrą stronę, że nikt nie dzielił robotników na dobrych i złych Żydów. Nosisz pejsy? Niech imię Pana będzie pochwalone. Zgoliliś brodę, może na wet zasymilowałeś się? Bóg z tobą. Dla nas jesteś Żydem dopóty, dopóki nie krzywdzisz innego Żyda. W 1920 roku wybuchła wojna z bolszewikami i część robotników Zydorowicza poszła na front. Teraz też nikt nie dzielił Żydów na takich czy owakich. Poszli bić się Żydzi z rabinackich domów i Żydzi zasymilowani. Wśród nich pewnie i socjaliści pokroju Joska Aronowicza. Za sprawą inwazji bolszewickiej do mnie kolejny raz uśmiechnęło się szczęście. Trafiła mi się posada w kantorze. Kancelista Zydorowicza zgłosił się na ochotnika do wojska, na jego miejsce potrzebny był ktoś z dobrą znajomością polskiego. Próbę przeszedłem celująco. Sam Zydorowicz uściśnął mi rękę. Miałem teraz biurko i kąpiel do pracy, na poddaszu własny pokój do spania. Biurowy pisarz to nie był kto. Tłumaczyłem na jidysz urzędowe dokumenty wpływające do kantoru, sporządzałem po polsku odpowiedzi na listy i pisma do przeróżnych władz. Z obowiązków wywiązywałem się wzorowo. Zydorowicz to był światły człowiek. Nie myślał wyłącznie o zysku. Pozwalał mi kupować książki na rachunek fabryki. Półka w moim mansardowym pokoiku zapełniała się. Przybywało książek Pereca, Szaloma Alejchema, Szaloma Asza. Kupowałem też po wieści polskich autorów. W wolnych chwilach sam pisałem buntownicze wiersze i długie opowiadania. Głównie w jidysz, rzadziej po polsku – w tym drugim wypadku bardziej w celu doskonalenia języka. To moje pisanie było niewiele warte, choć wtedy myślałem inaczej. Wieść o poecie kanceliście szybko się rozniosła. Spływały do mnie zamówienia na wiersze i listy do

żydowskich dziewcząt. Żyłem z pisania. Tymczasem zaczęli wracać z wojny robotnicy Zydorowicza. Ponieważ cała fabryka wie działa, że kancelista Fajner „pisze”, jeden ze zdemobilizowanych żołnierzy opowiedział mi o Izraelu Rabonie, koledze z frontu. „Cóż to za poeta! – zachwycił się – talentem dorównuje Bialikowi”. Zaprowadził mnie na wieczór autorski Izraela Rabona. Rabon miał dopiero dwadzieścia lat, choć wyglądał na starsze go. W zatłoczonej sali, pośród Żydów zapalczywie dyskutujących, palących papierosy, siorbiących herbatę i pałaszujących kolację, czytał swoje wiersze. Gdzie ja trafiłem? Do Związku Literatów i Dziennikarzy Żydowskich przy ulicy Tłomackie 13. Tego wieczoru przekonałem się, że Tłomackie 13 to miejsce jedyne w swoim rodzaju. Tu mógł przyjść dosłownie każdy: Żyd i nieŻyd, żydowscy literaci piszący w jidysz obok tych tworzących po hebrajsku i po polsku. Drzwi były otwarte dla chasydów i dla ateistów, nikt nie pytał, czy jesteś miłośnikiem poezji, teatru, muzyki czy żydowskiej kuchni. Na Tłomackiem dyskutowano o religii i świecie, o sztuce, medycynie i nowinkach motoryzacyjnych, o polityce i wydarzeniach kryminalnych ostatniej nocy. Jedni czytali wiersze, inni wyklócali się nad recenzjami prasowymi albo oplotkowywali kolegów. Stałym punktem były wieczorki autorskie. Rabon recytował wiersze z niezmaconym spokojem, jakby krzyki i siorbanie przy stołach wcale mu nie przeszkadzały. Ja z tej jego poezji niewiele rozumiałem. W jednej linijce wygrażał całemu światu, a w następnej obśmiewał świat. Nazajutrz jedne gazety ogłosiły go „niezrównanym humorystą”, inne pisały, że zręcznie miesza realizm z makabreską. Z gazet dowiedziałem się, że Izrael Rabon jest łodzianinem, prawie od urodzenia mieszka na Bałutach. To dodało mi odwagi. Następnego dnia wieczorem poszedłem na Tłomackie z plikiem wierszy. Chciałem zdążyć przed powrotem Rabona do Łodzi. Stałem przed nim i oznajmiłem, że też jestem poetą. Już w tym momencie powinien był zaśmiać mi się w twarz. A on nic. Obejrzał mnie sobie dokładnie. Potem zaprosił do stolika. Zamówił herbatę i ciastka, sam zajął się czytaniem. Jedzenie rosło mi w ustach. Czekałem na werdykt. Wreszcie słyszę: „Czy mi się podobają? Nie. Ale ja w pana wieku popełniałem gorsze wiersze. Dzisiaj żałuję. Za złe wiersze powinno się wsadzać do więzienia”. Musiałem obiecać, że wezmę rozbrat z pisaniem przynajmniej na trzy miesiące. Wiersze, które po tych trzech miesiącach napiszę – jeżeli jakiegokolwiek powstaną – przyślę na jego łódzki adres. Strasznie się wtedy na Rabona rozzłościłem. Co z niego za poeta, skoro na mnie się nie poznał! Z tej złości przez trzy miesiące nie napisałem ani linijki. Potem w je den wieczór wysmarowałem dwa wiersze. Czego w nich nie było! Na trzech stronach zmieściłem spowite dymem zachody słońca nad

pałacem Poznańskiego, papierowe łódeczki płynące rynsztokami na Bałutach, warszawskie Nalewki, odeską poezję Bialika. Ba! Nawet zapowiedziałem odbudowanie świątyni jerozolimskiej! Nie minął miesiąc, a dostaję przesyłkę z łódzką gazetą „Lodzer tageblatt”. A w gazecie oba moje wiersze. Przez równy tydzień przychodziłem na Tłomackie 13 z gazetą, pod tykałem te wiersze każdemu pod nos i kazałem czytać. Cud, że mnie nie przegnali. Teraz cała żydowska Łódź o mnie rozpowiada! – wyobrażałem sobie. Do mieszkania Jechiela i Chany ustawiają się kolejki dziennikarzy. Ojciec, wystrojony i radosny jak w święto Purim, przechadza się z Izraelem Rabonem ulicą Piotrkowską, wciąż każe sobie recytować synowskie wiersze, spija z ust Rabona te złote wersety Fajnerowej poezji, nie może się nadziwić, że taka perła kultury żydowskiej dojrzewała pod jego bokiem, karmiła się macą i czulentem z jego stołu. Tym czasem mija dzień za dniem – i nic. Odczekałem dwa miesiące: z domu wciąż żadnych wieści. Poprosiłem pana Zydorowicza o dwa dni urlopu. Nakupiłem podarków, w szabat ubrałem się w najlepszy garnitur i w pociąg do Łodzi. Myślałem, że za Łodzią nigdy nie zatęsknię. Bo co to Łódź? Kominy, bieda, słońce okopcone dymem z fabryk. Wysiadłem z pociągu, spojrzałem w to zniechęcone ołowiane niebo, nabrałem w płuca cierpkie od dymu powietrze – i tak się poczułem, jakbym miał serce przedziurawione na wylot; za bardzo się z Łodzią zrosłem, żeby wyrzucić ją z pamięci. Zamawiam kurs na Południową. Dorożka w tej części Bałut to był rzadki widok. Zajeżdżam przed kamienicę w asyście chmary dzieciaków. Wrzawa taka, że chyba wszyscy lokatorzy wylegli na ulicę. Gerszon, Hersz, Łajb, Charojza – od razu ich poznałem. Za to oni patrzą na mnie jak na cudzoziemca. Te półtora roku w Warszawie jednak mnie zmieniło. Wydoroślałem. Przywołałem ich do siebie i jeszcze na ulicy każde obdzieliłem prezentami. Dopiero po głosie rozpoznały, kto przyjechał. Prowadzą mnie do sutereny. Szabasowy stół zastawiony. Szabat to dla każdego Żyda święto. Sześć dni pracujesz, siódmego odpoczywasz. W takie święto nawet zwy kły Żyd jest bliżej Boga. W szabat, Żydzie, najgorszego wroga dopuścisz do stołu. W dzień szabatu żaden porządny Żyd nie odprawi podróznego, który zapuka i powie, że świąteczny posiłek życzy sobie spożyć w jego domu. A co robi dobry Jechiel na mój widok? Zrywa się znad Tory, staje w progu i rozkłada ramiona, broniąc mi dostępu. To, czego się obawiał, przed czym broniło się nieskalane grzechem serce talmudysty, dzisiaj ujrzał na własne oczy: jego syn, syn dobrego rebe Fajnera, zgolił pejsy i ubiera się z gojowska. Więc Jechiel krzyknął: „Prędeż gojowi bym drzwi otworzył!”. Chanę z dziećmi zapędził do drugiego pokoju, mnie kazał się wynosić. Już wiem, że niepotrzebnie przyjechałem. W domu

Jechiela Fajnera nie mam czego szukać. Umarłem dla niego tak, jak bałuciarz Efroim Lozer, syn nauczyciela Gemary, umarł był dla swojego ojca w dniu, gdy po rzucił naukę w chederze i uciekłszy z domu, wstąpił w szeregi heretyków rewolucjonistów z „Achadut”. Wycofuję się, a warszawskie podarki jeden za drugim lądują za mną na korytarzu. I kiedy zobaczyłem, jak dobry Jechiel, który nigdy nie kupił dzieciom słodyczy, który dwóch groszy nie dołożył do szabasowej kolacji, kiedy więc zobaczyłem, jak w szale sprawiedliwego trątuje bombonierki, marcepanowe owoce, zabawki, jedwabne chusteczki i damski zegarek z bransoletką, odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Przynależę sobie, że dopóki żyje mój do bry ojciec Jechiel, moja noga w rodzinnym domu nie postanie. Serce Żyda wiele zniesie. Zamieni się w kamień i wszystkie frasunki o ten kamień się rozbiją. W każde święto Jom Kipur, w ten pradawny Dzień Pojednania, w ten Szabat Szabatów, kie dy każdy Żyd powinien dokonać rachunku sumienia i szczerze zadośćuczynić za popełnione grzechy, wzorem każdego uczciwego Żyda żałowałem za przewiny i wobec Boga obiecywałem poprawę, w modlitwie przepraszałem matkę, Gerszona, Hersza, Łajba, Charojzę za przewinienia zawinione i niezawinione – ale dla Jechiela, dla niego jednego, miałem serce z kamienia. Za wszystkie zmarszczki Chany, za jej harówkę od rana do nocy, za obelgi, których musiała wysłuchiwać po wsiach od gojów oszukujących ją przy sprzedaży nabiału, za plecy wygięte w pa łąk po latach szorowania cudzych podłóg, za brzuch wyschły od rodzenia Jechielowi synów na chwałę Boga Izraela! U pana Zydorodowicza zarabiałem przyzwoicie. Stać mnie było, by raz w miesiącu wysyłać mamie pieniądze za pośrednictwem pani Walickiej. Dodatkowo zarabiałem pisaniem. Byłem literatem z prawdziwego zdarzenia – moje utwory drukowano! Izrael Rabon od początku naszej znajomości traktował mnie jak młodszego brata. Nie wiem, co bardziej zaważyło – podobny gust literacki czy wspólne bałuckie pochodzenie. Dbał, by przy najmniej raz na dwa miesiące tekst podpisany moim nazwiskiem ukazał się w którejś z żydowskich gazet Łodzi czy Warszawy. Niektóre z tych gazet czytano nawet za granicą. Wielki Szalom Asz w tamtych latach w Polsce bywał gościem. Objeżdżał świat z premierami swoich sztuk. Amerykańscy, francuscy, niemieccy Żydzi – choć nie tylko Żydzi – przyjmowali go jak księcia. Żydowski Molier i Shaw w jednej osobie. Perec rozślawił literaturę żydowską na całą Polskę, Szalom Asz wprowadził ją na salony Europy i Ameryki. Pewnego wieczoru prosto z Paryża, jeszcze obładowany bagażami, zajechał na Tłomackie 13. On zawsze był ciekaw nowinek warszawskich, z kolei my czekaliśmy na wieści ze świata. I o kogo Szalom Asz pyta w pierwszych słowach? O Jochanana

Fajnera. Nogi się pode mną ugięły. Asz czytał moje opowiadania! Asz miał jak najlepsze zdanie o młodym autorze! Szaloma Asza słusznie nazywa no dzieckiem szczęścia. Ale Asz nie ściszał swojego szczęścia w garści. Chętnie z każdym się dzielił. Jedno słowo Asza sprawiło, że moimi opowiadaniem w jidysz zainteresowały się magazyny nowojorskie. Zanim ukończyłem dwadzieścia lat, nazwisko Fajner pojawiało się w miarę regularnie w żydowskich periodykach wydawanych w Berlinie, Pradze i Paryżu. Z rekomendacji Asza bywałem zapraszany na premiery jego najnowszych sztuk do Niemiec i Rosji. Byłem młody. Zacząłem patrzeć na innych z góry. Wtedy Asz pogroził mi palcem. „Masz – po wiedział, wręczając mi ciekawą książkę wydaną na kiepskim papierze – przeczytaj”. Chodziło o Ulicę, powieść Izraela Rabona. Ale ja to przeczytałem, zaraz jak się ukazało w 1928 roku – i prawdę powiedziawszy, nie widziałem powodów do zachwytu. Rabon opisywał rodzimą Łódź, ja zaś mimo przywiązania do Łodzi nie uważałem tego miasta za pępek świata, mnie marzyły się wielkie tematy, a sceną dla wielkich tematów były w moich oczach Berlin, Paryż, Petersburg, Nowy Jork, Odessa – biedna bałucka Łódź nijak do tej roli nie pasowała. O czym miałbym pisać? Że z ryneków na Piotrkowskiej, przy której rezydowali w swoich kamienicach pałacach Prywesowie, Wienerowie i inni łódzcy bogacze, unosił się ten sam smród, co na Bałutach? Łódź kwitła na handlu, malwersacjach, wojennych przekrętach, wyzysku robotników; wygrywał ten, kto umiał podbijać ceny, spekulował, szmuglował – wreszcie zaś, gdy inne środki zawiodły, puszczał własne fabryki z dymem. Mnie marzyła się sztuka. A czy taki na przykład Mojżesz Wiener, specjalność: towary bławatne, w swoich fabrykach i kantorach sprzedaży choć przez jedną minutę na dobę zajmował się sztuką? Bodaj czy choć raz powiedział: panie Mojżesz Broderson, pan piszesz takie ładne wiersze; panie Jankiel Adler, pan malujesz takie ładne obrazy, i ja to widzę, i ja to u was obu doceniam, to może ja bym tak od czasu do czasu sypnął wam trochę groszem? Nie, prawdziwa sztuka, myślałem, prawdziwa litera tura, autentyczny mecenat mogą rozkwitać w Paryżu, Londynie, Nowym Jorku, wszędzie tam, gdzie słońce potrafi przebić się przez fabryczne dymy, w tych schludnych, cywilizowanych faktoriach rodzącego się kapitalizmu, gdzie pieniądź czysty wypiera pieniądź brudny. No więc szukając dla siebie wielkiego tematu, Łódź Wienerów i Fajnerów odrzuciłem. Oczywiście, panu Zydorowiczowi za posadę dawno podziękowałem. Z po wodzeniem utrzymywałem się z pióra. Pisywałem recenzje teatralne, humoreski, reportaże z podróży po świecie, popularne pisma drukowały moje powieści w odcinkach, pod pseudonimem wydawałem cieszące się niemałym powodzeniem powieści bulwarowe.

Żaden wstyd, tłumaczyłem sobie, wielu młodych pisarzy obierało podobną drogę, ze sławnych choćby Jehoszua Perle czy Izaak Baszewis Singer. Każdy z nas kalkulował po dobie: zarobię wystarczająco, zabezpieczę się finansowo, a kiedy stanę mocno na nogach, wówczas będę mógł pozwolić sobie na romansowanie z muzami, pokażę, na co mnie stać. Nawet założenie rodziny odkładałem na później. Tak, na pierwszym miejscu stawiałem uzyskanie niezależności finansowej. Nie zamierzałem brać rozbratu z żydostwem. Bo gdzie jest na pisane, w której części Pięcioksięgu, pytam, Bóg przykazuje Mojżeszowi, że dobry Żyd musi być kościsty, biedny, marudny i niezaradny, jak nie przymierzając Jechiel Fajner z ulicy Południowej na Bałutach?

22.

MŁODOŚĆ, powiedziałem Michałowi, ma przywilej nieliczenia się z czasem. W 1936 roku skończyłem trzydzieści lat. Co to jest trzydzieści lat? Trzymałem się prosto, te trzydzieści lat nie przygięły mnie do ziemi, nie dźwigałem na grzbiecie jak Jechiel Fajner losów dwunastu pokoleń Izraela, rozsianych po świecie. W trzydziestym dziewiątym świętowałem trzydzieste trzecie urodziny – wszystko jeszcze przede mną: ta najważniejsza książka, założenie rodziny. Tłukłem te swoje dochodowe powieści w odcinkach, tłumaczyłem na jidysz wiersze Hessego, tłumaczyłem opowiadania Tomasza Manna, rozglądałem się dokoła i powtarzałem sobie: Jochanan, w najgorszym razie jesteś dopiero w połowie drogi, w dwudziestym wieku ludzie dożywają siedemdziesiątki – tak, wszystko przed tobą. O Tłó mackiem 13 zrobiło się głośno w literackim świecie. Dawniej dzięki Aszowi bywali u nas wielcy Polacy: Maria Dąbrowska, Stanisław Witkiewicz czy Żeromski, teraz przyjeżdżali również goście z zagranicy. Odwiedzali nas dziennikarze i pisarze z Ameryki, Rosji, Argentyny, Szwajcarii. Przyjmowaliśmy pisarzy niemieckich. Literatura to był dobry towar wymienny. Przyjeżdżali, bo rozeszła się wieść, że od pisarzy żydowskich można się czegoś nauczyć. Cieszyłem się z tych wizyt. I cieszył mnie każdy wiersz Rilkego, Zweiga i Villona, który doczekał się tłumaczenia na jidysz. Mogliśmy, czytając te wiersze, pokiwać głowami i powiedzieć sobie: odkrywcze, zachwycające, ale czy nasz Izrael Rabon, Mojżesz Broderson, Ber Horowic, czy nasza Miriam Ulianower nie piszą równie pięknych wierszy? Z wojaży po świecie do Warszawy, na Tłomackie 13, wracałem w poczuciu, że przyjeżdżam do domu. Łódź, Bałuty – stały się wspomnieniem. Z domem

przy Południowej łączyły mnie pieniądze, które nadal posyłałem potajemnie Chanie, mimo że dzieci – cała czwórka – dawno poszły na swoje. Gerszon, ten sam, który ze sklepu Icchaka Szyliisa ukradł trzy cukierki, zaspokoił ambicje ojca i ukończył szkołę rabinacką. Hersz został nauczycielem w chederze, Łajb zarabiał uczciwie jako rzezak. Charojza wyszła za mąż za Naftala Cyttera, syna rabina z Łomży. Byłem na ich weselu w trzydziestym drugim roku. Od mojego ostatniego spotkania z ojcem upłynęło jedenaście lat. Podszedłem, chcę się przywitać – tylko mi plecy pokazał. Nie, to nie, uparty Żydzie! Ja czytam w oryginale Rimbauda i Man na, mnie w Nowym Jorku na Piątej Alei amerykański krawiec szył garnitur na miarę, ty do końca życia będziesz ślęczał w norze na Bałutach nad Torą. O, ja już do ciebie pierwszy ręki nie wyciągnę! Też potrafię zapiec się w uporze. Przynajmniej tyle żydostwa przejąłem po Jechielu Fajnerze. W lipcu trzydziestego dziewiątego widziałem ojca ponownie. Odbywało się rodzinne spotkanie z okazji przyjazdu Charojzy i Naftala z Palestyny. Bo Naftal, który głosił, że prawdziwym Żydem można być tylko w Palestynie, wkrótce po śmierci Chaimka zabrał Charojzę do Ziemi Izraela. Dawid i Abramek już tam się urodzili. A po siedmiu latach Naftalowi i Charojzie zachciało się przyjechać na wakacje do Polski. Pokażą synom żydowską Łódź, postano wili. Pamiętam jak dziś: Naftal, opalony, wielki jak góra Synaj, opowiada przy stole, że niewiele brakowało, by statek odpłynął bez nich, bo autobus zepsuł się na pustyni w połowie drogi, cudem udało się go naprawić, resztę trasy pokonali w żółtym tempie i do Hajfy dotarli z jednodniowym opóźnieniem. „Dosłownie w ostatniej chwili wsiedliśmy na statek” – kończy i cieszy się jak dziecko. „Aj, aj, Żydzie – na to mój ojciec – nigdy nie trać wiary, Bóg na wszystko patrzy”. „Swojego w potrzebie nie zostawi” – dopowiada Chana. „Prawda, prawda” – potakują wszyscy, zgodnie kiwają się głowy pejsate i głowy ostrzyżone po gojowsku. Pamiętam ich twarze, pamiętam radość Naftala, kiedy kładł na stole odłamki skał i woreczki z piaskiem, pamiątki z Ziemi Izraela, podkreślał z przejęciem. Żydzi, którzy nie widzieli Jerozolimy ani Hajfy, nigdy nie dotknęli stopą Pustyni Judzkiej, obracają w dłoniach woreczki z Ojczyzną. Chanie jakby wróciła młodość. Nakłada na talerze Dawidowi i Abramkowi najlepsze kawałki gęsiny, największe pajdy ciasta, z rumieńcami, jakich u niej dawno nie widziałem, wyszukuje dla wnuków najśladzkie rodzynki. Mam te obrazy przed oczami, jakby zdarzyło się to wczoraj. Powracają pytania, bolesne, niepotrzebne pytania, jednak mimo upływu lat nie umiem się od nich uwolnić. Czy Jechiel, Gerszon, Hersz, Łajb, Charojza, Naftal, Dawid i Abramek powinni Chanie zazdrościć – oczywiście, zazdrość w kontekście tamtych wydarzeń to kalekie słowo, ale nic

odpowiedniejszego nie przychodzi mi do głowy, zresztą nie o słowa toczyła się gra – czy więc mieliby prawo obstawać, że Chana wygrała los na loterii, skoro jako jedyna z rodziny nie doczekała Oświęcimia, poddała się pierwszego miesiąca w getcie? I pytam tego żydowskiego Boga z dwukrotnie zburzonej świątyni, pytam Izraela Rabona, którego Niemcy zabili gdzieś pod Wilnem, pytam poetkę Miriam Ulianower, która na Tłomackiem 13 czytywała nam swoje urocze wiersze, a do komory gazowej w Oświęcimiu trafiła razem z mężem, córką i kilkumiesięczną wnuczką, pytam się wreszcie same go siebie, powtarzając z tym głupim żydowskim uporem, jaki odziedziczyłem po ojcu: czy Naftal, Charojza, Dawid i Abramek naprawdę musieli w ostatniej chwili dotrzeć rozklekotanym autobusem do portu w Hajfie?

Wszystko – prawie wszystko – co mówi się i pisze o Oświęcimiu, jest prawdą. Właśnie to, dokładnie takimi słowami, po wiedziałem Michałowi. Ale o Oświęcimiu, dodałem, nie da się powiedzieć wszystkiego. Żeby w pełni zrozumieć, czym był Oświęcim, trzeba było samemu tam być. Na początek powiem o wzorowej organizacji. Bywały tygodnie, zwłaszcza na przełomie wiosny i lata czterdziestego czwartego roku, gdy codzienne transporty liczyły sześć tysięcy osób. Ten problem – te sześć tysięcy osób wysiadających z wagonów o jednej godzinie na rampie oświęcimskiej – musiał być jeszcze tego samego dnia szybko i efektywnie rozwiązany. Następnego dnia przyjedzie kolejne sześć tysięcy, do tego czasu w obozie muszą zapanować ład i porządek. Czynnikiem decydującym w istotny sposób o wzorowej organizacji całego procesu byliśmy my, członkowie Sonderkommanda. Do Sonderkommanda, do specjalnego oddziału roboczego, Niemcy wybierali młodych, silnych Żydów. Praca w obozie zagłady – jakakolwiek praca – to przepustka do życia. Czym jest Sonderkommando, więzień dowiadywał się dopiero pierwszego dnia pracy. To było ciężkie zajęcie. Do ta kich obowiązków człowieka nie można przygotować fizycznie ani psychicznie. Robiliśmy, co nam kazano, byliśmy obowiązkowi, chociaż nikt z nas się nie łudził, że obowiązkowość w t e j pracy równa się gwarancji przeżycia. Nawet bezprzykładna pracowitość i obowiązkowość nie czyniły cię bardziej przydatnym od innych. Nie byłeś niezastąpiony. Zwijając się jak muchy w ukropie, żeby nazajutrz nie pozostał ślad po tych kilku tysiącach z ostatniego transportu, każdy z nas miał świadomość, że jutro może go spotkać ten sam los. Ale „jutro” jawiło się nam jako odległa przyszłość. Liczyło się „dzisiaj”. Myślenie takimi kategoriami dawało złudne przeświadczenie, że przez najbliższych kilkanaście godzin jesteśmy panami własnego losu. „Dla czego ja to robię?”. Po dniu pracy w Sonderkommandzie nikt nie stawiał sobie tego pytania.

Oświęcim był nową rzeczywistością. Wcześniej nikt o niczym podobnym nie słyszał. Na Oświęcim nie sposób było się zawczasu przygotować. Wszystkiego należało się uczyć na miejscu. Dopiero tam przekonywałeś się, jak wielka w człowieku jest chęć życia. Do czego jesteś zdolny, byle przeżyć kolejny dzień. Aby zwiększyć szansę przeżycia w Sonderkommandzie, musieliśmy zobojętnieć. Więc mówiłeś sobie: ktoś to musi robić, na moje miejsce znajdzie się dziesięciu chętnych. Dziś ty, jutro ja. I bojąc się tego jutra, bo dalej nasza wyobraźnia nie sięgała, maszerowaliśmy codziennie na kolejową rampę, by jak najlepiej wywiązać się z wyznaczonej roli. W nie które dni całe transporty kierowano do komór gazowych. Jeżeli Niemcy potrzebowali robotników, to już na rampie przeprowadzali selekcję. W kilka sekund decydowało się, czy idziesz na lewo, czy na prawo. Obozowa orkiestra złożona z więźniów ładnie przygrywa. Na boisku więźniowie uganiają się za piłką. Oj, chyba nie będzie tu tak źle, myślą sobie Żydzi przywiezieni z Rumunii, Słowacji, Węgier, Francji, z polskich miast i miasteczek. Teraz pójdziecie się wykapać, informują esesmani więźniów uznanych za niezdolnych do pracy, wykąpiecie się, mówią uprzejmie, dostaniecie przydział do baraków, a potem was nakarmimy. Niemcy to doskonale zorganizowany, praktyczny naród, ład i porządek stawiają wysoko; pojęli, że podstępem szybciej osiągną cel. Po co narażać się na nieprzyjemne sceny, na takie paskudne widoki, które mogą śnić się po nocach? Więc mając to na uwadze, mówią: „teraz pójdziecie do dezynfekcji”, a my, członkowie Sonderkommanda, potwierdzamy, patrząc Żydom prosto w oczy, tak, teraz idziecie pod prysznic, ubranie złóżcie porządnie i zostawcie w jednym miejscu, żebyście potem nie musieli szukać. Ci Żydzi po wyjściu z pociągu wyglądali na okropnie zagubionych. Czy oni życzyliby sobie wiedzieć, co ich czeka? Czy nie dosyć ostatnio mieli nieprzyjemnych przeżyć?

Niektórzy – wiem, co mówię, w obozie wielu takich spotkałem – dopiero niedawno się dowiedzieli, że urodzili się pod złym adresem. Spadło to na nich jak grom z jasnego nieba. Przez całe lata żyli sobie spokojnie, w paszporcie mieli wstemplowane „Francuz”, „Słowak”, „Polak”, „Węgier”, i raptem ktoś wyciąga jakiś papier, a tam podobno stoi czarno na białym, że to żaden Francuz, Polak, Słowak czy Węgier. Krótko mówiąc, oszustwo, na szczęście oszustwo w porę zostało zdemaskowane, dla dobra całego świata prawdę wydobyto na światło dzienne. A prawda jest taka, że w żyłach fałszywego Francuza czy Węgra płynie zła krew. Hochsztapler nie zdołał ukryć, że krew w połowie, w jednej czwartej czy w jednej ósmej ma skażoną, a skoro, wiadoma rzecz, zła krew niczym trucizna zatruwa zdrowe członki, trzeba, jakżeby inaczej, taką złą krew wytoczyć, odsączyć truciznę do ostatniej kropli, a jeśli innej rady nie ma, chore członki

ciach! ciach! A że zabieg można przeprowadzić w sposób sterylny? Przy właściwej organizacji pracy nie trzeba sobie nawet ubrudzić rąk? Tym lepiej! Tak więc, powiedziałem Michałowi, wobec więźniów prowadzonych do komór gazowych zapobiegli wi Niemcy – jeśli nie zachodziła ku temu potrzeba – rzadko uciekali się do kopniaków i karabinów. Doktor Mengele gwizdał – całkiem udanie – walca Straussa, obozowa orkiestra grała rytmiczną marszową melodię, uprzejmy esesman wskazywał drogę. No, umyjecie się wreszcie po tylu dniach podróży, żegnał ich życzliwie, kiedy zamykał za nimi szczelne metalowe drzwi. Tylko się nie poparście wrzątkiem, przestrzegął, jeżeli akurat humor mu dopisywał. Potem nakładał maskę gazową, przez otwór w dachu wsypywał cyklon B w kostkach, zamykał otwór i czekał. W takiej komorze mieściło się nawet dwa i pół tysiąca osób. Komory miały grube ściany, ale najgrubszy mur nie wyciszy krzyków tylu ludzi. Po dwudziestu minutach lekarz obozowy zaglądał do środka przez wizjer w drzwiach. Gotowe. Otwierano drzwi, w ruch szły wentylatory. Wietrzono pomieszczenie. Teraz kolej na nas. Wchodzisz i pierwsze, co widzisz, to zbity tłum. Stoją jak posągi. Bo w tej ciasnocie oni nie mieli na wet gdzie się ruszyć. Wynieść te dwa i pół tysiąca ciał to robota przynajmniej na dziesięć godzin. Jak ostygły, twardniały na kamień. Ciężko było to kłębowisko rozplątywać. Pracowaliśmy, podzieleni na ekipy. Jedni wyciągali ciała na zewnątrz, inni ładowali je do wind krematorium, inni wreszcie wsadzali do pieców. Perfekcyjna organizacja. Niemcy niczego nie zaniedbali. Nim minęły dwadzieścia cztery godziny, z transportu zostawał popiół. Przychodzi chwila, że patrzysz na ten popiół i dopada cię myśl, że jutro, pojutrze też tak będziesz wyglądał. Bo przecież z Sonderkommanda nikt nie ma prawa przeżyć. Nie może się zachować najmniejszy ślad. Właśnie od takiego myślenia musisz się opędzać! Mam robotę do wykonania, tak należy myśleć. Jak Niemcy cię przejrzą, jeszcze tego samego dnia trafisz do pieca. Pracuj. Do rana trzeba popiół usunąć, potem na glans wyczyścić komory gazowe; zanim zeskrobiesz z betonu fekalia i wymiociny, zapada głucha noc. Przed przybyciem następnego transportu dobrze by chociaż umyć ręce, coś zjeść i przespać się kilka godzin.

Pewnego dnia, powiedziałem Michałowi, przyjechał w tran sporcie więźniów pan Pucherek. Patrzę i oczom nie wierzę! Przez te prawie czternaście lat, jakie przeżyłem w Łodzi na Bałutach, pana Pucherka widziałem na ulicy może z dziesięć razy. On wychodził z domu od wielkiego święta. Spotkać pana Pucherka dalej niż sto metrów od kamienicy to była rzadkość. Więc przy rampie szczypałem się i przecierałem oczy. Pan Pucherek w obozie koncentracyjnym? Setki kilometrów od mansardowe go mieszkanka

przy ulicy Południowej? Z trudem mieściło się w głowie. Na dodatek okazało się, jaki z niego goj! Piłsudczyk, a jakże, weteran pierwszej wojny światowej, ale goj? Żyd w stu procentach! I przez tyle lat krył się z tym swoim żydostwem na żydowskich Bałutach. Widać dokuczało mu nie mniej niż prze strzelona noga. Może panu Pucherkowi – głowie się nad tym do dzisiaj – naprawdę udało się wymazać z pamięci to swoje żydostwo? Tak bardzo się starał, tak się zapierał, że faktycznie zapomniał, pod jakim adresem się urodził? No, ale takie morze trucizny, całutkie sto procent żydowskiej krwi, nawet najgłupszy Niemiec potrafił wykryć. Nas nie oszukasz. Wydobyli na światło dzienne Pucherkowe żydostwo i pokazali, gdzie miejsce takich jak on. I wiedziałem, że trafiwszy do Oświęcimia, pan Pucherek nie musi już niczym się martwić. Jego przyszłość: selekcja, dezynfekcja, piec, została dawno zaplanowana, przećwiczona setki tysięcy razy. A tu, proszę, okazuje się, że stary, kuśtykający Pucherek jeszcze się Niemcom przyda. Obozowa orkiestra straciła dwóch trębaczy, ktoś taki jak Pucherek spadł im jak z nieba. W orkiestrze, która zagrzewa więźniów do pracy, zmusza zdechłaków w pasiakach, by dziarsko wyciągali nogi w marszu, mocna czysta trąbka odgrywa trudną do przecenienia rolę. Poza tym esesmani w wolnych chwilach lubili posłuchać muzyki w wykonaniu profesjonalistów. Który Niemiec nie kocha Wagnera? Niektórzy po pracy sami muzykowali. Więc już na rampie spojrzeli na mizernego Pucherka łaskawszym okiem. Naprawdę grałeś w orkiestrze symfonicznej? Grałem. Na trąbce? Na trąbce także. Więc dali mu do ręki instrument i Pucherek zdał egzamin celująco. Inni muzycy mówili, że Pucherek jest obdarzony słuchem absolutnym. Potrafił zagrać każdy utwór z repertuaru obozowej orkiestry. Marsze wojskowe, kompozycje Beethovena, Schumanna, Griega, Mahlera, Wagnera, Mozarta. Miał w sobie zadatki na multiinstrumentalistę. Waltornia? Bardzo proszę. Puzon? Mogę spróbować. I puzon stawał się dopełnieniem pana Pucherka, naturalnym przedłużeniem rąk i nadętych policzków, jakby z ciała pana Pucherka – które, formalnie biorąc, nie stanowiło już jego własności – na naszych oczach wyrastał zaczarowany konar. Panu Pucherkowi nie sprawiało różnicy, czy gra na trąbce, puzonie czy waltorni. Niemieckie marsze wojskowe wygrywał z równą werwą, co Wagnera i Rossiniego. Sekret polegał na tym – jeżeli w sprawie oczywistej użycie tego słowa nie jest nadużyciem – że muzyka była jego jedynym żywiołem. Jednak talent ani przydatność w obozowej orkiestrze ostatecznie nie mogły przesłonić tego, że pan Pucherek jest starym Żydem. To niektórych Niemców kłuło w oczy. Stało w sprzeczności z oświęcimską logiką, o średniej wieku w obozie nie wspominając. Porucznik Lepke w cywilu był ponoć

nauczycielem muzyki. Jeżeli czas mu pozwalał, za chodził na próby, pogwizdywał oparty o framugę drzwi. Kiedy miał w czubie, siadał przy pianinie i improwizował. Nie opuścił żadnego z niedzielnych koncertów dla więźniów. Podczas jednego z nich – była to dopiero druga niedziela pana Pucheka w Oświęcimiu – porucznik Lepke nakazał orkiestrze grać Marsz pracy w obozie koncentracyjnym. Marsz skomponował jeden z więźniów specjalnie dla obozowej orkiestry. Rzecz jasna nie jest to jeden z tych utworów, jakie każda orkiestra świata ma w swoim żelaznym repertuarze. Więc pan Puchek rozłożył nuty na pulpicie i założył okulary. Porucznik Lepke podchodzi i okulary mu strąca. „Czemu nie grasz?”. „Bez okularów nie widzę nut”. „A bez nut nie potrafisz?”. „Tego utworu – odpowiada obdarzony słuchem absolutnym pan Puchek – nigdy jeszcze nie słyszałem”. „Nie nauczyli cię Marsza pracy w obozie koncentracyjnym? To co ty, Żydzie, potrafisz grać?”. Pan Puchek wstał i wyprostowany spojrzał porucznikowi Lepke w oczy. Potem podniósł do ust trąbkę i na stojąco zagrał. No, taki ta lent zdarza się raz na sto lat. Te dźwięki, dźwięki z Puchekowej trąbki, trafiały prosto do serca. Nie było Żyda, który by melodii nie rozpoznał. Nawet goj by usłyszał w odegranym na trąbce Szalem Alejchem szabasowe pozdrowienie, skwierczenie szabasowych świec, wieczorne błogosławieństwo nad kielichem szabasowego wina. W oświęcimską niedzielę pan Puchek swoją trąbką wyczarował nam żydowskie święto, prawdziwy szabat – za wszystkie nieodbyte szabaty oświęcimskie. „Co to za melodia?” – pyta porucznik Lepke, kiedy Puchek skończył. „Nasza, żydowska” – odpowiada pan Puchek. „Za coś takiego – mówi porucznik Lepke i bawi się pistoletem – to po winienem ciebie zastrzelić”. Chyba tylko ja, który znałem pana Pucheka jeszcze sprzed Oświęcimia, zdałem sobie sprawę, że przed porucznikiem Lepke stoi odmieniony Puchek, na pewno nie ten, który skrywał się przed światem w mansardowym mieszkanku na Bałutach. „Panie Lepke – przemówił („panie” Lepke zamiast „poruczniku” Lepke, jakby na dowód, że kie ruje swoje słowa nie do konkretnego porucznika Lepke, ale do wszystkich, absolutnie wszystkich Niemców) – ja bardzo pana proszę, panie Lepke, by się pan nie zawahał. Niech panu ręka nie zdrzży, gdy będzie pan pociągał za spust. Bo uśmiercić jednego Żyda to dopiero początek. Zabić wszystkich Żydów – to jest zadanie. Jak ja pana rozumiem... Tyle zła pleni się na świecie, i podobno za całe to zło my, Żydzi, ponosimy odpowiedzialność. Więc skoro świat miałby dzięki temu stać się lepszy, skoro w taki stuprocentowo gwarantowany sposób Żydzi i Niemcy – co prawda każdy z dwóch narodów na inny sposób – mogą się do ulepszenia świata przyczynić, to tu naprawdę nie ma nad czym

rozdziarać szat. Ja, zwykły Żyd, bardzo bym nie chciał stawać światu na drodze do szczęścia”. Pan Pucherek wygłosił tę mowę pięknym literackim niemieckim, skończył, lecz nie siadał. Porucznikowi Lepke drżała ręka. Ale nie miał wyboru. Bo tymczasem na plac zbiegli się chyba wszyscy obozowi esesmani i zrobiło się widowisko. Komendant zakazał sprzątać ciała. Dla przykładu. Więc pan Pucherek przeleżał na głównym placu apelowym przez noc do rana. Trafił do pieca z popołudniowym transportem. Poniewczasie wyrzucałem sobie, że przez czas pobytu pana Pucherka w obozie nie zdobyłem się na to, by podejść i mu się przypomnieć. Może miał wiadomości o losie rodziców i rodzeństwa? Nade wszystko jednak zasługiwał, by wiedzieć, że kiedy tak stał twarzą w twarz z panem Lepke, kiedy z wprawą urodzonego talmudysty prowadził z Niemcem żydowski dyskurs aż do swego ostatecznego zwycięstwa, przy najmniej dla mnie jednego nie pozostawał anonimowy.

W sierpniu czterdziestego czwartego roku Niemcy przystąpili do likwidacji obozu. Rosjanie deptali im po piętach. Likwidacja obozu, wyjaśniłem Michałowi, oznaczała zacieranie wszelkich śladów: niszczyli dokumentację, wysadzali komory gazowe i krematoria, opróżniali doły z ludzkimi prochami, rozbierali baraki, palili ubrania skremowanych więźniów – ubrania, rzeczy osobiste i włosy, których nie zdążyli wysłać do Rzeszy. No i, oczywiście, musieli się pozbyć pozostających przy życiu więźniów. Poczynając od członków Sonderkommand – w końcu oni widzieli najwięcej. Dla nas nigdy nie było tajemnicą, co nas czeka. Ale teraz, kiedy Niemcy dostawali łupnia, kiedy szykowali się do ucieczki, nasze oczekiwania wobec życia wzrosły. Przeżyć jeszcze jeden dzień – to już nikomu nie wy starczało. Każdy chciał doczekać kłęski Niemców. Dać się zabić, skoro już niedługo będzie można dobrać się Niemcom do skóry? Z dziewięciuset więźniów, którzy pod koniec lata pracowali w Sonderkommandach, esesmani do października zlikwidowali około dwustu. Więc reszta dobrze wiedziała, na co się zanoszą. Przygotowaliśmy się, jak kto mógł. Młotki i siekiery to żadna broń, ale zaskoczenie było kompletne i wielu wy dostało się za obozowe druty. Rozumowaliśmy tak: jeżeli zginę, to w walce; jest nas siedmiuset, więc przynajmniej niektórym powinno się udać. Kiedy Niemcy uśmierzyli bunt, przy życiu pozostało nas ze dwie setki. W połowie stycznia Niemcy zarządzili ewakuację obozu. Doszli do wniosku, że sytuacja wymknęła się im spod kontroli, do nadejścia Rosjan nie zdążą zlikwidować reszty więźniów i uciec. Więc te kilkadziesiąt tysięcy postanowili pognać w głąb Rzeszy. Nas, niedobitków z Sonderkommand, zostało wtedy jeszcze trzydziestu, może czterdziestu. Ci, którzy jak ja wmieszali się w szeregi wyprowadzanych więźniów, uniknęli

rozstrzelania. Korzystając z chaosu, jaki towarzyszył ewakuacji – bo Niemcy myśląc przede wszystkim o sobie, dbając bardziej o własną skórę niż o niemiecki ordnung, nie byli w stanie upilnować tych kilkudziesięciu tysięcy – pod czas przemarszu nocą, mniej więcej trzydzieści kilometrów za Oświęcimiem, zaryzykowałem ucieczkę.

W tym miejscu relacji, powiedziałem Michałowi, dochodzę do punktu wyjścia: dlaczego opowiadam o Oświęcimiu. Jestem to winny tym, którzy nie przeżyli? Bo chociaż pamięć o nich musi ocaleć? Oczywiście, prawda. Ale czy ktoś mnie pytał o zdanie? Czy ktokolwiek zapytał, czy chciałbym to wszystko pamiętać? Czasem któryś z tych gazowanych jakimś cudem przeżywał, i wtedy jeszcze żywego Niemcy kazali wrzucać do pieca – po co marnować gaz. Gdyby to leżało w mojej mocy, postarałbym się zapomnieć. Odgrodzić się od Oświęcimia mu rem, który by wszystko zasłonił. Znałem nielicznych, którzy twierdzili, że im się udało. Dlaczego ja przy moim żydowskim uporze miałbym nie podolać?

W połowie sierpnia czterdziestego czwartego przywieź li ojca. To był jeden z ostatnich transportów. Wcześniej do chodziły nas słuchy, że z łódzkiego getta wywożą głównie do obozu w Chełmnie nad Nerem. Oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że tych z Chełmna też zagazowywano. Getto w Łodzi Niemcy zlikwidowali jako ostatnie. I jakimś dziwnym zrządzeniem losu stary niezaradny Jechiel Fajner przetrwał getto, ominęły go wywózki do Chełmna, nie zabiły go tyfus ani głód. Żeby się go pozbyć, Niemcy musieli się wykosztować i po ślać starego do Oświęcimia. Zobaczyłem go, kiedy po wyjściu z wagonu stał w kolejce do selekcji. Nie widziałem przy ojcu Chany ani żadnego z braci, ani Charojzy z Naftalem i synami. Sama selekcja to formalność. Obóz w likwidacji, nie potrzeba dodatkowych rąk do pracy. Więc pod eskortą esesmanów, przy naszej asyście, te sto procent prosto z rampy jest prowadzone do komór. Teraz czeka was kąpiel, przejście dezynfekcję, potem dostaniecie przydział do baraków. Esesmani klepią starą śpiewkę, my im wtórujemy: nie rozrzucajcie ubrań, żebyście potem nie musieli szukać, rzeczy wartościowe oddajecie do depozytu. Ojciec mnie poznał. Spoglądamy na siebie przez kor don esesmanów. Pilnują, bliżej nie podejdziesz. No, Żyd potrafi czekać. Jechiel Fajner całe życie czekał, żeby Bóg przemówił do niego z żydowskich liter. Więźniowie z transportu przynaglani przez esesmanów zaczynają się rozbierać. Powstaje straszne za mieszanie. Bo czy to nie grzech, że bogobojna Żydówka, która przez trzydzieści lat kładła się do małżeńskiego łóżka w nocnej koszuli i pod osłoną ciemności, obnaża się przy obcych mężczyznach? Dobry Boże, biadola, to się nie mieści w żydowskiej głowie, by kazać Żydowi stawać z

odkrytym przyrodzeniem naprzeciw czystej dziewczyny! W tym zamieszaniu udało mi się do ojca podejść. No, ale to były już ostatnie chwile. Rozebranych Niemcy zaganiali do łaźni. Pod prysznic, ponaglą, nie wy jedni chcecie się wykąpać. Więc pędzą ich pod te niby prysznic. Zanim ojciec zniknął mi z oczu, zanim przepadł w tej masie zgarbionych pleców i bladych pośladek gnych do komory gazowej, odwrócił głowę i powiedział jedno słowo: „Później...”. Obaj wiedzieliśmy, że to „później” to nawet nie jest pobożne życzenie, żadne „później” w Oświęcimiu nie ma prawa się zdarzyć. Byłem mu wdzięczny, bo mnie uwolnił od uciekania się do kłamstwa. To „później” to był ojca kadysz i amen. Po prawie dwudziestu pięciu latach przerwał milczenie. Ale te dwadzieścia pięć lat wciąż tkwiło między nami. Nie ma słowa, które by to mogło w jednej chwili odmienić. W drodze pod niemiecki prysznic ojciec sam za siebie odmawiał kadysz, mówił „niech tak się stanie”. Cóż innego pozostaje wierzącemu Żydowi, którego Bóg narodowi wybranemu zafundował niewolę babilońską, niewolę egipską, dwukrotne zburzenie świątyni i masakrę w Masadzie? Więc sam za siebie odmawiał kadysz, pogodzony z losem powtarzał „amen”, lecz dla mnie nic nie mógł zrobić. Pozostawiał mnie z pytaniami. O co bym go za pytał? Na pewno nie o to, na co komu te piece ani jaki sens miał Oświęcim albo co komu przyszło ze śmierci Dawida i Ab ramka; wobec takich pytań nawet dwunastu najmądrzejszych rabinów tylko by się podrapało po głowach. Ja, Jochanan Fajner zapytałbym Jechiela Fajnera, czy w tym jego „później” kryła się również obietnica pojednania i nowego przymierza, nasze prywatne Święto Kuczok na pamiątkę wyjścia z dwudziestopięcioletniej niewoli nienawiści. O to właśnie, chociaż może innymi słowami, zapytałbym ojca.

To już koniec całej historii, powiedziałem Michałowi. Teraz zostaw mnie samego. Będę się modlił. Jeżeli masz życzenie, zostań, dodałem na widok jego miny. Mojemu żydowskiemu Bogu obecność goja nie przeszkadza. Mówię „mojemu”, bo dochodziłem do Niego na swój własny sposób. Z Bogiem Jechiela Fajnera, z tym skrupulatnym Bogiem buchalterem, który zniewolił Jechiela Fajnera, który kazał zdawać rachunek z przeczytanych stron Pisma, który nakazywał liczyć kroki w szabat, który po trafił ukarać całe miasto za jeden błąd w przepisanej Torze, Bogiem, przez którego Chana urabiała sobie ręce po łokcie, byle tylko uczony w Piśmie Jechiel Fajner dostał nowe okulary, byle po nocach mógł czytać do woli pobożne księgi przy lampie naftowej – z takim Bogiem nie chciałem mieć nic wspólnego. Ja mu nie odbierałem prawa istnienia! Niechby nadal robił swoje, byle mnie nie wchodził w drogę. Bez takiego Boga z powodzeniem się obęde. Oświęcim to dla wierzących Żydów fatalny czas. Bo i co

najlepszego On nam zgotował? Naród wybrany od tysięcy lat czekał na przyjście Mesjasza, a Jemu spodobało się zesłać Hitlera. Więc niejeden rabin, niejeden pobożny Żyd z dnia na dzień tracił wiarę. Ze mną stało się na odwrót. Uczepiłem się myśli, że Bóg jednak istnieje. Bo inaczej Oświęcim tracił sens. Zostawał pomniejszony do przypadku. Miałbym uwierzyć, że Oświęcim, Terezin, Majdanek, Chełmno były niczym innym jak naturalnym kataklizmem? W takim razie śmierć Chany, Jechiela, Dawida, Abramka, śmierć pana Pucherka, były bezcelowe. Przyszedł huragan i po prostu ich zdmuchnął. Huragan zdmuchnął z powierzchni ziemi miliony Żydów, którzy przypadkiem znaleźli się na jego drodze. Ja odmawiam sobie prawa w coś takiego wierzyć! Może Oświęcim był Bogu do czegoś potrzebny? Może stanowił część jakiegoś planu, krył zamiar, którego nie potrafimy odczytać? Ostatecznie gotów jestem dopuścić możliwość, że Bóg najzwyczajniej w świecie przegapił Hitlera i Oświęcim. Kiedy zobaczył, do czego dopuścił, to – tak sobie myślę – z tego wstydu i żalu przynajmniej nad panem Pucherkiem zapłakał, żal mu się zrobiło Fajnerów, Nombergów, Danielewiczów, tylu milionów zmarnowanych Żydów i gojów.

23.

ÓSMEGO marca rano dziadek Michał wyszedł do kiosku po gazetę i przechodząc przez jezdnię, wpadł pod samochód. Z wiadomością zadzwonił do mamy do pracy Tadeusz, brat ojca. Babcia Natalka ponoć wyrzuca sobie, że to ona ściągnęła na dziadka nieszczęście. Że dziadek tak naprawdę wybrał się do kwaciarni. Wiadomo, ósmy marca. Mama, powtarzając przy sąsiadkach rozmowę z Tadeuszem, nie kryła ironii. „Po kwiaty – powtarzała zgrzyźliwie – prędzej po pół litra!”. Prze mawiała przez nią złość. Kogo miała obwiniać za swoje zmarnowane życie, jeśli nie Michała i Natalkę? To oni wychowali syna na bandytę i pijaka. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pani Bednarczyk niespodziewanie wzięła stronę babci Natalki. „Ja bym nie potępiała wszystkich mężczyzn w czambuł – przekonywała. – Przedwojenne pokolenie to byli jednak mężczyźni z kindersztubą”. Nie wiedziałem, co to kindersztuba. Zofia Bodler chyba także nie miała o tym pojęcia, bo zaczęła dowodzić przed panią Bednarczyk, że dziadek ukończył tylko cztery klasy szkoły podstawowej.

Wracając do feralnego piątku. Cokolwiek skłoniło dziadka Michała do wyjścia, na przejściu dla pieszych, niespełna sto metrów od domu, potrafił go samochód.

Przyjechało pogotowie. Z wypadku wyszedł prawie bez szwanku, doznał jedynie powierzchownych obrażeń. Jednak na skutek stresu dostał ataku serca. W drodze do szpitala zmarł. „Przy takiej nadwadze prosił się o zawał” – zawyrokował mędrzek z pogotowia. Jakby dziadek był sam sobie winien. Obzerałeś się, to teraz masz. Jak by nabijał sobie kałdun z łakomstwa, gdy tymczasem, dobrze wiedziałem, winne było te pięć wojennych lat w niemieckiej kopalni, to tam nauczył się jeść na zapas przy każdej sposobności. „W końcu to twój dziadek – powiedziała Zofia Bodler. Pójdiesz na pogrzeb” – oznajmiła z miną cierpiętnicy. Reszta to stara śpiewka: „Ja mu dawno wybaczyłam swoją krzywdę, może i Bóg mu przebaczy”. Dziadek zmarł ósmego marca w piątek, pochówek wyznaczono na poniedziałek. Ciało wystawiono w kaplicy w otwartej trumnie. Pierwszy raz widziałem dziadka Michała w garniturze i białej koszuli. Ledwo go poznałem. Musiałem podejść bliżej. Z uszu wystawały mu znajome kępi włosów. Żałobników można było policzyć na palcach obu rąk. Ojciec nie przyjechał, nie dostał przepustki z więzienia. Babcia Natalka także nie przysłała: od piątku tak zaniemogła na nogi, że prawie nie wstaje z łóżka. Mirek i Danka trochę mi zazdrościli – im nie trafił się jeszcze pogrzeb w rodzinie. Nie mówiąc o tym, że rodzony dziadek liczy się dużo wyżej niż stryj czy kuzyn. Kiedy patrzyłem, jak trumnę spuszczają do grobu i potem przysypują ziemią, dotarło do mnie, że ja z takiego myślenia wyrosłem. Wujek Tadeusz miał oczy czerwone jak królik. Rodzone siostry dziadka, dwa monumentalne ciała wbite w czarne kostiumy, wylewały łzy w chusteczki. Kogo właściwie bardziej żałować? Naszły mnie wątpliwości. Dziadka, bo zakopali go na tak zwaną wieczność? Może ojca? A babcia Natalka? Z okna mieszkania ma widok na betonowe podwórko – na wprost ściana sąsiedniej kamienicy, po lewej stronie przedwojenna przybudówka z powojennymi toaletami, po drugiej szereg zdewastowanych piwnic. Beton, asfalt, kurz. Próbowali posadzić drzewa, ale nawet topole się nie przyjęły. Słońce nie dochodzi.

– To tutaj – powiedział Tadeusz.

Wracaliśmy z pogrzebu. Po wyjściu z tramwaju ostatnie sto metrów pokonywaliśmy pieszo. Nie wiem, co spodziewałem się zobaczyć, ale doznałem zawodu: zatarte białe pasy na jezdni, nic ponadto.

– Dokładnie w tym miejscu – powtórzył Tadeusz, kiedy doszliśmy do feralnego przejścia dla pieszych. – Gdyby nie gnał jak wariat, toby zdążył przed pasami wyhamować.

Stanęliśmy przed domem dziadków. Tadeuszowi zebrało się na wspomnienia. Pewnie przez ten pogrzeb. „Przy tym drzewie – powiedział i cofnął się tyłem do jezdni,

żeby pokazać przyciśniętą do muru wiekową lipę, którą osłania od strony chodnika półokrągła metalowa barierka – przy tym drzewie – powiedział – Niemcy zastrzelili mojego dobrego przyjaciela. Prawie całe Bałuty to wówczas było getto. Niemcy spędzili tu Żydów z Łodzi i okolic. Limanowskiego postanowili wyłączyć z obszaru żydowskiej dzielnicy. Zrobili tu arterię przelotową. Niby żeby usprawnić komunikację, żeby Polacy nie musieli nadkładać drogi i okrążyć getta, ale głównie, myślę, dla własnej wygody. Limanowskiego, dla nich Alexanderhofstrasse, od dzielili od getta zaporami i zasiekami z drutu kolczastego. Dla pewności ustawili wojskowe posterunki. Żydom za druty wstęp wzbroniony. Nad Limanowskiego, przy dawnej Masarskiej, Niemcy przerzucili specjalną drewnianą kładkę. Dla mieszkań ców getta. Zależało im, by w obrębie wyznaczonej dzielnicy Żydzi mogli się szybko przemieszczać. Względy ekonomiczne. W końcu getto to była jedna wielka fabryka pieniędzy. Niemcy mieli w Żydach darmową siłę roboczą, i wszystko w getcie: transport, dostawy, komunikacja, było podporządkowane zyskowi, wszystko w tej niewolniczej fabryce musiało działać jak w zegarku. Koniom Niemcy dawali jeść, bo inaczej by padły, a koni było mało. Z Żydami się nie cackali. Jak który umierał, na jego miejsce mieli trzech innych. Bądź co bądź zagonili tu całą żydowską Łódź plus Żydów z okolicznych miejscowości. Ten mój kolega nazywał się Stefan Chwedczuk. Mieszkał z rodzicami dwa domy dalej. Robotnicza rodzina, katolicy z dziada pradziada. Stefan miał czarne kręcone włosy, prawda, ale nawet kropki żydowskiej krwi, z urody nie przypominał Żyda. Był ode mnie trzy lata starszy. W czterdziestym pierwszym miałem skończone szesnaście lat, twój ojciec trzynaście. Stefan mnie i Kazika bardzo lubił, chociaż z młodszymi od siebie nie miał zwyczaju się zadawać. Przepadał za muzyką, a twój ojciec ładnie grał na akordeonie, ja trochę rzępoliłem na skrzypcach – może dlatego dopuścił nas do swojej paczki?

Lubił się bawić – śpiewy, potańcówki, żadnej zabawy nie przepuścił. Straszny był z niego chojrak. Tą częścią Bałut to on rządził. Nie żeby jakiś złodziej czy bandyta, po prostu nie dawał sobie w kaszę dmuchać. Na Żydów był strasznie cięty. Potrafił, ot, tak, wybić szyby w bóżnicy, a jak zdarzyła się okazja, to i przetrzepał Żydowi skórę. Aż zakochał się w jednej Żydówce i wszystko mu się w głowie poprzestawiało. Biegał za nią jak pies za własnym ogonem. Kiedy tę jego Esterę zabierali do getta, to uparł się, że z nią pójdzie. Rodzice musieli Stefka upić, inaczej by go w domu nie utrzymali”.

Wchodziliśmy już po schodach. Przy Tadeuszu trzeba zdrowo wyciągać nogi. Nawet się nie zasapał – trzy lata w Marynarce Wojennej to dobra zaprawa. Tymczasem wracamy do okresu okupacji, do roku czterdziestego pierwszego, kiedy Tadeusz

skończył szesnaście lat i kiedy wydarzyła się ta historia ze Stefkiem Chwedczukiem. „Ledwo Stefek wytrzeźwiał – mówi Tadeusz – pozabierał z domu, co nadawało się do jedzenia, i zniknął. Wrócił po czterech dniach. «Gdzie byłeś?». «Nie wasza sprawa». Od słowa do słowa okazało się, że przekradł się do getta. Od tego czasu robił takie wypadki mniej więcej raz na dwa tygodnie. Po aryjskiej stronie organizował jedzenie, ubranie, środki czystości, z całym tym majdanem przechodził do żydowskiej dzielnicy. Ale jak tego dokonywał, to już przed nikim się nie zdradził. Łódź nie była skanalizowana, tu, na Bałutach, nie było jak w Warszawie kanałów, którymi odbywała się komunikacja między gettem a resztą miasta. Getto od Limanowskiego odgradzały zapory i zasieki z drutu kolczastego, to już chyba mówiłem, no i była ta drewniana kładka. Pilnowały jej wojsko we posterunki. Nawet mysz nie miała prawa się prześlizgnąć. Ale nie na darmo mówiło się, że dla Stefka Chwedczuka nie ma rzeczy niemożliwych. Żartowano, że jakby się uparł, to po sznurówce wszedłby na wieżę ratusza. No i tak kursował tam i z powrotem przez trzy miesiące. Czasem ryzykował i zostawał w getcie dłużej. Zawsze jednak wracał, musiał zgromadzić nowy prowiant. I zaraz pędził do tej swojej Żydówki. Nie było na nie go siły. Zobacz tylko, jak głupio zginął. Szedł Limanowskiego, na chodniku sporo ludzi, bo do godziny policyjnej jeszcze dobre dwie godziny; w tym miejscu, gdzie teraz jest przystanek tramwajowy, napatoczył się na żandarmów. Niemiecki żandarm to w tamtych czasach nie nowina, ale ci akurat jego sobie upatry li. «Ty jesteś Żyd!» – mówią. Pewnie przez te czarne kręcone włosy. Wyjmuje dokumenty – ausweis miał doskonale podrobiony, nie do rozpoznania, ale kieszenie pełne trefnego towaru; pokazuje krzyżyk na szyi, a oni swoje: «Juden!»). Daleko nie uciekł. Puścili za nim kilka serii i pod domem, przy tym drze wie, upadł, jakieś siedem metrów od bramy. Chłopaka podziurawili jak sito, a drzewa nawet jedna kula nie drasnęła!”.

Żachnąłem się na taką puentę. Przecież nie do drzewa celo wali! Ale zmilczałem. Tadeusz kluczem otworzył drzwi, weszliśmy. Stypa. Babcia siedzi na krześle, twarzą do okna, tak jak Tadeusz rano ją posadził. W sumie jest nas tylko dwóch, dwóch żałobników – ja i Tadeusz. Siostry dziadka Michała chorują na sioniowaciznę, z cmentarza pojechały prosto do domu. Kazik w więzieniu. Tadeusz po rozwodzie, eksmałżonka zabroniła dzieciom kontaktować się z rodziną ojca, nie puściła ich nawet na pogrzeb. Więc jesteśmy ja i Tadeusz. Ledwo przyszliśmy, zjawiły się sąsiadki. Obie sprowadziły się do kamienicy jesz cze przed wojną. „My z panią Natalią i świętej pamięci panem Bodlerem byliśmy jak jedna rodzina” – mówią prawie z pretensją, jakby

odebrano im ich własność. Babcia Natalka zapatrzona w okno kiwa głową. Pięćdziesiąt lat. Trudno jej się będzie odzwyczaić. Komu teraz gotować? Przy Michale Natalka wyglądała jak Calineczka przy niedźwiedziu. A przecież to ona rządziła. Bez zgody Natalki Michał nie wypił kieliszka wódki. Posturą przypominał filmowego Flapa: pokorne ciele, dostał pstryka w nos, to jeszcze z uśmiechem przeproszał. Starowinki pokazują mnie palcami i wypytyują Tadeusza: „To twój Przemek?”. „Nie, syn Kazika. Żebyście wiedziały, jak on pięknie konie rysuje”. Z tymi końmi Tadeusz wyskoczył nie w porę. To dziadek Michał zawsze chwalił mnie za rysunki koni; „Kasz tanka Piłsudskiego jak żywa” – zachwycał się. Ale dziadka Michała już nie ma i widzę, że babci Natalce na wzmiankę o koniach zaszklily się oczy. Kiedy pytam o zdjęcia, ożywia się na krótko. Tadeusz wyszukuje w szafie znajome pękate pudełko. Oglądam zdjęcia, wybrane odkładam. „Bierz, które chcesz”. Dziwi mnie gotowość babci do rozstania się ze zdjęciami. Chociaż to, co dla niej najważniejsze, zostaje. Na oszklonym pokojowym kredensie – do którego przylega mały okrągły stół, gdzie dziadek Michał jadał posiłki i po obiedzie ucinał sobie drzemkę – na oszklonym politurowanym kredensie stoi zdjęcie ślubne dziadków. Welon i ślubny garnitur, młodość w kolorze sepii. Odkąd pamiętam, zawsze tam stało, dokładnie nad krzesłem dziadka, na wysokości jego głowy, więc, myślę, za życia babci nie zmieni miejsca, przez swą obecność nad krzesłem Michała będzie przypominać, że kogoś zabrakło, z czasem zacznie dziadka zastępować.

Tadeusz się zżyma, że babci choroba to jedno wielkie uda wanie. Że nie tyle nogi, ile głowa odmówiła jej posłuszeństwa. Nie zdradza się z tym, ale jego mina mówi za siebie. Skoro tak, sytuacja jest znacznie poważniejsza, myślę, kiedy pożegnawszy się z babcią, maszeruję na przystanek tramwajowy. Tego, co w głowie, nie da się tak po prostu usunąć. Trzeba babcię zrozumieć. Podobnego numeru dziadek Michał nigdy jeszcze jej nie wywinął. Z wyjątkiem pięciu lat przymusowych robót, nie wyjeżdżał z domu na dłużej niż dzień. Więc w jej przekonaniu za to, co się stało, ktoś musi odpokutować. „No tak – komentuje mama z kwaśną miną, kiedy zdając relację z pogrzebu, opowiadam jej również o babci Natalce. – Dziadek bez babki nigdzie się nie ruszył – przyznaje. – Mąż, że do rany przyłoż. – To ostatnie, oczywiście, z ironią. – Jeszcze kiedy z nimi mieszkalam, kilka miesięcy po porodzie, któregoś dnia przyje chał niespodziewanie dziadka kuzyn spod Warszawy. W domu nie było nic do jedzenia. A babka w fabryce, akurat tego dnia pracowała na ranną zmianę. Dziadek pieniędzy trzymany w domu nie ruszył. Bez pozwolenia Natalki nie odważyłby się wziąć z jej portmonetki dziesięciu groszy. Mnie poprosił o pożyczkę i dopiero wtedy poszedł do

sklepu. Ideał, co? A syna jak wychowali?”.

„Moim zdaniem – wyznał Tadeusz, kiedy odprowadzał mnie na przystanek, zaczął to mówić sam z siebie, najwidoczniej ta myśl od dawna mu ciążyła – moim zdaniem, powie dział – twój ojciec od tamtego lania tak się zmienił. Miał wte dy ile, trzynaście lat? Trzynaście musiał mieć skończone, bo od tego wieku Niemcy kierowali do przymusowej pracy. Boże, jak majster Zell go stłukł! Kazik przez tydzień na pupie nie mógł usiąść. Trzynaście lat, przecież to jeszcze dziecko! Żeby zdążyć do fabryki na piątą, musiał wstawać o czwartej rano, na tramwaj nie miał co liczyć. I sam pieszo prawie przez pół miasta. Opowiadał mi, jak się bał. To było tuż po zastrzeleniu Stefka Chwedczuka. «U mnie musi być porządek» – wrzeszczał niemiecki majster. «Ordnung muss sein!»). A to był kawał chłopca. Za siedem minut spóźnienia stłukł ojca niemalże do nieprzytomności. Dwóch synów stracił na froncie rosyjskim. «Tu się produkuje na potrzeby wojska» – wrzeszczał. Wyzywał od polskich sabotażystów i groził Kazikowi postawieniem przed sąd wojen ny. To jednak była wojna”.

Boże, z całej siły pragnąłem, żeby to Tadeusz miał rację! Żeby się okazało, jak bardzo się myliła świętej pamięci pani Kozłowska! Żeby prokurator Kalicki, ten od sprawy terroryzowanego pomnika nagrobnego Magdaleny S., musiał wszystko od poczekać. Nie żadna zła krew, nie urodzony bandyta – tylko, mówiąc w dużym skrócie, fatalny splot okoliczności. Usiadłem przed lustrem toaletki i zacząłem wyliczać: wojna, czyli okupacja, czyli wredny majster Zell, który stracił obu synów gdzieś pod Stalingradem, dziadek Michał zesłany na roboty do Niemiec, Stefan Chwedczuk rozstrzelany, mówiąc najogólniej, za podobieństwo, rozstrzelany na oczach mieszkańców kamienicy. Dzień w dzień chude smętne cienie po drugiej stronie zasieków, cienie padające na aryjską stronę. Gdyby młody Chwedczuk zwracał uwagę na to, jaką gębę widzi w lustrze, może żyłby do dzisiaj. Takich rzeczy trzeba jednak być świadomym. Rozłożyłem na stoliku toaletki cztery zdjęcia ojca ze zbiorów babci Natalki. Panie Bodler, mówiłem do siebie, porównując zdjęcia ojca z własnym odbiciem w lustrze, skupiając uwagę zwłaszcza na tym jednym, gdzie pozuje ubrany w czapkę i ma tyle lat, ile ja dzisiaj – wiadomo, przyzwoitość by nakazywała odrzucić to pytanie, z drugiej jednak strony, lepiej nie czekać, aż komuś innemu przyjdzie do głowy je zadać – co by panu szkodziło, panie Bodler, dać sobie przebadać krew, mam na myśli, przebadać pod wiadomym kątem?

Przerwał mi krzyk dobiegający chyba z podwórka. Zostawiłem zdjęcia, tak jak leżały, i wybiegłem razem z mamą na korytarz. Co się dzieje? To Policka wrzeszczała jak

żywcem obdzierana ze skóry.

24.

PIERWSZA wersja była taka, że wartburga ukradziono. Z chaotycznej relacji Polickiej wynikało, że małżonek po powrocie z pracy zaparkował samochód na podwórku. Po obiedzie wybrał się do zakładu fryzjerskiego przy Ogrodowej: skrócenie włosów i golenie. Dziesięć minut później Policka usłyszała znajome pykanie silnika. Kiedy dobiegła do okna, zobaczyła tył znikającego wartburga.

– Mój Zygmunt zawału dostanie! – lamentowała. – Siedzi u fryzjera i o niczym nie wie! Tyle pieniędzy!

– Trzeba na milicję – podpowiedział przytomnie ojciec Mirka.

– Panie Józefie! – Chwyciła go za rękę. – Niech pan za dzwoni z budki, błagam!

– Nie prościej od pani z domu?

Żał mi się zrobiło Polickiej. Pokazała się nam na podwórku bez makijażu i ondulacji. Chociaż z tą ptasią maską niewiele już dałoby się zrobić.

Kto mógł wartburga ukraść? Starszy z braci Majchrowskich? Doświadczenie złodziejskie ma, w więzieniu siedział, ale żeby samochód? Poza tym to zagraniczna marka, rzuca się w oczy.

Na podwórku zebrała się tymczasem prawie cała kamieni ca. Zrobiło się tłoczno jak w niedzielne popołudnie przed cukiernią Granowskiej, gdzie sprzedaje się ponoć najlepsze w Łodzi lody.

Mycielski wychylał się z okna swojego warsztatu na parterze. Krzyczał coś, ale w tym harmidrze nikt nie zwracał na to uwagi. Dołączył do nas. Na rękawach fartucha i na twarzy miał jeszcze metalowe opiłki. Fakt, załatywało od niego alkoholem. Ale Mycielski pił z umiarem. Na Ogrodowej pijanego nikt go nigdy nie widział. Po pracy wychylał piwo, czasem dwa. Zawsze po robocie. Pracował na swoim, nie na państwowym.

– Po co ten raban? – zwrócił się do Polickiej. – Szanowny małżonek sam odpalił wartburga i śmignął w miasto.

Teraz dopiero Policka się rozkrzyczała. Że niby gdzie o tej porze mógł pojechać? A jeśli nawet, to najpierw zaszedłby na górę powiedzieć. „Panie Graczyk – naparła na ojca Mirka – niech pan, bardzo proszę, pofatyguje się ze mną na górę i sam zatelefonuje na milicję, ja słowa z siebie nie wyduszę. A Mycielski w takim stanie nie

powinien się ludziom pokazywać. Każdy pijak złodzieja kryje!”.

Ślusarz się zaperzył.

– Za swoje piję! A mówię, co widziałem. Dla mnie to może pani sobie wzywać dwa bataliony milicji i ORMO na dokładkę. Pani wola. Tyle że teraz to i bez tego oni mają huk roboty.

Niby z czym? Byłem ciemny jak ta przysłowiowa tabaka w rogu. Pani Graczyk pierwsza zasugerowała, że Polickiego właśnie „w tej sprawie” wezwali towarzysze z łódzkiego komitetu. W nagłym trybie, co tylko potwierdzało jej przypuszczenia. Towarzysze mają nad czym mędrkować. Policka zmilczała, chociaż robiła miny, jakby dawała do zrozumienia, że wie więcej, niż może powiedzieć. „A o co chodzi?” – zainteresowała się pani Bednarczyk. Jej to akurat się nie dziwię; w sprawach parafii jest na bieżąco, za to o tak zwanym szerokim świecie ma blade pojęcie. Graczykowa: „Pani nie słyszała? Studenci w Warszawie trzeci dzień protestują”. Sarnecka: „Też mi studenci! Łobuzeria wyszła na ulicę!”. Pani Graczyk: „Skoro konstytucja gwarantuje wolność słowa, to z jakiej racji milicja na nich z pałami?”. Sarnecka: „Łobuzom uczyć się nie chce, pijaństwo i rozróby tylko w głowie”. Pani Kartasz: „Mnie tam tych młodych żal. Wiadomo, i tak nic nie zwojują”. Sarnecki: „Zapewniam państwa, z tej studenckiej hecy nic dobrego nie wyniknie”. Pani Morozowska: „Ja to bym tylko chciała, żeby spokój panował”. Sarnecki: „Z tego bałaganu to może nawet i wojna być”. Zofia Bodler: „Nie daj Boże! Jeszcze nam znowu prymasa zamkną!”. Mycielski: „Jak na razie to chcą mi warsztat zamknąć”.

My, dzieciaki, czuliśmy się jak na tureckim kazaniu. Patrzyłem zdezorientowany na Dankę, Mirka i Marzenę, oni na mnie. Halinka Sarneckich jak zawsze trzymała się na uboczu, z dziadkami. Chociaż nie miałem pojęcia, o co studentom chodzi, poczuwałem się do solidarności z nimi. A to za sprawą Chojnackiego. Drażniło go, że nawet przerwy spędzam nad książką, i przezywał mnie „studencikiem”. „U Chojnackiego – wyjaśnił Tadek Bajgelman – dochodzi do głosu archetypowy (sprawdziłem w słowniku wyrazów obcych) kompleks niewolnika, Chojnackiego zżera syndrom (sprawdziłem) wrodzonej podległości, więc w kontakcie z jednostką nadrzędną osobnik pokroju Chojnackiego reaguje agresją. Innymi słowy – podsumował – brutalna siła bierze się za bary z intelektem”. Gdybym ja miał decydować, wolałbym pozostać przy swoim intelekcie, a na dokładkę mieć pięści Chojnackiego. Tak czy inaczej, puenta Tadka przypadła mi do gustu. Przyrówna nie do studentów – w zamiarze Chojnackiego obraźliwe – brałem odtąd za komplement.

Inna sprawa, że słowa Tadka o intelekcie ścierającym się z brutalną siłą pasowały jak ulał do wydarzeń w dalekiej Warszawie.

Słuchałem uważnie. Z tego, co mówili Sarnecky, Kardaszowie i reszta, nasuwał się wniosek: poszło o sztukę. Rozumianą dosłownie i metaforycznie. Właściwie w tej metaforze był pies pogrzebany. Kim był Mickiewicz, to nawet tu, na Ogrodowej, wiedzieli wszyscy. Ale w czym Mickiewicz zawinił partii? Na teatrze nikt z nas specjalnie się nie znał. Owszem, wieczorami zbieraliśmy się przed telewizorem na „Kobrę”. Ale wykosztować się na bilet, wbić w niedzielne ubranie i w porze kolacji, bez względu na pogodę, fatygować tramwajem do teatru? Do teatru, gdzie na korytarz mówi się foyer, gdzie wypada rozmawiać ściszym głosem, do dobrego tonu należy kupno programu, a na koniec należy w szatni dać napiwek? Na taką ekstrawagancję nikt z mieszkańców tej części Ogrodowej się nie pisał. Wyjątek stanowili Policcy. Tyle że Policcy dostawali bilety gratis. W każdym razie nawet oni nie widzieli Dziadów, którymi Mickiewicz tak się naraził władzy ludowej. Holoubek to nie Gregory Peck, ale podobno jako Konrad przeszedł samego siebie. Nie powiedział nic ponad to, co Mickiewicz napisał. Jednak aktor to aktor, niby czyta z kartki słowo w słowo, od siebie przecinka nie dorzuci, a przecież, wiadomo, gestem czy spojrzeniem tak potrafi dać do zrozumienia, w odpowiednim miejscu tak aluzyjnie zmruży oko, że bystry widz w mig się połapie. Więc ten Holoubek Konrad, czytając wieszczka Mickiewicza, spowodował prawdziwe trzęsienie ziemi. Mickiewicz psioczył na carską Moskwę, a Holoubek Konrad mrugnięciem dawał do zrozumienia, o jaką Moskwę chodzi. Mickiewicz nawoływał do zerwania rosyjskich kajdan, zrzucimy haniebne jarzmo niewoli, mówił, odrzucmy tę zarazę ze Wschodu, która nas, Polaków, tłamsi od lat. I każdemu było od razu wiadomo, o jakie kajdany i o jaką zarazę chodzi. Oczywiście, nikt przy zdrowych zmysłach po przedstawieniu nie wyjdzie na ulicę i nie będzie wznosił barykad. Podyskutować, pokrytkować, nawet i nawtykać ruskim, ale strzelać z procy do Moskwy? Dziecinada! Jednak towarzyszą z Warszawy nawet tej dziecinady było za wiele. Władysław Gomułka grzmiał, że Dziady wbijają nóż w plecy przyjaźni polskoradzieckiej. Dla ratowania tej przyjaźni kazał przedstawienie zdjąć z afisza. Pewnie wszystko rozeszłoby się po kościach, gdyby nie studenci. Dla Polickiej i Sarneckich to „wichrzyciele”, dla pani Graczyk „awangarda”. Jak ich zwał, tak zwał, faktem jest, że ósmego marca zebrali się w liczbie kilku tysięcy na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego. Domagali się powrotu Dziadów na scenę i przywrócenia na uczelnię studentów, których wcześniej wyrzucono za udzielenie wywiadu

zagranicznym dziennikarzom. Szkalowali Polskę Ludową, swoją ojczyznę, grzmieli towarzysze. Gomułka w przemówieniu przedstawił wszystko detalicznie. Więc za tymi protestami na Uniwersytecie Warszawskim stali wichrzyciele znani z rewizjonistycznych poglądów i wystąpień, głównie, podkreślił, studenci pochodzenia żydowskiego. Taka „piąta kolumna” w ludowym państwie, które tych Żydów przygarnęło. Ósmy marca wybrali dlatego, że to dzień święta kobiet, co miało ułatwić zorganizowanie demonstracji i spowodowanie zamętu. Zebrali się, oskarżał towarzysz Gomułka, mimo że nie mieli zezwolenia władz uczelnianych. Elementy najbardziej aktywne nadawały zgromadzeniu wichrzycielski i agresywny charakter. Te właśnie agresywne elementy odczytały rezolucję protestującą przeciwko relegowaniu z uniwersytetu niejakiego Michnika i niejakie go Szlajfera. Michnik i Szlajfer to, należało rozumieć, główni rozbijacze i czołowi wichrzyciele. Demonstrujący, ciągnął Go mułka, nie usłuchali wezwania do rozejścia się. W tej sytuacji na dziedziniec uczelni wszedł aktyw robotniczy wezwany przez warszawski komitet partyjny. Niestety, biadolił Gomułka, aktywowi robotniczemu nie udało się przekonać studentów do opuszczenia dziecińca. Wprowadzenie grupy ORMOWców jeszcze bardziej rozjątrzyło demonstrantów. Dopiero wezwanej Milicji Obywatelskiej udało się bezzwłocznie przywrócić porządek. „Boże – westchnęła Morozowska – żeby wreszcie porządek zapanował”. „Nie chcę być złym prorokiem – skomentowała Sarnecka – ale na mój gust to dopiero początek, jak już oni położą na czymś łapę, to może być tylko gorzej”. „Oni?” – powtórzył ktoś z dorosłych. „Żydzi” – wyręczyła Sarnecką Policka. Sarnecka weszła jej w słowo. „Znowu chcą wszystkim rządzić. Jakbyśmy nie mieli swoich”.

Policki nie wrócił na noc do domu. Nawet nie zatelefonował. Pani Policka snuła się jak widmo korytarzem, spod rozmamłanej podomki wyglądała nocna koszula. „Pewnie męża wezwali do komitetu – uspokajała Sarnecka. To normalne, że się nie odezwał, w takich sprawach obowiązuje ich tajemnica”. „Towarzysze trzęsą portkami” – orzekła pani Graczyk, której mąż wrócił z nocnej zmiany, przynosząc najnowsze wiadomości. Piotrkowską przemaszerowali studenci z transparentami. Milicja nawet nie próbowała ich zatrzymać. „Boże – sapnął mąż Sarneckiej – zaraza już się rozniosła!”. „W Pałacu Sportowym – informował Graczyk – ma się odbyć od dawna zapowiadany koncert z okazji Dnia Kobiet”. Cały Komitet Łódzki w strachu, bo wśród artystów jest Holoubek. Choćby recytował Stefka Burczymuchę, to każdy i tak będzie widział Konrada. Towarzysze z Komitetu Łódzkiego starali się go na kłonić, żeby zaśpiewał jakiś nikomu niewadzący przebój, choć by Całuję twoją dłoń, madame, a on im na to, że sami mogą

go wiadomo gdzie pocałować. „Niemożliwe – zachnęła się moja mama – taki kulturalny artysta nie powiedziałby «dupa»”. „Bo nie powiedział – sprostowała pani Graczyk – wyraził się metaforycznie”. „A moim zdaniem – wtrąciła się Sarnecka – po tym Holoubku można się najgorszego spodziewać”. „Niby dlaczego?” – zachnęła się mama Mirka. „Pani nie wie? Przecież to też Żyd”. „Święte słowa – usłyszeliśmy zmieniony głos Polickiej. – Syjoniści podnoszą głowy”. „Syjoniści?” – powtórzyła podejrzliwie Sarnecka. „No, Żydzi” – wyjaśniła Policka. Wyjęła z kieszeni podomki złożoną w czworo kart kę papieru. „Znalazłam w papierach męża – wyjaśniła, rozprostowując kartkę – robiłam porządki w szufladach biurka” – dopowiedziała niepytana, i wszyscy widzieliśmy, jak jej się zaczerwieniły zapadłe policzki. „Oby tylko nie było za późno – podjęła, mruczając pod nosem coś o spisku, potem odczytała z kartki: – Wieszczy narodu zszedł na «Dziady», czy już o tym wiecie? Gdy go Michnik i Szlajfery okrzykują w świecie. Rzekł tak mądrze ktoś niedawno o piątej kolumnie, a Polacy w Żydów ślepią, bo jak zwykle – durnie. Dalej, bracie, karabele każdy w dłonie chwyta. Żyda za pejs i za morze, rada znakomita. Im ta Polska, w którą pluja, daje nadal łaski. Ty studenckie piwko ciągniesz, czekasz na oklaski”. Zrobiło się cicho. Słuchać było, jak Policka szeleści kartką, kiedy składała ją starannie, by schować do podomki. Nagle jak na znak startera wszyscy zaczęli mówić. Kiedy tak stałem z boku, odnosiłem wrażenie, że w tym ogólnym wrzasku, w tym przekrzykiwaniu się, tak na prawdę chodzi o geografię. Jedni krzyczeli „Sybir”, „Oświęcim”, „Monte Cassino”, inni: „Syjon”, „Synaj”, „Syjam” i „Madagaskar”. W końcu pan Graczyk machnął ręką. Tłumiąc ziewanie, oznajmił, że idzie odespać nocną zmianę. „Nie mam czasu na wysłuchiwanie głupot” – skwitował. Na to Sarnecka: „Ja to się panu dziwię – i, słowo daję, tak zmartwionej, tak zatroskanej Sarneckiej nigdy jeszcze nie widziałem. – Gdybym ja miała dwójkę małych dzieci – ciągnęła – toby mnie bardzo obchodziło, czy wojna wybuchnie, czy jednak uda nam się tej wojnie zapobiec”. „Wojna? Niby z kim?” – ironizował ojciec Mirka. „Jak to: z kim? Wiadomo, komu na wojnie zależy”. „Ja się wojny nie boję – Graczyk na to – skoro chroni nas Związek Radziecki”. Policka nachyliła się w jego stronę. „Panie Józefie – zaczęła ściszym głosem – cała tragedia w tym, że i u nich, w Związku Radzieckim, też załęgły się różne Michniki i Szlajfery”. „Znałem jednego Szlajfera – mruknął Graczyk – złego słowa o nim nie powiem, dobry katolik, chociaż czasem przedobrzył z alkoholem, miał osiemdziesiąt lat i jeszcze pracował jako zakrystian”. „Boże święty! – zachnęła się Sarnecka – tak jakby pan nie wiedział, że nasze mośki ukrywają żydowskie pochodzenie; dla niepoznaki – mają w tym, wiadomo, interes – przybierają uczciwe polskie nazwiska”.

Policka przytaknęła i pobiegła do mieszkania. „Przyniosę wykaz prawdziwych, żydowskich nazwisk” – zapowiedziała. Sarnecka nie doczekała jej powrotu. Akurat z porannej mszy wróciła pani Bednarczyk i raptem po Sarneckich nie pozostał ślad. Wszyscy zaczęli się rozchodzić. Popędziłem na górę, chwyciłem tornister i pobiegłem do szkoły.

Zatrzymał mnie opuszczony szlaban. Czekając, aż pociąg przejedzie, próbowałem poukładać w głowie obrazy z ostatnich kilku dni. „Młode Żydówki w getcie – mówił Tadeusz – podchodziły z dziećmi do samych zasieków, szkielety nie ludzie, ja podobne obrazki widywałem co dzień – wspominał – podchodziły do tych zasieków wychodzących na naszą, aryjską stronę, chociaż to było zabronione, szły prosto na niemieckie posterunki, bo chciały Niemców sprowokować do strzału, w getcie jednak panował przeraźliwy głód, tam tylko jeszcze krawcom dawano jeść, bo szyli mundury dla Wehrmachtu, cała reszta cierpiała głód, ja myślę, że one to robiły dla dobra swoich dzieci”. „U nas w Łasku – mówiła moja mama do pani Graczyk (choć po prawdzie w lesie się wychowała) – najlepsze domy należały do Żydów, Żydzi mieli w swoim ręku cały handel i manufaktury. Jak Polacy się burzyli, że do czego to podobne, żeby na ulicy Kilińskiego mieszkał Zelig Goldfarb albo Mordechaj Cukier, to Żydzi odpowiadali ze śmiechem, z taką wyższością w głosie: «wasze ulice, nasze kamienice»”. Stał mi przed oczami Jechiel Fajner i ta jego kamienica przy Południowej, nora w suterenie, gdzie z roku na rok tracił wzrok przy naftowej lampie, bo siedząc nad świętymi księgami, próbował po swojemu handlować z Panem Bogiem. Wchodząc do klasy, myślałem jeszcze o Stefku Chwedczuku, o jego podwójnym pechu: zgubnej fizjonomii i miłości do Żydówki. Uruchomiłem wyobraźnię, próbując postawić się na miejscu babci Natalki, poczuć, co sama czuła, kiedy z okna klatki schodowej widziała odkryte ciężarówki z Żydami, które kursowały niemal codziennie, wywożąc ich z getta. Niektóre Żydówki miały piękne długie włosy, wspominała, i kiedy ciężarówki pędziły Limanowskiego na pełnym gazie, długie włosy Żydówek powiewały za nimi jak ślubne welony.

Nie było mnie w szkole jeden dzień – w poniedziałek zwołałem się na pogrzeb dziadka Michała. Wchodzę do klasy i co widzę? Tadek Bajgelman siedzi w osłej ławce. Trzydzieści kilka par oczu wlepione we mnie. Sawończuk przygląda się z wysokości biurka. Tadek Bajgelman spuścił głowę, udaje zajętego książką. Jeden ruch brzytwą i koniec, myślałem jeszcze przed chwilą. Prawie czułem w dłoni szylkretowy uchwyt brzytwy i wiedziałem, że ja w podobnej sytuacji nie zatrzymałbym się w połowie drogi,

więc, Boże mój, jakże gardziłem panem Murskim, więźniem numer ileś tam, z zawodu fryzjerem, który, jak opowiadał Jochanan Fajner, strzygł i golił komendanta Hössa, muskał ostrzem brzytwy policzki Niemca, który posyłał do pieca Żydów z łódzkich Bałut i Żydów z ulicy Tłomackie 13. Zasługiwał na to komendant Höss, by ostrze brzytwy w dłoni więźnia Murskiego ześlizgnęło się, dajmy na to, trzy centymetry, i ja na miejscu Murskiego nie wahałbym się ani sekundy, choćby tylko ze względu na pana Pucherka i na te młode Żydów ki o włosach jak welony, o których poza babcią Natalką dzisiaj nikt już nie pamięta. Więc jeszcze przed chwilą pogardzałem tchórzem Murskim, siebie stawiałem na jego miejscu i z zimną krwią odmierzałem te trzy centymetry. A ledwo przekroczyłem próg klasy, ledwo znalazłem się pod ostrzałem trzydziestu kil ku par oczu, poczułem się jak żołnierz w mundurze obcej armii na placu apelowym. Wszyscy równo maszerują, lewa prawa, lewa prawa, równym krokiem maszerują jednakowo ubarwione szeregi, tylko ja odstaję. Ruszyłem prosto jak strzała do swojej ławki, nawet nie patrząc w wiadomym kierunku. Jedna myśl mną kierowała: znaleźć się jak najprędzej po aryjskiej stronie.

Nie zamierzam zasłaniać się niewiedzą. Oszukiwałbym sam siebie. Przez te kilka sekund zrozumiałem wszystko od „a” do „z”, połączyłem ze sobą fakty i cała sytuacja stała się klarowna. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie. Tadek Bajgelman to Tadek Bajgelman, myślałem do dzisiaj, równanie bez żadnej nie wiadomej, podobnie jak krzesło nazywamy krzesłem, a tramwaj tramwajem, po diabła takie rzeczy udziwniać. Prosta definicja, okazało się, nie wystarcza. Hasło „Bajgelman” należy koniecznie uzupełnić, od dzisiaj znowu każdy powinien wiedzieć, czy mowa o Żydzie Bajgelmanie, czy o Bogu ducha winnym aryjskim Bajgelmanie, którego jedyną winą jest, że nosi takie a nie inne nazwisko. Z dnia na dzień kazano mi rozróżniać między dobrym a złym Szlajferem, między dobrym a złym Bajgelmanem. Usiadłem na swoim stałym miejscu. Nie obejrzałem się za siebie, tak jakby ławka od dzisiaj przeznaczona dla Tadka Bajgelmana nie istniała. Z polecenia Sawończuka Tadek przystąpił do czytania wskazanego fragmentu Pana Tadeusza. To, każdy się domyślał, miała być pogładowa lekcja. Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie, ile cię trzeba cenić itede, itepe – dla Tadka chleb z masłem. Nie znam w klasie nikogo, kto mógłby to wyrecytować lepiej. Brał bez potknięcia wszystkie przeszkody, te różne świerzopy, gryki i dzięcielinny. Sawończuk co rusz mu przerywał. „Co za dziwny akcent – kpił – na pewno nie mylisz z hebrajskim?”. „Biedna ta Polska – wzdychał – nie byłoby zaborów, gdyby nie to podgryzanie od środka, gdyby nie ta piąta kolumna, obce elementy”. Potem było o

pijaństwie niszczącym ducha narodu, a za rozpijaniem narodu, dowodził Sawończuk, od wieków stali Żydzi, te wszelakie Pinkusy i Jankiele. Zabrał Bajgelmanowi Pana Tadeusza i na poparcie swoich słów przytoczył wybrane fragmenty, a więc o Jankielu i jego żydowskiej karczmie, która miała dach pogięty jak podarty żydowski kołpak, łuki krzywe jak szabasowe świeczniki, słowem, obraz nędzy i rozpaczy. „I nie przypadkiem – podkreślił Sawończuk, stukając palcem w otwartą książkę – nasz wieszcz narodowy tak karczmę opisał: «chwiejąca się, krzywa, podobna jest do Żyda, gdy się modląc kiwa, dach jak czapka, jak broda strzecha roztrzęsiona, ściany dymne i brudne jak czarna opona»”. Słuchając Sawończuka, trudno było nie pomyśleć, że Mickiewicz od Dziadów i ten od Pana Tadeusza to dwaj różni poeci. Jeden upichcił antysemicki epos, a drugi dał Żydom do ręki oręż, za pomocą którego zamarzyło im się teraz złamać ludową ojczyznę, tę Polskę, która od wieków przygarnia Jankielów, Michników, Szlajferów i Bajgelmanów. Oczywiście, ci, którzy znali tekst na pamięć albo mieli przed sobą otwartą książkę, mogli od razu przyłapać Sawończuka na szachrajstwie. Wystarczyło podnieść rękę i odczytać na głos te kilka następnych linijek, wykazać czarno na białym, że Sawończuk nagina Mickiewicza jak świnia młodą leszczynę, bo ten Jankiel, drodzy czytelnicy narodowej literatury, ten wredny żydowski element piątej kolumny jakoby rozpijający ufny naród polski, był w gruncie rzeczy – patrz Adam Mickiewicz – zawsze miłym wszędzie gościem i domowym doradcą oraz – patrz Adam Mickiewicz – miał także sławę dobrego Polaka. No, ale nikt się nie odezwał.

– Proszę pana – rozlega się nagle głos Maciąga. I oto dowiaduję się, że następny ja mam być w kolejce. Mietek Maciąg, Mietek „Jedna Nerka”, nad którym w swoim czasie wylewałem łzy i którego po chrześcijańsku odwiedzałem w szpitalu, ten sam Mietek Maciąg patriotycznie i pryncypialnie posyła mnie na ośłą ławkę. Każą mi dołączyć do Jankielów, Szlajferów i Bajgelmanów. – Proszę pana – słyszę – Bodler to przecież też nie jest polskie nazwisko.

W tym momencie po raz trzeci zapałem się Todka. Ktoś taki jak ja nie może zasłaniać się ignorancją. To ja miałem w małym palcu skarbczyk wzorowego ministranta, recytowałem bez błędnie Pater Noster, Credo i całą resztę – a kluczowe dla mojej sytuacji fragmenty czterech Ewangelii znałem na pamięć. Bez wspomagania się relacjami ewangelistów rozumiałem, co jest na rzeczy. Kur nie zapiał, nie ma co ubarwiać, bez tego wiedziałem swoje, skojarzenia same się narzucały. Nim minęła godzina, trzykrotnie zapałem się Todka Bajgelmana, tym samym zapałem się Jochanana Fajnera, do niego też odwróciłem się plecami, kie dy w odpowiedzi na atak

Maciąga wydukałem na swoją obronę:

– Moja rodzina ze strony ojca pochodzi z Francji.

Tą Francją wszystkim zamknąłem usta. Tak jakby francuski Jankiel, Bodler czy Bajgelman byli lepsi od naszych.

*

Po obiedzie Zofia Bodler zabrała mnie na zakupy. Po pięciu latach starań rada zakładowa przyznała jej talon pieniężny. Samotna matka wychowująca dziecko, więc jej się należy. Z takiego dzieciaka może wyrosnąć wzorowy obywatel. Czemu nie zainwestować? Trochę to trwało, lata mijały, kolejne prośby o zapomogę i odmowne odpowiedzi wypełniały teczkę z adnotacją „Zofia Bodler”, kto trzeba wiedział, że te dwa słowa wraz z przynależnym do nich numerem kartotecznym należy również czytać: „pracownik fizyczny, bezpartyjna”. Tak czy owak talon pieniężny ostatecznie przyznano – i robotnica Bodler postanowiła sprawić synowi zimową kurtkę. W środku mar ca taka kurtka mniej kosztuje. Wracaliśmy tramwajem. Dźwigałem wielką bezkształtną paczkę z „zapomogową kurtką” – tak ją z miejsca nazwałem – i myślałem z odrazą, że przez najbliższe trzy lata będę nosił tę zapomogę od wczesnej jesieni do późnej wiosny. Motorniczy raptownie zahamował. Sprzed tramwaju wyskoczyła kolumna radiowozów na sygnale. Przed Biblioteką Uniwersytetu Łódzkiego kłębił się tłum. Zajazgotały gwizdki i zrobiło się niebiesko od mundurów. Z bocznej ulicy wytoczyła się ciężarówka z zakratowanymi oknami. Z daleka wyglądało to na zabawę w berka. Z tą różnicą, że skoro tylko milicyjna pałka klepnęła studenta, skoro tylko dopadła takiego bananowego syjonistę, to o żadnym odwróceniu ról nie było mowy, zabawa kończyła się tym, że trafiony element piątej kolumny zniknął w zakratowanej ciężarówce. Byliśmy w tramwaju i nic nam nie groziło. Część pasażerów przywarła do okien. Większość odwróciła głowy. Nikt się nie odzywał. Wreszcie milicjant pogroził motorniczemu palcem i odjechaliliśmy.

25.

PRZEZ kolejne dni podobnych zabaw w berka było więcej. Studenckie lekkoduchy, bananowi syjoniści uwzięli się na ojczyznę. Zwoływali – nielegalne – wiece na uczelniach i na ulicy. Dla kamuflażu wznosili hasła solidarności z młodzieżą robotniczą. To była zdaje się ta sama młodzież robotnicza, ten zdrowy aktyw ludu pracującego, który drewnianymi pałkami próbował nakłonić studentów warszawskich do zakończenia

manifestacji przed uniwersytetem. Dla ukrycia prawdziwych intencji bananowa młodzież miała na ustach slogany o poparciu dla ustroju socjalistycznego, nawoływała do solidarności z tak zwanymi postępowymi ruchami na świecie, a te tak zwane postępowe ruchy na świecie to była walka narodu wietnamskiego, to była walka młodych narodów Afryki, o ruchach młodych komunistów w krajach zachodnich – gnębionych przez system kapitalistyczny – nie wspominając. Prawdziwe zamiary auto rów obnażały hasła kolportowane w ulotkach. Studenci Łodzi – w każdym razie ci, którzy tak się nazwali – uzurpowali sobie prawo do występowania w imieniu całego społeczeństwa. Tak jakby społeczeństwo samo nie potrafiło się zorientować, co mu do szczęścia potrzebne. A zatem rozbijacze podszywający się pod studentów twierdzili, że walczą o wspólną, słuszną sprawę. Żądali wolności słowa zagwarantowanej przez konstytucję. Protestowali przeciwko bezprawiu i terrorowi milicyjnej pałki. Żądali zaprzestania oszczerczej i kłamliwej akcji propagandowej wymierzonej w żywotne interesy narodu. Krzyczeli, że prasa kłamie, że bronią socjalizmu przed faszyzacją. Tak jakby zapomnieli, że w dziele obrony socjalizmu Polska ma lepszych od nich fachowców. Aktyw partyjny w miastach dotkniętych akademicką zarazą wyłożył karty na stół. Towarzysz Gomułka w zwięzłych słowach wykazał, co jest czarne, a co białe. Do głosu doszli prawdziwi studenci, ci, którym dobro ojczyzny leży na sercu. Ostatnie wydarzenia, stwierdzili z mocą, budzą niepokój i wstręt wśród większości uczącej się młodzieży. Ich inspiratorami są polityczni bankruci i określone środowisko syjonistyczne. Za hasłami o obronie pokrzywdzonych, demokracji i wolności kryją się określone cele polityczne grupki politykierów i rozrabiaczy. Owi syjonistyczni prowokatorzy chcą wciągnąć do swych politycznych machinacji część zdezorientowanej młodzieży. Frymarczą Polską, bo naprawdę realizują interes swych mocodawców: a są nimi światowy syjonizm i Radio Wolna Europa. Dla dobra kraju, apelowali, w trosce o miliony uczciwych ludzi, trzeba tych wichrzycieli syjonistycznych i ich pomagierów demaskować i izolować. Mówiąc krótko, był to apel o kontynuowanie zabawy w berka. Zachęta do mnożenia oślich ławek.

Towarzysz Policki w tej zabawie nie brał udziału. Od pamiętnej wizyty w zakładzie fryzjerskim tylko raz pokazał się na Ogrodowej. Zabrał czerwonego wartburga, zostawiając małżonce mieszkanie i telewizor. Padł ofiarą choroby, o której koleżanki i sąsiadki mamy rozprawiały ściszonymi głosami – wstydlivej, prowadzącej do upadku przypadłości, na którą są szczególnie podatni panowie w średnim wieku. Zrezygnował z kierowniczego stanowiska i partyjnej kariery. Kandydatka na nową panią Policką ponoć

sprzedawała konfekcję męską w domu towarowym, gnieździła się w jednopokojowym mieszkanku na obrzeżach miasta i była piętnaście lat młodsza od swej poprzedniczki.

Wszystkie te wieści – o Gomułkowskim berku i wstydlivej chorobie Polickiego, która ostatecznie miała go przywieść do rozwodu z ptasią małżonką i z partią – dotarły do mnie mocno spóźnione, kiedy po ponadtygodniowych zmaganiach z gorączką powoli wracałem do zdrowia. „Nawrót choroby reumatycznej – orzekł lekarz. – Wiosenne przesilenie organizmu, w takich warunkach lokalowych, obawiam się, nie do uniknięcia”. Przyznałem mu w duchu rację, gdy napomknął o czynnikach zewnętrznych, kiedy jął się rozwodzić nad wpływem psychiki na fizyczną strukturę organizmu. Miał na myśli, wyjaśnił, napięcie psychiczne, stany emocjonalne związane z traumami tycznymi przeżyciami, u których podłoża, mądrzył się przed skonfundowaną panią Bodler, może leżeć typowa dla chłopców u progu pokwitania nadwrażliwość uczuciowa, krótko mówiąc, kochliwość. Trafił jak kulą w płot. Odkąd Ola Czaplicka od prawila mnie z kwitkiem, byłem ostrożny w lokowaniu uczuć. Kochałem się bezpiecznie w sanitariuszce Marusi, tej od Janka Kosa. Napięcie psychiczne, zgoda, silne stany emocjonalne, jak najbardziej – ale nie kochliwość, panie doktorze, nie miłosna trauma w sojuszu z febris rheumatica zbiła mnie z nóg w te marcowe dni.

Powracałem do szkoły, przygotowany na to, co zastanę. Oślich ławek przybywało. W klasie Danki Kartasz wykryto aż cztery osoby złego pochodzenia. Ojciec panny Szlechter – wyszło szydło z worka – nazywa się Ozjasz Szlechter, czy zatem panna Szlechter, pytano retorycznie, od lat zmagająca się z gruźlicą, nie powinna przenieść się do kraju o cieplejszym klimacie? Na ośłą ławkę trafił także dyrektor łódzkich zakładów jedwabniczych. Zofia Bodler przez dwanaście lat pracy wi działa dyrektora może ze trzy razy, dyrektor naczelny Dajgar to jednak nie był zwykły człowiek, przed tym spiżowym monumentem kłaniał się w pas aktyw partyjny i rada zakładowa. I nagle wydobyto na światło dzienne kompromitujące fakty, po piętnastu latach dyrektorowania Dajgara udowodniono czarno na białym, że Dajgar nie ma nawet matury, za to w jego rodowodzie aż roi się od przodków niewłaściwego pochodzenia. „Socjalizm stanął na głowie” – śmiał się pan Graczyk, dzieląc się przyniesioną z pracy wiadomością: od członków zakładowej organizacji partyjnej zażądano okazania metryk chrztu.

W szkole panowała atmosfera egzaminu. Egzaminu naznaczonego absurdem, bo nikt nie był pewny udzielanych odpowiedzi, a i pytania czyjaś ręka co rusz podmieniała. Pani Kor bus dyrektorowała jedynie nominalnie. Na gwiazdę pierwszej wielkości wyrósł Drejczyn. Matematyk zepchnął na dalszy plan nawet Sawończuka. Przebąkiwano, że za

demaskatorskim zapalem Drejczyna stala jego wlasna nieuregulowana przeszlosc. Padały daty, przewijały się obco brzmiące imiona i nazwiska. Tymczasem jednak to Drejczyn w asyście Sawończuka wystawiał świadectwa pochodzenia. Panna Szelechter, chorowita panna Szelechter, przebywała na zwolnieniu lekarskim i nic nie wskazywało, by szybko wróciła do pracy. Dyrektor Korbus prawie nie opuszczała gabinetu: uzupełniała dokumentację, opróżniała biurko z prywatnych rzeczy, porządkując pokój dla następcy.

Miejsce obok Tadka Bejgelmana pozostawało puste. Tam usiadłem. Tak, to była manifestacja. Tyle że, każdy to wiedział, spóźniona co najmniej o tydzień. Nie wzbudziłem zainteresowania. Widok nie Polaka Bajgelmana w oślej ławce zdążył wszystkim spowszednieć. Co do mnie, nie spodziewano się, że postąpię inaczej. Całkiem naturalne, uznano, że ze względów sanitarnohigienicznych pacjent z morbus rheumaticus acutus siada obok zdiagnozowanego syjonisty.

„Sienkiewiczowscy Krzyżacy – smęcił Sawończuk zza biurka – to wspaniały przykład literatury patriotycznej, literatury – podkreślił – najwyższego lotu. Ponadczasowa ilustracja triumfu oręża polskiego nad niemieckim ekspansjonizmem, który torował sobie drogę do Polski – znamienne! – pod znakiem krzyża. Ale nawet i arcydzieło tej miary – perorował – może ulec wypaczeniu, jeżeli porywa się na nie rzemieślnik, tak zwany artysta do wynajęcia, którym kieruje jedynie żądza zarobienia pieniędzy. Który przy okazji nawet tak wzniosłego przedsięwzięcia realizuje własne, niepolskie interesy”.

Rozejrzałem się po klasie. Aż do tego momentu większość tylko tłumiła ziewanie; podobnego tekstu bądź co bądź słuchaliśmy po raz enty, nawet największy dureń sztukę udawanego skupienia, sztukę mimikry wspartej rytmicznym przytakiwaniem, zdążył opanować po dwóch dniach ćwiczeń. Naraz jednak cczą gadaninę wypełniła konkretna treść. Ani nas ziębiło, ani parzyło, że Sawończuk zrobił z reżysera Aleksandra Forda artystę do wynajęcia, gotowego na każde draństwo dla pieniędzy, który pod przykrywką kręcenia patriotycznych filmów realizuje własne, niepolskie interesy. Po takim wstępie dla każdego było jasne, że Aleksander Ford to kolejny farbowany lis. Takich farbowanych lisów wyćwiczone oczy Sawończuków i Drejczynów wykrywały każdego dnia na kopy. Ale że z winy sprzedajnego Forda Sawończuk odwołuje klasowe wyjście do kina na Krzyżaków – nie, to klasie nie mogło się podobać! Rodziło się zarzewie buntu. Sawończuk, okazało się, i na taki rozwój sytuacji był przygotowany. „Zamiast na Krzyżaków – wykrzyczał czerwony z wysiłku – pójdziemy

na Opowieść o prawdziwym człowieku!” I Polewojem w wersji ekranowej ugasił pelzający płomień rewolucji. „Panem et circenses” – szepnął Tadek, dając wyraz degustacji. Przystał rysować esyfloresy w zeszytcie do polskiego. To jego panem et circenses mogło być skierowane, jakby inaczej, wyłącz nie do mnie. Wreszcie zauważył moją obecność. Proponował zakopanie topora wojennego. Wiem, dawał mi do zrozumienia, że w istocie jesteś po mojej stronie. Moje potrójne zaparcie się Bajgelmana zostało puszczzone w niepamięć, wszystko wróci do normy. Przynajmniej tak w tej chwili sądziłem.

Zanim lekcja dobiegła końca, woźny wywołał Sawończuka z klasy. Sawończuk wrócił z grobową miną. „Stała się rzecz straszna” – wydusił, więcej nie był w stanie powiedzieć. Usta wił nas na korytarzu w pary i zaprowadził do sali gimnastycznej. Uczniów w sali przybywało, stawaliśmy klasami jak na akademiach, nauczyciele pilnowali porządku. Na wprost nas stanął Drejczyn, popatrzył na morze głów falujące przed nim w milczącym oczekiwaniu. „Stała się rzecz straszna – przemówił zbolalym głosem. – Pierwszy zdobywca kosmosu Jurij Gagarin nie żyje”. Podniósł się szum. No, może Gagarinowi daleko było do Simona Templara, ale zawsze to zdobywca gwiazd. „Tragiczna śmierć Jurija Aleksandrowicza Gagarina – kontynuował Drejczyn z kartki – przepełnia głębokim bólem serca milionów ludzi na całej kuli ziemskiej. Świetlana pamięć o wybitnym synu narodu radzieckiego, pierwszym na świecie zdobywcy kosmosu, wspaniałym komuniście, przyjacielu i towarzyszu walk, na zawsze pozostanie w naszych sercach. W rozkwicie twórczych sił – czytał dalej fragment nekrologu podpisane go przez przywódców radzieckich – odszedł od nas pierwszy zdobywca kosmosu, wierny syn komunistycznej partii i narodu radzieckiego”.

„Ciekawe, jak go spłodzili” – palnął ktoś i powiało grozą, bo mało nie ryknęliśmy śmiechem. Na szczęście jakiś ósmoklasista już recytował coś o wybieganiu myślą za bezkresny horyzont, o gwiazdach, które czekają na śmiałków, o tym, że wybrańcy bogów umierają młodo, ale żyją wiecznie w naszej pamięci. Nikt nie powiedział tego głośno, chociaż większość myślała podobnie: żal nam było Gagarina, uznaliśmy, że mógł mieć więcej szczęścia – roztrzaskać się samolotem to jednak nie to samo, co zginąć w rakiecie kosmicznej.

Po lekcjach zaoferowałem, że odprowadzę Tadka do domu. Nie oponował. Po drodze wygadywałem straszne banialuki. Za winiły moje bibliofilskie zapędy, bredziłem, konkretnie Rob Roy Scotta w ciemnożółtej skórzanej oprawie, wolumen z ekslibrisem Bajgelmanów ilustrowany rycinami ? la Andriolli; bo nie tyle unikałem Bajgelmana

syjonisty, ile Bajgelmana będącego właścicielem Rob Roya. Pragnąłem, przekonywałem chaotycznie, odwlec w czasie moment zwrotu książki.

Rejterada przed odpowiedzialnością – ale Tadek słowem ni gestem tego nie skomentował. Przybrał minę, jakby brał moje brednie poważnie. Na koniec, jakby nic się nie wydarzyło, jak by jego ośła ławka była jedynie teatralnym rekwizytem w sztuce, która właśnie dobiegła końca, powiedział:

– Zajrzyj do mnie dziś wieczorem.

W mieszkaniu Bajgelmanów panował nastrój przeprowadzki. Przez uchylone drzwi salonu widziałem, jak mama Tadka krąży między kartonami pośród nagich ścian. Z zamkniętego gabinetu profesora co jakiś czas dobiegał stukot, jakby na podłodze lądowało coś ciężkiego. Mimo wiosennej pogody okna szczelnie pozamykano. Podążając za Tadekiem, zatrzymałem się przed półkami książek.

– Wyjeżdżamy – oznajmił.

Przez najbliższe tygodnie to słowo miałem usłyszeć odmieniane na różne sposoby. W tym momencie jednak lakoniczne „wyjeżdżamy” zabrzmiało mi w uszach jak dzwon na trwogę. Słyszałem niemrawe szuranie papuci w salonie, słyszałem od głośny waleki z przedmiotami, dobiegające z gabinetu Bajgelmana – i uzmysłowiłem sobie, że zabawa w berka i ośle ławki to za ledwie preludium.

Tadek zdejmował z półek książki i układał na podłodze.

– Bierz, którą chcesz.

Przede mną rosły stosy książek. Pokręciłem przecząco głową.

– Nie bądź głupi, inaczej pójdą na przemiał. Nie zabiera my ze sobą polskich książek. Ojciec zabronił.

Nie czekając na mnie, zaczął chować książki do dwóch kar tonowych pudeł. Jak pogrzeb za życia, zdążyłem pomyśleć, kie dy raptem drzwi gabinetu otworzyły się i pokazał się profesor. Miał na sobie krótki tużurek i brązową muchę w białe kropki. Na mój widok zawrócił. Pojawił się znowu, tym razem ścisnął pod pachą kilka książek. Bez słowa podał mi rękę. To było po żegnanie.

Złożył na podłodze przyniesione tomy. Widziałem okładkę tej, która wieńczyła stosik. Przeczytałem „Kafka”, pomyślałem: „nie znam”, a wtedy Bajgelman, kierując wskazujący palec na Kafkę sąsiadującego z opasłymi Dumasami, wypowiedział dwa słowa:

– Może kiedyś...

Czemuż by nie Bajgelman, myślałem wracając Ogrodową, dlaczego akurat on jeden

miałby zasługiwać na ochronę, skoro Mickiewicza z dnia na dzień można okrzyknąć antysemitą, każda łatka jest dobra, myślałem, każdą łatkę da się przypiąć do Forda, Bajgelmana czy panny Szlechter. Bajgelmanowie, wiedziałem od Tadka, osiadą w Nowym Jorku, więc oczami wyobraźni oglądałem profesora, jak w swoim nowojorskim gabinecie machinalnie poprawia staromodny tużurek i wracając wspomnieniami do dzisiejszej sceny, przywołując z przeszłości niejednoznaczne „może kiedyś” – równie dobrze odnoszące się do mojego spotkania z Kafką, jak i mające sprawczą moc, jemu tylko wiadome zaklęcie, zaklęcie, które profesor Bajgelman przechowa na czarną godzinę – patrzy na półki wypełnione nowymi książkami, pośród obcych obrazów, które mają tę zaletę, że nie przywodzą wspomnień.

Pan Fajner otworzył mi nie od razu.

– Aj, aj, a u mnie taki rozgardiasz. Nie przewróć się.

Na widok kartonowych pudeł owładnęło mną znajome uczucie. Patrzyłem jak sparaliżowany na papierzyska i książki zalegające podłogę. Pan Fajner pogroził mi żartobliwie palcem.

– A skąd u ciebie takie myśli? Czy to się komuś podoba, czy nie, choćbym temu czy owemu zawadzał, ja nigdzie się stąd nie ruszę! Wbij to sobie do głowy.

Pan Fajner wybierał się do sanatorium. Wiele sobie obiecywał po kuracji. „Serce” – wyjaśnił z niejakim zażenowaniem. Szybko zmienił temat, snując barwne opowieści o przedwojennych uzdrowiskach i sławnych kuracjuszach, ofiarach chorób i konwenansów; jedni, dowodził Fajner, jeździli do wód dla ratowania zdrowia, inni z czystego snobizmu.

Wracałem do domu i przelewał mi się w głowie cały ten geograficzno-literacki galimatias. „Rilke, Mann, Ragaz, Da vos” – powtarzałem w myślach, zadowolony ze sposobności do wypadu w przeszłość, bo od Rilkego w Ragaz oddzielało mnie ponad czterdzieści lat. „W przeciwieństwie do Sawończuków i Drejczynów – myślałem – Rilke niczym durnym mnie nie zaskoczy”.

26.

ZOFIA Bodler zażyczyła sobie nawiedzić grób teścia. Chrześcijańska powinność. Pojechaliśmy.

Od pogrzebu upłynęły dwa miesiące. Wieńce i kwiaty uprzątnięto. W donicze

wpuszczonej w ziemię żółciły się sztuczne chryzantemy. Napelniałem płuca rzeńskim majowym powietrzem, myślałem o pechu Gagarina i wspominałem start radzieckiego sputnika, przesławnego Sputnika 1, który zdaniem dziadka Michała zapowiadał moje przyjście na świat. Kątem oka podglądałem, jak Zofia Bodler w rytm Ojcie Nasz lustruje grób i liczy chryzantemy.

Dzień w dzień w kopalniach Wirtembergii, rozmyślałem, kiedy czytałem tablicę nagrobną z życiorysem zredukowanym do dwóch dat. Tysiąc dwieście metrów pod ziemią, od 1940 roku do ostatnich dni wojny. A wojna z bolszewikami, a rok dwudziesty, a oskrzydlający atak konnicy z Bogiem i Piłsudskim na ustach? A teraz do piachu na wieki wieków amen.

Na każdego przyjdzie kolej, modli się Zofia Bodler, niech mu ziemia lekką będzie. Wybaczanie, Ojcie Nasz, który jesteś w niebie, to chrześcijańska powinność, więc pani B. nie chowa w sercu urazy, święć się imię Twoje, wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie, tylko nie zapomnij osądzić go sprawiedliwie.

To jest, doszedłem do wniosku, kiedy tak sterczeliśmy w sobotnie popołudnie nad grobem dziadka Michała, w pogodny majowy dzień, który, każdy przyzna, można spędzić znacznie przyjemniej, to jest nasz pochód pierwszomajowy. Manifestacja lojalności. Nadstawić drugi policzek, zaklepać sobie zbawienie. Weź, Panie, pod uwagę, że Zofia Bodler – ofiara fatalnego rendez-vous w następstwie pogrzebu pani Kozłowskiej, zarazem ofiara niefortunnie danego słowa, która złożyła siebie na ołtarzu małżeńskich powinności, w służbie ołtarzowych obrączek przez trzy lata dźwigała krzyż domowego piekła, następnie przyjęła krzyż samotnego wychowywania dziecka i dozgonnej abstynencji od szczęścia – prosto z porannej zmiany pędzi na grób nieboszczyka teścia, który, gdyby mierzyć sprawiedliwość ziemską miarą, jest współwinny jej losu.

„Koniunkturalizm religijny” – skomentowałby zapewne Tadek Bajgelman, gdyby dwa dni wcześniej nie wyprowadził się z ulicy Mielczarskiego do Nowego Jorku. Nazajutrz była niedziela i kiedy proboszcz Szczęsny odczytał intencję mszalną, przyszło mi odwołać oskarżanie Zofii Bodler o religijny koniunkturalizm. „Msza święta jest odprawiana w intencji świętej pamięci Michała Bodlera” – usłyszałem, i ledwo proboszcz za kończył, przypomniałem sobie wzmiankę pana Fajnera o Perecu i Aszu. „Na czym polegał błąd Pereca? – zaczął, z miejsca zastrzegając, że to jego osobiste zdanie. – Otóż mistrz Perce gubił się czasem w nadmiarze szczegółów. Asz natomiast, budując wielką przestrzeń literacką, wypełniając ją tłumem postaci, szedł na łatwiznę

linearności, prowadził akcję po linii prostej od punktu A do punktu B, co dla pisarza o ambicjach epika jest – zawyrokował Jochanan Fajner – grzechem śmiertelnym”. Tej niedzieli uzmysłowiłem sobie, że obciąża mnie grzech Asza i grzech Pereca zarazem. Że ulegając pokusie łatwych skojarzeń, tracąc rozeznanie w nadmiarze szczegółów dalekich od czarno białej tonacji, tym bardziej obciążałem mamę, im usilniej dążyłem do odbrązowienia ojca. Można mi postawić zarzut, że dałem się ponieść patosowi kościelnej metafizyki i chęci uproszczeń. A jednak miałem już prawie dwanaście lat. Byłem niczym plan sześciolatek pomnożony przez dwa. Ludzie w moim wieku zaczynają zastanawiać się nad życiem. Henryk I, król Kastylii, zanim skończył dwanaście lat, miał już za sobą małżeństwo i rozwód. Czytałem w książce od Tadka.

*

W poniedziałek lub wtorek, ulegając podszeptowi Bóg wie jakiego licha, zaraz po szkole wybrałem się na Mielczarskiego. Od wyjazdu Bajgelmanów nie minął nawet tydzień. Z czeluści nisko sklepionej wąskiej bramy wyszedłem na ciemne jak piw nica podwórko. I zaraz pożałowałem – w oknach pokoju Tadka wisiały firanki nowych lokatorów. Do domu wróciłem okrężną drogą, przez Cmentarną. Skoro tu jestem, pomyślałem, to zajrzę. Nie mam zwyczaju odwiedzać cmentarzy dla kaprysu, dziś uczyniłem wyjątek. Obejrzałem pod każdym możliwym kątem rzeźbę na grobie Magdaleny S. Figura naturalnej wielkości, dość ekspresyjnie uchwycona, jak żywa, chciałoby się powiedzieć. I patrząc na wyrzeźbioną Magdę S., ulegając podszeptowi wyobraźni, która podpowiada, że podobnie musiała wyglądać feralnego dnia, gdy otworzyła drzwi zabójcy (zabójcom?), czułem się napiętnowany i jednocześnie wyróżniony rodzącą się między nami zażyłością, wspólnym dla obojga pragnieniem, by śmiać się do rozpuku z fajtlapy Kazimierza B. (szlimazł nie bandyta, powiedziałby Jochanan Fajner), któremu się ubzdurało, że na czyjejs dawno potwierdzonej i udokumentowanej kamiennym pomnikiem śmierci może zrobić interes życia.

Dwa kartonowe pudła z książkami stały przy maszynie do szycia Singer, tam gdzie złożyli je pracownicy firmy przewozowej wynajętej przez profesora Bajgelmana do przeprowadzki. Zagradzały dostęp do okna, co, rzecz dziwna, mamie nie przeszkadzało. „A, to tylko na razie” – machnęła ręką. Więcej do tematu nie wracaliśmy. Więc stały jedno na drugim, przez wie le dni nieotwierane, zabezpieczone papierową taśmą klejącą. Ta atmosfera tymczasowości mi odpowiadała. Ilustrowała to, co działo się wokół. Co rusz słyszałem o wyjazdach i przeprowadzkach. Łódź – jakaś część miasta – była w trakcie przenosin do Ameryki, Francji, Izraela, Argentyny.

Bajgelmanowie już wylądowali w Nowym Jorku. Panna Szlechter z końcem czerwca emigrowała do Izraela. Wir zmian nie oszczędził pana Polickiego. Wraz z kandydatką na nową panią Policką zamierzał osiąść pod Grójcem, gdzie przysły teść miał sad jabłkowy. Uczyłem się patrzeć na świat z dystansu. Wszystko, absolutnie wszystko może się zdarzyć. Na przykład druga pani Policka po piętnastu latach także przepoczwarzy się w ptasią maskarę. Albo Tadek Bajgelman, zapowiedziany listem z nadrukiem prestiżowej amerykańskiej uczelni, po trzydziestu latach zajędzie taksówką na Mielczarskiego.

Tymczasem czekałem na list od pana Fajnera z sanatorium. Wieczorami, jakby to miało przyspieszyć nadejście listu, oglądałem zdjęcie, które przy ostatnim spotkaniu podarował mi bez słowa komentarza. Młoda jeszcze kobieta, pólżąc na sanatoryjnym łóżku wspartym na staromodnych, wysokich ko łach, spoglądając na fotografa, zmusza się do uśmiechu. Obok niej pielęgniarka (biały fartuch, czepek); zwrócona bokiem do aparatu, unika patrzenia w obiektyw, jakby bała się zdradzić z czymś spojrzeniem. Trzyma chorą za rękę. Scenie patronu je altana (weranda?), tam obie uchwycił fotograf. Pan Fajner we własnej osobie? Kim była dla niego chora? Próbowwała ratować zdrowie (gasnące życie?) w Ragaz, Davos czy podwarszawskim Otwocku? Zachodziłem w głowę, co Fajner próbował mi po wiedzieć. Im więcej czasu spędzałem nad zdjęciem, tym pytań przybywało. A może (bo i tak myślałem) Jochanan Fajner, uczeń Asza i Rabona, zadał mi kolejną lekcję – ćwiczenie wyobraźni? Bez daru wyobraźni wspartego codziennym pensum praktyki ani Asz, ani Mann, ani Rabon, ani Tołstoj, ani Rilke, ani Jochanan Fajner nie widzieliby świata poza własnym podwórkiem.

Pobyt pana Fajnera w sanatorium przedłużał się; list nie przychodził. W połowie maja złożyła mi wizytę pani Cejero wa. Irenę Cejerową znałem tylko z widzenia: to sąsiadka Jochanana Fajnera, ta sama, która pogoniła Sarnecką i całe nasze towarzystwo, kiedy idąc tropem rzekomo porwanej Marzenki łomotaliśmy do drzwi Fajnera. Pan Fajner, oznajmiła w ten piątkowy wieczór, zanim wręczyła mi kształtny pakunek w ciemnozielonym papierze, zmarł w szpitalu ósmego dnia po operacji. Każda śmierć – pod warunkiem, oczywiście, że lekarz spisze się jak należy – ma swoją fachową nazwę. Śmierć pana Fajnera nazywała się rak trzustki. Żadna dolegliwość serca – miałbym więc prawo uznać, że Żyd Fajner okłamał mnie podwójnie. Ale prokuratorskie oburzenie szybko mnie opuściło. Miał swoje powody, uznałem. Chciał pożegnać się ze mną w sposób, jaki sam uzna za stosowny: anegdotą o Rilkiem na kuracji w Ra gaz wspartą lekcją z ćwiczenia wyobraźni. A także – a może przede

wszystkim – prezentem w ciemnozielonym pakowym papierze. Właściwie, uzmysłowilem sobie, z selekcji, z tej marcowej selekcji, do której Fajner stanął wspólnie z Bajgelmanami i Szelechterami, on jeden wyszedł zwycięsko. Pani Grubach, na pisał Kafka (no tak, ciekawość wreszcie wzięła we mnie górę!), pani Grubach zapewniła Józefa K., że jego szczęście leży jej na sercu. Samemu Kafce pewnie nikt tego zbyt często nie mówił. Tyle że szczęście – nie ma w tym wielkiej książkowej filozofii, to raczej jedna z tych tak zwanych życiowych, czyli całkiem niepraktycznych, mądrości – jest pojęciem względnym. Dwie siostry Kafki, przeczytałem we wstępie do książki, zginęły w łódzkim getcie, trzecia nie przeżyła Oświęcimia. Wcale bym się nie dziwił, gdyby Ella i Valla podczas pobytu w getcie poznały narzeczoną Stefka Chwedczuka; zważywszy na zbieżność czasu i miejsca, wcale niewykluczone. Tak jak nie sposób wykluczyć, że Jochanan Fajner i Otlal David, z domu Kafka, spotkali się w Oświęcimiu. Bądź co bądź (cytuje niemal do słownie pana Fajnera, wyczytałem poniższe zdanie w jednym z sześciu grubych brulionów, które ze zwykłą sobie starannością zapakował w ciemnozielony papier) w ciągu tych kilku lat przez Oświęcim przewinęło się pół Europy.

Pod koniec maja za sprawą dziwnego zachowania Zofii Bodler nasz domowy rozkład dnia uległ rozchwianiu. Zdarzały się jej późne powroty do domu. Wieczorami z ołówkiem i gumką ślęczała nad papierem podaniowym. „Co robisz?”. „A, takie tam urzędowe sprawy”. Nie nalegałem. Przypomniały mi się gorączkowe tygodnie przed czterema laty, kiedy za namową koleżanek zapisała się do szkoły wieczorowej. Zrezygnowała po niespełna dwóch semestrach, choć przez pierwsze tygodnie nic nie zapowiadało porażki; niesiona euforią odgrażała się, że w jeden rok przerobi program dwóch klas, z wypiekami na policzkach wertowała podręczniki do historii i polskiego. Powodowany ciekawością sam do nich zaglądałem, już na pierwszej stronie znajdując podtytuł „klasa szósta szkoły dla pracujących”. Podobnie jak przed laty, tak i teraz wracała do domu w stanie dziwnej ekscytacji. Zaaferowana „urzędowymi sprawami”, mniej uwagi zwracała na mnie. To mi odpowiadało. Nie zachodziła obawa, że kiedy przysiądę nad brulionami pana Fajnera, zaglądając mi zniecka przez ramię, zapyta zgodnie ze swoim zwyczajem: „To ci jest potrzebne do szkoły?”. Pan Fajner w pamiętnikach stronił od literackich fajerwerków. Ani jedno słowo, wiedziałem, ani jedno zdanie nie pojawiło się dla kaprysu, nie było, jak to się mówi, dziełem przypadku. I nieprzypadkowo sześć zapisanych brulionów trafiło w moje ręce. „Odkąd wiem, komu z czasem powierzę moje zapiski, pisanie nabrało sensu”, zanotował. Łatwiej mi było śledzić narrację i podążać tokiem rozumowania autora, kiedy wyobrażałem sobie, że

siedzi naprzeciw mnie. Pamiętałem jego przestrożę – odnoszącą się do literatury i życia – przestrożę przed zwodniczością prostoty. Tym bardziej ceniłem sobie, że w lekturze zapisków nikt mi nie przeszkadza. Cieszyłem się tym względnie długim okresem wolności mniej więcej do pierwszych dni czerwca, kiedy to Zofia Bodler po powrocie z pracy zakomunikowała mi nowinę.

Wcześniej jednak wydarzyła się ta historia z Sarnecką. Po niedzielnej mszy świętej, na głównym dziedzińcu przykościelnym, tuż na wprost głównego wejścia, doszło do starcia Sarneckiej z księdzem Antolakiem, w którym to starciu rolę sekundanta – dobrowolnie czy z musu, nie podejmuję się rozstrzygnąć – odegrał proboszcz Szczęsny. Parafianie od tygodnia wie dzieli, że los Antolaka został przypieczętowany. Decyzją władz kościelnych przenoszą go do wiejskiej parafii pod Pabianicami. Proboszcz Szczęsny oraz sam zainteresowany ograniczali się do komentarza, że najnowsza zmiana personalna to rutynowe przesunięcie z parafii do parafii, jedno z dziesiątków podobnych rozporządzeń administracyjnych, twierdzili zgodnie, jakie zwyczajowo podejmuje się o tej porze roku. Na przekór temu wielu parafian upatrywało w przenosinach księdza Antolaka przejawu konfliktu międzypokoleniowego, u którego podłoża leży głównie wiek adwersarzy. Poczynając od kwestii absurdalnych: ile sekund celebrans winien trzymać hostię przy konsekracji albo czy przed tabernakulum wystarczy przyklęknąć na jedno kolano. Tak, proboszcz i wikariusz zbyt często prezentowali odmienne zdanie, by miało to umknąć parafianom. Co prawda obaj jednakowo krytycznie oceniali marcową gorączkę, która w krótkim czasie przybrała rozmiary epidemii, jednak w sprawach wiary dzieliła ich różnica: podczas gdy proboszcz Szczęsny trzymał się sztywno litery, wikariusz, otwarty na po soborowe zalecenia, odchodził od litery na rzecz ducha. Aj, aj, krzyczała litera, cały Izrael, lamentowała, przekroczył Twoje Prawo i pobłądził, za co spadło na nas przekleństwo. Duch tymczasem, biegły w czytaniu metafor i przeciwnik ortodoksji, ripostował: Nie bójcie się, zobaczycie zbawienie od Pana. Wniosek? Ostrożnie z interpretacją. Były co prawda owe znamienne słowa, których nawet posoborowy wikariusz żadną miarą nie potrafił nagiąć do metafory, bo kiedy się słyszało: Krew Jego na nas i na dzieci nasze, każdy rozumiał, co jest czarne, a co białe. Do czasu, aż niczym kule zza węgła padały te wersy o zaślepieniu, czyli przypowieść z drzazgą i belką w rolach głównych, i jeśli miałeś choć trochę oleju w głowie, musiałeś zadać sobie pytanie, czy sam się przypadkiem nie zagalopowałeś. Może i ty masz zadatki na obłudnika, widzisz drzazgę w oku brata, a nie dostrzegasz belki w swoim oku.

„Dzieci” – przeczytał ksiądz Antolak pierwsze słowo Ewangelii. Wszyscy wyciągali szyje i słuchali, była to ostatnia niedzielna msza wikariusza w parafii św. Józefa. „Dzieci – czytał – jeszcze krótko jestem z wami. Będziecie Mnie szukać, ale – jak to Żydom powiedziałem, tak i teraz wam mówię – dokąd Ja idę, wy pójść nie możecie. Przykazanie nowe daję wam, abyście się wzajemnie miłowali tak, jak Ja was umiowałem. Po tym wszyscy poznają, żeście uczniami moimi, jeśli będziecie się wzajemnie miłowali”. Tyle w imieniu Zbawiciela, za to mówiąc od siebie, w kazaniu, wikariusz obrał za temat praktykowanie miłości. „Miłość człowieka do Boga – podkreślił – to zaledwie wstępny krok na ścieżce zbawienia, Bóg chce od ciebie więcej, wymaga, byś kochał Go w każdym innym człowieku, w każdym – powtórzył Antolak – czy grzesznik, czy święty, nie do ciebie należy wycena Bożego ziarna, nie ty je siejesz i nie ty zbierasz. Siewca – podkreślił bez gestykulacji – dla ratowania ciebie i mnie cierpiał i dobrowolnie oddał życie. A czego w zamian wymaga od nas? Byśmy, naśladowując Go, kroczyli drogą miłości, tylko tyle, żadnych gwoździ, żadnej korony cierniowej”. Potem nastąpiła część o nienawiści, która rujnuje, bardzo plastyczny opis moralnego rozkładu z puszką Pandory w roli głównej. No, ale to była wiedza na poziomie przygotowania do pierwszej komunii. Nie było się czym specjalnie zachwycać ani oburzać. Te, bądźmy sprawiedliwi, frazesy podziały na niektórych jak tabletki nasenne. Ale wystarczyło to jedno króciutkie słówko – dokładnie dwie sylaby – by nastąpiło rozbudzenie. „Żydzi” – huknął ksiądz Antolak, potem wspomniał o krzywdzie, wreszcie połączył jedno z drugim i teraz nikt już nie przysypiał. Proboszcz Szczęsny wiercił się w konfesjonale, a wikariusz, prawiąc o jądze nienawiści, przestrzegał przed tymi, którzy próbują poróżnić nas z Bogiem i z własnym sumieniem. „Zamiast Ewangelii – grzmiał – wolimy wierzyć gazetom”. Inna sprawa, że ksiądz Antolak sam przybrał gazeto wy ton. Było o starszych braciach w wierze i że to tacy sami Polacy jak my. Mówił o stereotypach, narodowych kompleksach, chodzeniu drogą na skróty; dostało się po równo tym, co ferują pospieszne wyroki, i tym, co chowają głowy w piasek. Chyba ksiądz Antolak chciał powiedzieć zbyt wiele naraz. O syjonizmie, o Żydach smęcą w telewizji i gazetach; przychodzimy do kościoła, a tu masz! Wikariusz serwuje nam kolejną wersję gazetowej papki. Tak niektórzy myśleli, mieli to wypisane na twarzach.

Wszystkich przebiła Sarnecka.

– Będzie nam księdza brakowało – zaczęła z głupia frant. Staliśmy dużą grupą przed kościołem, wikariusz przyszedł, żeby się pożegnać. – Ale z tymi Żydami to się ksiądz zagalopował.

Lubiłem księdza Antolaka. Miałem nadzieję, że przed wyjazdem popełni choć jeden, choćby niewielki, grzech przeciwko Sarneckiej. A on w miarę grzecznie:

– A pani co by proponowała? Wywieźć wszystkich na koniec świata?

– Swoją powinność swojego wspierać, to tylko chcę powie dzieć. Na koniec świata!

Matko Boska Częstochowska, też ksiądz wymyślił!

– Powiem pani w wielkiej tajemnicy – wikariusz dostał rumieńców – że jakby się Jej dobrze przyjrzeć, jakby tak po grzebać w przeszłości, nasza Najświętsza Panienska to zarazem Matka Boska Żydowska.

– No, pięknie! Ksiądz nam od nowa Pismo Święte pisze. A co, pod krzyżem to nie przez Żydów płakała?

My tymczasem obserwowaliśmy minę księdza Szczęsnego. Bo proboszcz na swoje nieszczęście nadszedł akurat w tym kluczowym momencie, nie mógł udawać, że nie usłyszał.

– Pani Sarnecka – przemówił, i głowę bym dał, że proboszczowi głos lekko się trząśł – powiem pani tylko tyle: gdy by nie taki jeden Żyd z Nazaretu, to ja i ksiądz Antolak bylibyśmy dziś bez pracy.

*

Arek Struzik, pomocnik ślusarza Mycielskiego, dostał karę powołania do wojska. Wściekał się i ciskał narzędziami. Mycielski przezornie odesłał go wcześniej do domu. Struzik dwa lata temu odsłużył wojsko, za miesiąc się żeni, wcale mu się nie uśmiecha znowu iść w kamasze. Wojsko upomniało się także o młodszego brata pani Morozowskiej. „Na ćwiczenia – wy jaśniała Morozowska. – Chłop jak dąb – chwaliła się bratem czołgistą – wiadomo, platfusów na szkolenia rezerwistów nie powołują”. Zgoła innymi oczami patrzyła na swojego Janka. „Przecież to jeszcze dziecko” – zaklinała się. A według kalendarza – chciałoby się przypomnieć Morozowskiej – Jankowi za kilka miesięcy stuknie osiemnastka. I stanie przed komisją przedpoborową, chłopaka zmierzają, zważą, wypiszą kategorię A. Materiał na bohatera. Dziecko? Kiedy Morozowska na popołudniowej zmianie przyszywa rękawy do męskich marynarek, w jej mieszkaniu myszy harczą. Wersalka skrzypi, piski dziewczyn słychać aż na parterze.

Słówko o pani Polickiej. Odkąd Policki i wartburg trafili do obcych rąk, Policka prawie nie wychodzi z domu. Ubiera się na czarno. Zobaczyć Policką wieczorem w czarnej sukni to żadna przyjemność. „Widmo socjalistycznej ojczyzny” – żartuje ojciec Mirka. Prawdę powiedziawszy, sam rzadko się teraz śmieje. Z kamienną twarzą ogląda dziennik telewizyjny. W telewizji syjoniści i prowokatorzy na krótko ustąpili miejsca

przyjaźni radzieckoczechosłowackiej. Po to, by zdemaskować oszczerce pogłoski rozpowszechniane przez prasę krajów imperialistycznych na temat stosunków między Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich a CSRS. A prawda jest jedna: propaganda burżuazyjna próbuje siać niezgodę między partiami komunistycznymi. Szczególne wysiłki dywersanci ideologiczni z obozu imperialistycznego podejmują w celu przedstawienia w fałszywym świetle charakteru stosunków między Związkiem Radzieckim a Czechosłowacją, posługują się przy tym znanym od dawna chwytem rzekomej „ingerencji radzieckiej”. Te wy siłki wrogów socjalizmu, czyta spiker w telewizji, są skazane na fiasko. Narody Związku Radzieckiego i Czechosłowacji oraz partie komunistyczne obu krajów łączą stosunki niezachwianej i braterskiej przyjaźni. Przyjaźń ta jest scementowana krwią najlepszych synów narodów Związku Radzieckiego i Czechosłowacji, przelaną w walce ze wspólnym wrogiem – faszyzmem. „Doczekam się tej kolacji?” – denerwuje się ojciec Mirka. Przy dzienniku telewizyjnym robi się głodny. Ale zanim usiądzie do stołu, musi jeszcze wysłuchać, że KPZR i KP Czechosłowacji, zespolone wiernością do zasad marksizmoleninizmu i proletariackiego internacjonalizmu, walczyły i będą walczyć wspólnie z wszelkimi knowaniami kół imperialistycznych. Nikt i nic nie zdoła w żadnych warunkach zachwiać tą braterską przyjaźnią, która służy najważniejszym interesom narodów ZSRR i Czechosłowacji oraz wielkim celom budowy socjalizmu i komunizmu. Graczyk, pomagając sobie łyżeczką, połykał jajka po wiedeńsku, głos w telewizji zapewniał, że Moskwa i Praga są sobie bliskie jak nigdy dotąd, a ja tymczasem wspominałem, że w Pradze urodził się Franz Kafka.

W pierwszych dniach czerwca późnym popołudniem pod nasz dom podjechała taksówka. Biała elegancka warszawa przywiozła córkę Sarneckich. Odkąd drugi raz wyszła za mąż, pokazuje się na Ogrodowej trzy, cztery razy do roku – obowiązkowo przed Bożym Narodzeniem oraz na zakończenie szkoły. Ma dziecko z drugiego małżeństwa, od nowa układa sobie życie; trudno się dziwić, że Halinka zeszła na dalszy plan i wychowują ją dziadkowie. Taksówka na Ogrodowej to znowu nie takie wielkie halo. „Gdyby nie kocie łby – twierdzi ojciec Mirka – więcej byśmy tu widzieli eleganckich samochodów, o taksówkach nie wspominając”. Więc suma summarum, jak powiada moja mama, nawet taka warszawa jak spod igły to dla nas żaden cymes, nie zwrócilibyśmy na samochód uwagi, gdyby nie to, że po półgodzinie warszawa nadal stała przed do mem. Mijały minuty, taksometr bił, kierowca palił zagraniczne papierosy, a zbiegowisko ciekawskich rosło. Pani Bednarczyk wyglądała ze swojego okna na

parterze. Po godzinie do taksówki wyszła córka Sarneckiej z Halinką. Każda dźwigała dużą walizkę. Sarnecky wybiegli, jakby chcieli je zatrzymać. Taksówkarz schował walizki do bagażnika, Halinka z matką wsiadły i warszawa, telepiąc się po kocich łbach, ruszyła w kierunku ulicy Północnej. Stara Sarnecka była blada jak pobielona na ścianie. Każdy chciał wiedzieć, co zaszło, ale Sarnecky zamknęli się w mieszkaniu. Siedzieli przy zgaszonym świetle, nikomu nie otwierali. Dorośli postali jeszcze kilka minut, nic się nie działo, w końcu poszli do domu. My, dzieciarnia, krążyliśmy między podwórkiem a ulicą. Zaglądaliśmy w ciemne okna mieszkania dziadków Halinki. Wychodziliśmy przed dom sprawdzić, czy taksówka nie wraca.

Wieczorem poszedłem z mamą do rodziców Mirka na seans „Kobry”. Przed ósmą ktoś zapukał do drzwi. Pani Bednarczyk. „Po latach Frysztak się przypomina” – powiedziała na powitanie. Trochę jakby od rzeczy. Zaczęła opowiadać, i w jednej chwili to pierwsze zdanie nabrało sensu. Frysztak, wyjaśniła, to mała miejscowość pod Rzeszowem. Przed wojną Frysztak liczył prawie dwa tysiące mieszkańców, z czego półtora tysiąca to byli Żydzi. To oni stanowili w miasteczku elitę polityczną i gospodarczą. Przyszła wojna i sytuacja się zmieniła. W 1942 roku Niemcy utworzyli getto, zapędzili tam wszystkich Żydów z Frysztaku i okolicznych wiosek. Latem czterdziestego drugiego przystąpili do likwidacji getta. Część Żydów wywozili do gett w Rzeszowie i Przemyślu, resztę rozstrzeliwali na miejscu albo wysyłali do obozu zagłady w Bełżcu – jak im było wygodniej. „Moja rodzona siostra – relacjonowała pani Bednarczyk – przed wojną pracowała we Frysztaku jako nauczycielka”. Przyjaźniła się z Żydówką Rachelą Neuman, to były właściwie rówieśnice. Rachela miała córkę Elżę. Elza wyszła za mąż chyba w trzydziestym siódmym i tuż przed wojną urodziła dziecko. Męża Elzy Niemcy zapędzili do budowy jakiejś ważnej drogi czy stacji kolejowej, najpewniej na potrzeby wojskowe; tak im zależało na tempie budowy, że sprowadzali żydowskich niewolników z innych miast. Roboty zakończyły się w połowie czterdziestego pierwszego roku, ale zatrudnieni przy budowie przy musowi robotnicy do domów już nie wrócili. Kiedy zaczęło się getto i planowe mordowanie Żydów, kiedy już wiadomo było, że Rachela z Elżą lada dzień zostaną wywiezione do Bełżca, Rachela ubłagała siostrę pani Bednarczyk, żeby ta ukryła u siebie córeczkę Elży.

Słuchając opowieści Bednarczykowej, z góry wiedziałem, co nastąpi dalej, jakbym trzymał na kolanach otwartą książkę. Ukrywanie żydowskiego dziecka we Frysztaku było niebezpieczne. Mała miejscina, sąsiad zaglądał sąsiadowi do garnka. A ludzie, wiadomo, są różni. Dla bezpieczeństwa siostry i dziecka pani Bednarczyk jak

najszybciej sprowadziła dziewczynkę z Frysztaku do Łodzi. W dużym mieście trefny towar łatwiej ukryć. W jaki sposób czteroletnia Chana trafiła do Sarneckich? Bednarczykowie i Sarnecky jeszcze przed wojną mieszkali po sąsiedzku. Sarnecky, sami bezdzietni, uprosili panią Bednarczyk, żeby dała im Chanę do adopcji. Chana nazywała się teraz Wanda Sarnecka, umiała się porządnie przeżegnać i zmówić pacierz. Chodziła na procesje w białej sukience i sypała kwiatki z koszyczka. Przez te duże ciemne oczy zawsze stawiano ją w pierwszym szeregu bielanek. „Wandeczka – mówiło się – jest ozdobą każdej procesji na Ogrodowej”. A Wanda, gdyby mogła, najchętniej chowałaby się za plecami innych. „Skryta natura” – komentowano. Kiedy podrosła, zaczęły się kłopoty. Rodzice – to znaczy Sarnecky – nie mieli z nią łatwego życia. Zanim skończyła osiemnaście lat, zaszła w ciążę i w miesiąc wyszła za mąż. Szybki ślub, szybki rozwód. Małżeństwo po trzech latach się rozpadło. Nikt nie odmawiał Wandzie prawa do szczęścia, więc kiedy znalazła tak zwaną prawdziwą miłość – to była, dodajmy, miłość z dwupokojowym mieszkaniem, na poważnym stanowisku, starsza od Wandy prawie dziesięć lat – kiedy znalazła tę swoją miłość życia i Halinkę oddała dziadkom na wychowanie, nie miano jej tego za złe. No, ale tę część historii – począwszy od sypania kwiatków aż po paniński brzuch i dwie wcześniejsze przymiarki do małżeństwa – wszyscy dość dobrze znaliśmy. Bardziej byliśmy ciekawi powodów decyzji pani Bednarczyk, bo nie ulegało wątpliwości, że Wanda o swoim kukulczym pochodzeniu dowiedziała się od niej. „To nie ja! – zachnęła się Bednarczykowa. – Najgorszemu wrogo wi czegoś podobnego bym nie zrobiła!”. Oczywiście tego dnia o oglądaniu telewizji nie było mowy.

Jeszcze tego wieczoru kolejny raz obejrzałem cudaczne Kafkowskie rysunki. Co to za rysunki i skąd się u mnie wzięły? W książce Kafki, tej od Bajgelmanów, znalazłem zło żony w czworo wycinek z niemieckiej gazety. Profesor Bajgelman musiał o nim zapomnieć. Artykuł zawierał zdjęcie Kafki (głowa en face) i kilka jego rysunków (niewydarzone patykowate ludziki), opatrzonych rozedrganym autografem; ma się wrażenie, że każda z pięciu liter nazwiska chce żyć własnym życiem. Uszy u Kafki, spostrzegłem pierwszego dnia, są cienkie, odstające i podobnie jak litery nazwiska wykręcają się na wszystkie strony, jakby uznały, że nie pasują do reszty, więc na znak buntu postanowiły się oderwać. Zbuntowane litery, w parze z nimi patykowate ludziki niepasujące do tak zwanego świata, tak jak uszy u Kafki nie pasują do tak zwanej całości. A może to tak zwana całość od nich odstaje? Czy chciałem, czy nie, widziałem tamte dwie Żydówki w przeddzień wyjazdu do Bełżca. Widziałem panią Wandę,

widziałem Halinkę i starych Sarneckich, widziałem Jochanana Fajnera, widziałem Charoję z Abramkiem i Dawidem, widziałem siostry: Ellę, Vallę i Otlę, wszystkie trzy, warto wiedzieć, z domu Kafka – chociaż akurat nazwisko, takie czy inne, wtedy nie miało, można przypuszczać, najmniejszego znaczenia.

Do wakacji pozostały mniej więcej dwa tygodnie, kiedy jakiś dureń zastrzelił Roberta Kennedy'ego. „Amerykańska dżungla” – grzmiał Sawończuk z satysfakcją na najbliższej lekcji historii. Pomagając sobie gazetą, jął wyliczać: przed pięciu laty – za mach na prezydenta Kennedy'ego, przed kilkoma miesiącami – zamordowanie pastora Kinga, teraz mord na Robercie Kennedym. „Zestawienie tych trzech zbrodni – czytał z namaszczeniem jak spiker telewizyjny – daje wyobrażenie o stosunkach politycznych i obyczajowych w dzisiejszej Ameryce”.

„Zbrodnia w t a k i e j Ameryce – przekonywał – może ująć bezkarnie, a korzystają z tego polityczni awanturnicy, którzy swe porachunki załatwiają przy pomocy skrytobójców. Demokracja po amerykańsku okazuje się dżunglą polityczną, w której ostatecznym argumentem jest rewolwer lub karabin z celownikiem optycznym. Zamach na Roberta Kennedy'ego został przygotowany przez te same siły, które w listopadzie 1963 roku wyreżyserowały zamach na prezydenta Johna Kennedy'ego, a potem zamordowały pastora Kinga”. Od Sawończuka dowie dzieliśmy się ponadto, że są to siły reakcyjne, które przeciw stawiają się pokojowemu współlistnieniu narodów na świecie i pokojowemu współżyciu białych i czarnych obywateli w samej Ameryce. W gazecie napisano jeszcze, że Waszyngton uzurpuje sobie rolę światowego żandarma, poucza inne narody, jak mają żyć i jaki mają mieć ustrój. A seria ostatnich zamachów politycznych w Ameryce dowodzi, że politycy waszyngtońscy powinni przede wszystkim zaprowadzić porządek we własnym domu, zanim zaczną udzielać lekcji innym. Sawończuk złożył gazetę i popatrzył na nas zza biurka. „Być może w tej właśnie chwili ważą się losy świata” – powiedział już od siebie. Stany Zjednoczone dysponują takim arsenałem broni atomowej, że cały nasz glob mogą zniszczyć osiem razy i jeszcze im tej broni sporo zostanie. „Ale my nie musimy się obawiać – dorzucił za raz – my, w krajach socjalistycznych, jesteśmy na sto procent bezpieczni, bo Związek Radziecki też ma broń atomową i jeśli zajdzie potrzeba, użyje jej bez namysłu, to znaczy w naszej obronie, bo my, czyli Związek Radziecki, zaprzęgliśmy atom, zaprzęgliśmy naukę w służbie pokoju”.

W domu Zofia Bodler obwieściła mi wielką nowinę: prze prowadzamy się do nowego mieszkania. A więc to były te „urzędowe sprawy”, wokół których chodziła od tygodni!

Zbierała orzeczenia lekarskie, zbierała stemple i podpisy, mozoliła się nad podaniami do stosownych władz, niszcząc niejedną ar kusz papieru podaniowego, bo nie miała pewności, która pisownia jest poprawna: „najuprzejmiej proszę” czy „najupżejniej proszę”, „wyziębione” czy „wyziembione”. Koniec z paleniem w piecu, koniec z noszeniem wody w wiadrach i bieganiem nocą do wychodka! Wystrojeni jak w niedzielę, poszliśmy na przystanek tramwajowy. Tego dnia mieliśmy zadecydować, które z dwóch oferowanych mieszkań wybieramy. Przepelniało mnie zadowolenie. W końcu to ja byłem kartą przetargową, moja osoba w połączeniu z morbus rheumaticus acutus okazała się koronnym argumentem, przed którym ugięły się rada zakładowa, komisje lekarskie i prezesi spółdzielni mieszkaniowych; nikt nie chciał ryzykować, taka morbus hodowana w zagrzybionym mieszkaniu prowadzi do zapalenia mięśnia sercowego, a wobec rosnącej liczby ważnych podpisów i pieczętek mój mięsień sercowy w kilka miesięcy niebywale zyskał na znaczeniu. Czekaliśmy na tramwaj, słońce prażyło, wokół asfalt i beton, z nieba lał się żar, nie było gdzie się przed tym białym żarem schronić. Pomyślałem: tylko ołówek przyłożyć do kartki i rysować. Tradycyjnie zacząłem od końca, od rozwianego ogona, w dalszej kolejności, rysowane rozpaloną bielą na czarnym asfalcie, wyłaniać się jęły zad, grzbiet, łeb, kłęb, pęciny i cała galopująca reszta – tak powstaje koń.

„Zobaczymy, który tramwaj przyjedzie pierwszy – powie działa mama uroczyście – niech los za nas zadecyduje”. „Który przyjedzie pierwszy – powtórzyłem w myślach – Karolew czy Julianów, niech los postanowi”. Karolew: nowe łódzkie osiedle mieszkaniowe z pełną infrastrukturą handlowousłu gową, w otoczeniu terenów zielonych, szczególnie nastawione na młode małżeństwa z dziećmi. Julianów: nowe łódzkie osiedle mieszkaniowe z pełną infrastrukturą handlowousłu gową, w otoczeniu terenów zielonych, szczególnie nastawione na młode małżeństwa z dziećmi.

Tymczasem czekamy. Nie ma już pana Fajnera. Tadek Bajgelman wyjechał, panna Szlechter siedzi na walizkach. Wygląda na to, że za wyjście z choroby, za zmianę adresu, z nas wszystkich ja zapłaciłem śmiesznie niską cenę. A więc to tak się sprawy mają, zrozumiałem, za radą pana Fajnera otworzywszy oczy. W samą porę, bo Józef K., ten od Franza Kafki, pod eskortą dwóch zbirów przemierzył już miasto i właśnie dotarł do miejsca przeznaczenia. Na najwyższym piętrze domu otworzyło się okno i Józefowi K. zaświtała nadzieja, że w tak zwanej ostatniej chwili ktoś jednak przyjdzie mu z pomocą. Wprawdzie logika, roztrząsał trzeźwo, jest nie wzruszona, ale człowiekowi, który chce żyć, nie może się ona oprzeć.

Właśnie ukończyłem rysunek konia, mój popisowy numer, więc bez chwili zwłoki dosiadłem go i nie oglądając się na nic, pospieszyłem tam, gdzie Józef K. już kładł pokornie głowę na kamieniu. Nad całą sceną wisiał księżyc. W jego zimnym świetle jeden z dwóch zbirów badał ostrze rzeźnickiego noża. Tak, chociaż tyle mogłem zrobić. Tym razem nie zrejteruję. Oby tylko nie było za późno. Oby nie było tak, że wstyd mnie przeżyje.